Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 15,80 zł w tym 8% VAT • NR 44–45 (1780–1781) • 31 października–14 listopada 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Poooodwójny numer „NIE”!

Ilustr. PAWEŁ FERENC

9 770867 223409 44

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 324bd6bdbf

WOJNA DOMOWA

Władysław Kosiniak-Kamysz apeluje do partii koalicji rządzącej, aby wystawiły wspólnego kandydata w wyborach prezydenckich. Kandydat ów powinien być *nie prawicowy, nie lewicowy, ale wspólnotowy*. Kosiniak zwraca kolegom uwagę, że ludowcy *sroce spod ogona nie wypadli*, a on mógł być premierem – *propozycje bardzo realnie leżały na stole* – toteż zasługują na szacunek. A on to już na pewno. Tymczasem na jego szlachetny *wspólnotowy* pomysł wszyscy, z Donaldem Tuskiem na czele, zareagowali wzruszeniem ramion. Źródło inicjatywy Kosiniaka pozostaje tajemnicą, ale spekulacje krążą. Jedna jest taka, że lider ludowców dogadał się z Radkiem Sikorskim, który nie składa broni, choć wszyscy uważają, że naturalnym kandydatem Platformy jest Rafał Trzaskowski. Dziwnym zrządzeniem losu dzień po wystąpieniu „Tygrysa" „Gazeta Wyborcza" wpadła na *wewnętrzne badania KO*, z których wynika jednoznacznie, że w drugiej turze Trzaskowski na pewno wygra z kandydatem PiS stosunkiem głosów 53 do 36 proc. Sikorski raczej cienko: 42 do 40.

Ten sondaż jest naturalnie wysoce miarodajny, zważywszy że nikt nie wie, kto będzie kandydatem PiS. Jarosław Kaczyński, ku naszemu wielkiemu żalowi, zrezygnował z planu przeprowadzenia prawyborów na Dudę 2.0. Zrezygnował też z zamiaru ogłoszenia nazwiska następnego zbawcy ojczyzny w Święto Niepodległości. Wzniosły nastrój dodatkowo zepsuł Mateusz Morawiecki, który ogłosił z otwartością komsomolca Szczerotki: *Zdecydowaliśmy się na odłożenie decyzji o kolejne 2–3 tygodnie, dlatego przede wszystkim, że zleciliśmy dodatkowe badania. To jest kolejna seria badań kandydatów, którzy, wydaje się, że naprawdę każdy z nich może powalczyć o prezydenturę*. Gdzie te czasy, kiedy patriotyczna prawica wystawiała na prezydenta kandydata, który był godny, zasłużony i wyróżniał się umiłowaniem Ojczyzny? Jak – dajmy na to – Świętej Pamięci Profesor Lech Kaczyński? A jeśli prezesowi wyjdzie w badaniach, że największe szanse ma redaktor Rachoń?

À propos Rachonia: zapłacił on – z własnej kieszeni – 700 tys. zł kaucji za dwie urzędniczki z ministerstwa od Ziobry, które usiadły z księdzem Olszewskim w związku z przepompowywaniem kasy z Funduszu Sprawiedliwości do Fundacji Profeto. Za księdza zapłacił jego zakon – sercanie, choć, jak wynika z akt śledztwa, kilka złotych salcesonowy męczennik powinien mieć gdzieś zadołowane. Zważywszy iż wypłacił pół bańki z bankomatu, przelał 150 tys. zł mamusi, w tytule wpłaty pisząc *wpłata*, a tatusiowi tylko 100 kafli tytułem *pożyczki*. Uczciwie trzeba przyznać, że mamusia odesłała po roku część pieniędzy – 36,7 tys. zł. Tytuł przelewu: *wpłata, ofiara, intencja*. Nie wątpimy, że intencja była ofiarna. Największą tajemnicą finansowych działań księdza Olszewskiego było 3,5 bańki, które wydał w radosnej firmie Many Mornings produkującej *skarpety nie do pary*. Za 3,5 mln zł mógł ich kupić 100 tys. Może usiłował złożyć sobie parę?

MON opublikowało raport na temat podkomisji Macierewicza. Raport jest dziwacznie fascynujący, głównie dlatego, że udowadnia, że w tym szaleństwie była metoda. Komisja kosztowała 34,5 mln zł – w tym 12,5 bańki poszło na honoraria. Dotychczas sądziliśmy, że tam sami wariaci siedzą, a tu jednak, jak się okazuje, osoby całkiem racjonalne, a nawet bardzo praktyczne. Co prawda zdewastowanie drugiego – sprawnego – tupolewa, co komisja do spraw podkomisji wyceniła na 47 baniek, już aż tak bardzo praktyczne nie było, ale przecież noga żadnego prawdziwego Polaka i tak by nie postała na pokładzie tego samolotu. W obronie Macierewicza i jego komisji wystąpili towarzysze partyjni, ale bez przekonania. Prezydent na przykład długo tokował o konwencji chicagowskiej i obściskiwaniu się z Putinem – co jednak nieco odbiega od tematu prac komisji. Tylko poseł Suski lojalnie stanął przy Antonim. *Są dowody na to, że tam po prostu doszło do eksplozji* – oznajmił. *Jakie dowody?* – zapytali dziennikarze. *No, dowody* – odparł twardo orzeł PiS.

Włodzimierz Czarzasty też postanowił przyłączyć się do akcji antyantoniowej. W najdziwaczniejszy dla lewicy sposób: postanowił złożyć do prezydenta wniosek o odebranie Macierewiczowi Orderu Orła Białego. *Pan Macierewicz jest osobą niegodną posiadania Orderu Orła Białego* – ogłosił lider lewicy górnolotnie. Serio? Bezrobocie rośnie, lud popada w nędzę, klub lewicy się sypie, koalicjant ma ich w dupie, notowania szorują pod dnie – a pan przewodniczący będzie się bawił w zabieranie wariatowi kokardy z ptakiem?

Temat obściskiwania pojawił się nie tylko w kontekście Putina. W bańce anitypisu zapanowało śmiertelne oburzenie po tym, jak „Szkło kontaktowe" pokazało kilkusekundowy filmik, na którym Joanna Scheuring-Wielgus z lewicy i Anna Zalewska z PiS śmieją się perliście i jakby się nawet trochę obejmują. Zapienił się Roman Giertych: *Kiedyś było to normalne, ale PiS chciał nam zabrać wolność, demokrację, niepodległość i konstytucję, a wy się z nimi obściskujecie?* Gość, który był wicepremierem w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, naprawdę nie ma moralnego prawa osądzać innych za zbyt poufałe relacje z pisiorami. Władza PiS w roku 2005 nie była bardziej *normalna* niż ta w 2015 – tyle tylko, że za pierwszym razem nie usiłowała wsadzić Giertycha. Skupiła się na lekarzach i politykach lewicy.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Lipiec 2012 r.

Świętego Thomasa

Na różnych wernisażach, premierach, pokazach, przyjęciach obśliniają mnie staruszki. A ja się meczę, usiłując sobie przypomnieć: czy ja z nią kiedyś spałem, czy bynajmniej. W ten męczliwy sposób ćwiczę pamięć. Stąd rada dla młodych: nie prowadźcie tak rozwiązłego życia, żeby później nie móc zapamiętać szczegółów. Więcej z tego na starość męki niż przyjemności za młodu. Oczywiście można notować zaliczenia, ale to egocentryczne kabotyństwo. Panie ministrze Bartoszewski! Czy za stalinizmu to ja kiedyś z Panem spałem, czy koleżanka?

Świętego Florenta

Polityka państwa może być prorodzinna albo proludzka. Rząd Tuska jest prorodzinny, gdyż za tym opowiada się większość, która w badaniach kłamie, że najważniejsza jest dla nich rodzina. Najważniejszy dla każdego jest on. Człowiek sobie myśli: jestem w rodzinie, więc polityka prorodzinna leży w moim interesie. To nieprawda. Rodzina jest małą organizacją, a państwo dużą. Czyni zaś różnicę, czy dochód narodowy idzie na armaty, czy na masło, na huty stali czy na ocet, którym żywiła się, jak wiadomo, ludność PRL. Każdej członkini rodziny czyni też różnicę, czy pierwszeństwo mają wydatki na kiecki i kremy, czy na piwo męża i wyścigi koni. W środku bachory drą się o komputery i nie wolno dać takiemu kopa w ryj, nawet jeśli mama kupiła już glany.

Od przyszłego roku wejdą w życie nowe ulgi podatkowe na bachory. Warunki będą gorsze dla osób samotnie hodujących dziecko lub żyjących w konkubinacie. Rząd wchodzi Kościołowi w dupę okrężną drogą, bo przez usta i żołądek. Co gorsza, Tusk po katolicku zachęca do wielodzietności. Na czwarte i następne dziecko ulga podatkowa wyniesie 2224 zł. Przy dziesięciorgu dzieciach na ich kształcenie płacić będą wyłącznie obcy. Rząd chce zwiększyć dzietność nie przez zachęcanie każdej pary, żeby miała dwójkę, co bywa do wytrzymania, tylko premiuje czempionów rozrodu gotowych mnożyć się jak myszy. Zwalniając z podatków, trochę słabo wspomaga budżet króliczych rodzin, ale w zamian upowszechnia nędzę statystycznie związaną z wielodzietnością. Dba o dziedziczenie biedy i marnego wykształcenia przekreślającego szanse życiowe dzieci z dużego ich stada. Taka polityka prorodzinna jest antyczłowiecza właśnie.

Polska ma największe wśród krajów Unii rozwarstwienie dochodów. Głównym celem powinno być jego zmniejszanie. Protegowanie wielodzietności powiększy przyszłe kontrasty społeczne.

Świętego Florenta

W ubiegły weekend, żeby jakoś przeczekać upały, dokonała się wesoła nocna impreza. Blondynka o długich włosach, przedwcześnie naćpana i napita, wyciągnęła się w jej trakcie i usnęła. Jeden gościu, chcąc mieć na niej rozrywkę, wziął nożyce i obciął śpiącej włosy. Spodziewałem się awantury jak o Smoleńsk. A tu w poniedziałek blondynka zadzwoniła i grzecznie zapytała, czy może zachowały się jej obcięte włosy, gdyż ma umówionego fryzjera. Dziś wszystko można przykleić, nie tylko dziadka z KGB.

Świętego Antoine-Marie

Lato tym jest straszne, że emigranci ciągną do Polski.

Odwiedził mnie kolega z młodości, z którym nie widzieliśmy się 62 lata. Pięć godzin opowiadał mi, że ma żonę, syna, córkę, psa, wnuki, mieszkanie w Londynie i dom na wsi. Ja przez pięć minut opowiedziałem mu, że nam żonę, córkę, pasierbicę, wnuki, dom, dwa psy i pięć kotów, co zresztą widział, bo na to patrzył. I tak obaj zasypaliśmy 62-letnią lukę. Gdyby wartość życia oceniać wedle czasu opowieści o życiu, po swoich pięciu minutach powinienem popełnić samobójstwo. Często psa, żonę i łapanie ryb trzeba umieć rozłożyć na wiele godzin. W więzieniu nawet na lata. Na tym polega legalna tortura dozwolona wobec współwięźniów narratora. W razie złapania mnie proszę o pojedynczą celę. Mam ze sobą do pogadania.

Świętego Ulricha

Prof. Tadeusz Drewnowski wspominał ongiś czasy, gdy był młodym krytykiem literackim i urodziła mu się córka. Stał więc w pokoju przy balii i prał pieluchy. Gosposio-niania u Drewnowskich, nastoletnia ZMP-ówka, w odzewie na apel organizacji: „Młodzież robotnicza i chłopska do pióra", siedziała przy jego biurku i pisała książkę. Zmęczony Drewnowski powiedział: *Niech no Wandzia dokończy pranie, a ja za to podgotuję jej powieść*. Dziś ta historyjka brzmi jak wspomnienia mamutów nie tylko dlatego, że mamy kapitalizm, automatyczne pralki programowane jak kiedyś literatura, a pomysł pisania książek przestał się nasuwać. Naszej gosposi np. niczego nie umiałbym podgonić, gdyż ona pisze cyrylicą. Zaproszę więc Kubę Wojewódzkiego, żeby w mojej pralni zrobił pranie. I wszystkie telewizje, aby filmowały, jak jednym palcem dokonuje ekspiacji wobec Ukrainki. Hit.

Pan Wojewódzki, człowiek wybitny, stał się ofiarą swojej konwencji żartów. Rozumiem ten niefart. W 1993 r. zwycięskim w wyborach wodzom lewicy przyniosłem wielkiego szampana i wywaliłem jęzor do kamer. Odtąd konwencja nakazuje mi ciągle pozować fotoreporterom z szampanem i wyciągniętym językiem. Ostatnio było to do obejrzenia w „Newsweeku". W rzeczywistości ostatni raz piłem szampana 40 lat temu i tak się strułem, że nawet w sylwestra rytualnie nie moczę ust w tym moczu. Butelka francuskiego szampana, którą trzymam do pozowania, nigdy się nie zużyje. Podobnie jak jej partner – język. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Tygodnik „Niedziela"** ostrzega przed obowiązkowym instruktażem zakładania prezerwatyw w szkołach podstawowych. To prezerwatywy nie służą do napełniania wodą i zrzucania na przechodniów?
- W tym roku **TVP** ma zorganizować imprezę sylwestrową w Chorzowie na Stadionie Śląskim. Od fajerwerków nie obudzą się niedźwiedzie, za to zapalą się hałdy węgla.
- Jak informuje **radiomaryja.pl,** wzrasta liczba prześladowanych chrześcijan na świecie. Zdaje się, Polska wyszła na prowadzenie.
- **Jarek Jakimowicz** poprosił o nieotwieranie buzi na temat Białorusi osoby, które nigdy tam nie były. Osoby, które tam mieszkają, też są proszone o nieotwieranie buzi.
- **Lewica** chce, aby Wigilia była dniem wolnym od pracy. Lewica najwidoczniej myśli, że Wigilia wypada 21 lipca.
- Hasłem tegorocznego **Marszu Niepodległości** będzie: „Wielkiej Polski moc to my". Wespół w zespół?

MARTA M.

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

W numerze:

3: Wypominki – o ludziach lewicy, co byli, ale już ich nie ma

4: Pamiętaj o życiu – śmierć społeczna w wolnej Polsce

5: Laurka dla Najjaśniejszej – i po cholerę nam taki kraj?; **Kompleks paskudnej branki** – pogromy AD 1918

6: Tak zwani ojcowie niepodległości – mity o Piłsudskim i nie tylko

7: Krajobraz bez Ziobry – czemu Zbynia nikt nie ściga?

8: Smerfowisko – jak marudzi Zandberg

9: Czemu lewica się sypie – jak marudzi Biejat; **Czy można miziać się z pisiorem** – etykieta i etyka w europarlamencie

10: Więcej pańszczyzny, mniej podatków – czego elity chcą od ojczyzny; **Każdy dudek ma swój czubek** – o prezydencie, który zwariował i zrezygnował

11: Od mianownika do bełkotnika – sztuczna inteligencja w głowie państwa

12: Piruety Leszczyny – skok ministry na CMKP

13: PSL na rozstajach władzy – prawdziwi wyborcy ludowców to nie dewoci

14: Salceson wypluty w piątek – nowy Popiełuszko i jego towarzyszki cierpienia

15: Tajemnice spowiedzi – chrońmy dzieci przed klerem

16: Ile wart jest człowiek – wycena bezcenności; **Naród buntowników** – święta tradycja rewolucji

18: Po owocach ich poznacie – jak Polacy biją dzieci

19: Epoka hipokryzji plus – Ordo Iuris w walce z onanizmem

20: Tańce wojenne aptekarzy – jak zagraniczne sieci optymalizują podatkowo

21: Przekręt na skręcie – trawka u dilera tańsza niż w aptece

22: Nowy wspaniały ład – co z haraczem na TVP; **Miłosierdzie korporacji** – łaska pańska remontowa

24: Wyjazd – niezwykłe opowiadanie ze stanu wojennego

25: Chodzi poseł za cmentarzem – przedwojenne obcowanie z Ukrainą

26: Marzenie lepsze i gorsze – czy wybory w Gruzji naprawdę ukradła Rosja?

27: Dziwactwa amerykańskich wyborów – USA wybiera, tylko czemu tak głupio; **Kolacja u wujka Wowy** – co się wydarzyło w Kazaniu

28: Kraj upadłego klanu – marksiści rządzą na Sri Lance

29: Moskwa słabo rozwścieczona – czy diaspora wygra w Mołdawii?

30: D jak Dreyfus, P jak Przywieczerski – za co siedział Napoleon biznesu

eprasa.pl 324bd6bdbf

Kogo brakuje na lewicy?

Wypominki

Trzy miesiące temu obiecałam Państwu i sobie rozpoczęcie na łamach „NIE” poważnej debaty o lewicy. I nie, nie zapomniałam. Tylko nikt, psiakrew, nie chce debatować o lewicy. Reakcja jest mniej więcej taka sama: i o czym tu gadać?

W niejakiej desperacji usiadłam i zaczęłam myśleć, z kim można porozmawiać. Czy znam kogoś, kto jest postacią takiego formatu, że jego zdanie zmusi liderów obecnej, za przeproszeniem, lewicy do przemyśleń – albo chociaż może spowoduje, iż zrobi im się trochę głupio? I wiecie, do czego doszłam? Wszyscy nie żyją. Serio.

Patrzymy na kształt dzisiejszej lewicy i przyzwyczailiśmy się, że składa się ona z ludzi niewielkiego formatu – etycznego, intelektualnego, politycznego. Nie zawsze tak było. Dlatego dziś, z okazji Święta Zmarłych, przypomnę – a raczej wypomnę – lewicy ludzi, którzy nadawali jej kształt, a których już między nami nie ma. Ludzi, których znałam osobiście – ot, przywilej wczesnego urodzenia. Ludzi, których – zgoda – trudno byłoby zastąpić, ale też nikt nawet nie próbuje.

Pierwszym tytanem lewicy, którego poznałam, był **Jacek Kuroń (1934–2004)**. Był to zbieg okoliczności, który osoba bardziej uduchowiona mogłaby nazwać przeznaczeniem: w 1989 r. w wyborach do sejmu kontraktowego ordynacja dzieliła kraj na 108 okręgów. W Warszawie, na przykład, okręgami były dzielnice. Kuroń kandydował z Żoliborza, bo tam mieszkał. Ja też, więc w swojej młodzieńczej i dość naiwnej niechęci do Polski Ludowej skwapliwie zgłosiłam się do rozklejania jego plakatów i niejako przy okazji zaraziłam się jego lewicową, postępową i społecznikowską wizją świata.

Zdolność Kuronia do zarażania słuchaczy swoją wizją świata miała skądinąd bolesne konsekwencje. To jego charyzma osłoniła politykę Balcerowicza przed gniewem społecznym. Być może bez jego podszytego urokiem autorytetu, dżinsów i termosu oraz kuroniówki, tolerancja społeczna dla reform przez ruinę skończyłaby się znacznie wcześniej, z korzyścią dla Polski. W takim sensie Kuroń miał sporo grzechów na swoim lewicowym sumieniu. Z czego zdawał sobie sprawę.

W 2002 r., bardzo już chory, coraz dalszy od bieżącej polityki, w długim wywiadzie w „Zdaniu” wygłosił pamiętną deklarację: *Podżyrowałem plan Balcerowicza i to jest mój grzech niewątpliwy*. I dodał: *Trzeba było złożyć inną propozycję, a ja do tego nie byłem przygotowany*. Miał rację – i to, że miał odwagę samokrytyki, w jakimś stopniu go rozgrzesza.

Wtedy, kiedy Kuroń w niejakim zaślepieniu nową rzeczywistością budował kapitalizm, jego przyjaciel i towarzysz walki **Karol Modzelewski (1937–2019)** był od tego zaślepienia całkowicie wolny. To postać, która nie mieści się na żadnej skali – łącząca nieprawdopodobny życiorys z niezwykłym intelektem, wybitnymi osiągnięciami naukowymi i lewicowością całkowicie niezłomną. Wiem, że to słowo skompromitowane, ale w przypadku Modzelewskiego wydaje się nieuniknione.

***Za kapitalizm nie siedziałbym nie tylko osiem i pół roku, ale nawet miesiąca, tygodnia* – mówił Karol Modzelewski i jest to myśl, która powinna przyświecać każdej lewicy w III RP, niezależnie od jej proweniencji.**

W 1989 r. Modzelewski został senatorem, ale już w wyborach 1991 r. nie kandydował – chyba też trochę dlatego, że nowa Polska podobała mu się znacznie mniej niż średniowieczna Europa, której badaniem się zajmował. Kiedy w czasach któregoś z wrednych prawicowych rządów pytano go, czy zdecyduje się na powrót do polityki, odpowiedział, że ojczyzna nie jest aż w takiej potrzebie, żeby on musiał porzucać swoje średniowiecze. Ale jego głos był cały czas obecny w lewicowym dyskursie. W ostatnim wywiadzie, który z nim przeprowadziłam kilka miesięcy przed jego śmiercią, na pytanie, co lewica ma robić, odpowiedział: *Jak mawiali narodnicy, „chodzić w lud”*. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że polska lewica jest od ludu coraz bardziej odcięta.

Tylko raz przez trzy dekady, przez które miałam przywilej go znać, Modzelewski zrobił coś, co wydało mi się głęboko niesłuszne. Było to w roku 1995 – kiedy będąc honorowym przewodniczącym i niekwestionowanym autorytetem Unii Pracy, ostentacyjnie podarł mandat delegata i wyszedł z kongresu, który zagłosował przeciwko poparciu kandydatury Jacka Kuronia na prezydenta. Miałam wtedy poczucie, że personalna lojalność Modzelewskiego wzięła górę nad polityką. Bo w 1995 r. Kuroń był kandydatem i twarzą Unii Wolności, która była bezkrytycznie i nierozerwalnie związana z Balcerowiczem i jego wizją budowy kapitalizmu. To był powód, dla którego UP, zbudowana na proteście przeciwko aspołecznemu kształtowi transformacji, nie mogła spełnić życzenia Modzelewskiego i poprzeć Kuronia. Byłam delegatką na tamten kongres i należałam do tej większości, która zagłosowała przeciwko Kuroniowi.

Głosowałam wtedy za tym, żeby kandydatem Unii Pracy w wyborach prezydenckich został **Aleksander Małachowski (1924–2004)**. Do dziś uważam, że miałam rację.

Małachowski był wówczas nie tylko nestorem lewicy, ale także jej swoistym celebrytą – dzięki swoim szaleńczo popularnym programom telewizyjnym „Telewizja nocą” i „Rozmowy o cierpieniu”. Ilekroć zdarzyło mi się usiąść z panem Aleksandrem przy stoliku w jakieś kawiarni na prowincji – natychmiast pojawiała się kelnerka albo kucharka z prośbą o autograf. Żaden inny polityk UP nie cieszył się taką popularnością wśród ludu pracującego.

Małachowski – w odróżnieniu od Kuronia i Modzelewskiego – nie przeszedł etapu fascynacji komunizmem; zachował niejaką urazę za pobyt w więzieniu NKWD w Białymstoku, a także zesłanie do kopalni pod Stalinogorskiem. Pewnie nie bez znaczenia w tym kontekście był też fakt, iż Małachowski pochodził z arystokratycznej rodziny, jego ojciec miał wielki majątek na Podolu, a to w 1945 r. nie sprzyjało zachwytowi nowym ustrojem.

Jednak nie mniej krytyczny był stosunek Małachowskiego do ustroju, w którego budowaniu niejako uczestniczył w roku 1989 – jako działacz Solidarności, poseł sejmu kontraktowego, posiadacz zdjęcia z Wałęsą. Myślę, że powodem, dla którego pan Aleksander tak zdecydowanie opowiedział się przeciwko antyspołecznej polityce wprowadzanej pod parasolem Solidarności, była właśnie „Telewizja nocą” – program o nieszczęściu. „Telewizja nocą” nadawana była do 1992 r. i przez ostatnie parę lat źródłem tego nieszczęścia była głównie nasza wspaniała transformacja. Małachowski był też tym politykiem, który – mimo swoich antykomunistycznych korzeni – mówił o współpracy z całą lewicą. Był autorem konceptu, który nazwał drzewem oliwnym: stworzenia platformy rozmowy i wspólnych inicjatyw różnych formacji lewicowych. Dziś przebiega proces przeciwny – co nie jest dobrą wiadomością dla lewicy.

W 1993 r. jako nieprzyzwoicie młoda dziennikarka załapałam się na pracę w „Przeglądzie Tygodniowym”. Jego szefem został wówczas **Mieczysław F. Rakowski (1926–2008)**. Pierwsze spotkanie z zespołem Frak rozpoczął od deklaracji: *Chyba nikt nie sądzi, że mógłbym robić tygodnik inny niż lewicowy*. Rakowski był ojcem „Polityki”, premierem rządu, pierwszym sekretarzem KC PZPR – a równocześnie facetem, który nie lękał się powiedzieć: *Gdyby nie socjalizm, pasałbym krowy*. Jego rola w PRL jest tematem bardzo wielu prac naukowych – i nawet Michał Przeperski, autor biografii wydanej przez IPN, pisze o ostatnim pierwszym sekretarzu z szacunkiem, wręcz czymś na kształt podziwu – dla jego talentu politycznego, przenikliwości, a także swoistej enklawy intelektualnej wolności, jaką udało mu się stworzyć w „Polityce” (gdzie te czasy?). Ale w tym kontekście pierwszolistopadowych wypominków ważniejsza wydaje mi się rola, jaką Rakowski odgrywał już po tym, jak wyprowadził sztandar: swego rodzaju intelektualnego sumienia lewicy, twórcy miesięcznika „Dziś”, kogoś, kto pomagał tej formacji w zachowaniu tożsamości. Przypominał o powinności, jaką formacja postkomunistyczna miała wobec ludzi Polski Ludowej.

To w redakcji „Przeglądu Tygodniowego” po raz pierwszy spotkałam też najwybitniejszego moim zdaniem Polaka XX w., jakim był **Wojciech Jaruzelski (1923–2014)**. *Pani Agnieszko* – zapytał mnie wówczas – *czy pani rodzina miała majątek na Lubelszczyźnie?* Nie miała, co generał przyjął z pewną ulgą, albowiem tak się złożyło, że w 1946 r. pacyfikował tam majątek Wołk-Łaniewskich. Nawet trochę żałowałam, że nie miałam okazji wybaczyć mu w imieniu mojej rodziny, bo mówił o tym ze smutkiem i jakimś poczuciem winy – choć przecież oboje wiedzieliśmy, że reforma rolna była słuszna i nieunikniona. Wtedy też generał powiedział coś, co zapamiętałam jako niezwykły punkt widzenia, jakoś charakteryzujący jego stosunek do konfliktu między państwem i Solidarnością. *Solidarność* – powiedział – *teoretycznie była prawicowa, bo była przeciw socjalizmowi. Ale z drugiej strony – chciała obejść socjalizm z lewa…*

Nie będę obrażać inteligencji Czytelników tłumaczeniem, jak fundamentalną postacią dla polskiej historii – a szczególnie polskiej lewicy – jest Wojciech Jaruzelski; przywódca, który dwukrotnie, w 1981 i 1989 r., ocalił kraj przed rozlewem krwi. Postawa obecnej lewicy – zwłaszcza tej wywodzącej się z SLD – wydaje mi się szczególnie obrzydliwa.

Kolejną postacią, której lewicy dziś brakuje – jest **Józef Oleksy (1946–2015)**. Oleksy nie był pryncypialnym bojownikiem o sprawę robotniczą – był za to niezwykle uzdolnionym i inteligentnym politykiem, który umiał budować sojusze i realizować cele. Przyczyną, dla której w 1995 r. Wałęsa kazał zmontować prowokację właśnie przeciwko Oleksemu – tzw. aferę Olina – było to, że Oleksy był postrzegany jako najsilniejsza postać obozu postkomunistycznego. Właśnie dzięki swojej politycznej skuteczności i pewnego rodzaju miękkiej charyzmie, która sprawiała, że nawet żarliwi antykomuniści byli gotowi z nim rozmawiać – choć na przykład na widok Leszka Millera odbezpieczali pistolet.

Kiedy dekadę temu usiłowaliśmy ożywić lewicowy dziennik, zapytałam Józefa, czy jest gotów udzielić mi wywiadu w ramach cyklu „Gdyby nie PRL”. *Ja chętnie dobrze mówię o Polsce Ludowej. Nie sposób przecenić tego, co zawdzięczam tamtemu systemowi* – odparł. A potem opowiedział mi o tym, że jeśli on, syn hafciarki podhalańskiej, która nie skończyła nawet szkoły podstawowej, mógł został premierem – to zawdzięcza to tylko Polsce Ludowej. Ponieważ była ona krajem, w którym taki awans był możliwy. Bo nawet jeśli istniały jakieś źle rozumiane elity – jak choćby na wydziale handlu zagranicznego SGPiS, gdzie dostał się m.in. dzięki dwóm punktom za pochodzenie – to *nie czuł, że system go zniewala do uznawania trwałej nierówności*. Dzisiejszy system bardzo szczelnie zamyka drzwi przed ludźmi niewywodzącymi się ze środowiska szeroko pojętej elity – co widać chociażby w tym, że na prestiżowych publicznych uczelniach za darmo studiują wyłącznie dzieci z zamożnych inteligenckich domów. Oleksy był politykiem, który rozumiał, jak marny jest to system.

I na koniec przypomnę jeszcze jednego polityka, o którym dziś już nie pamięta nikt, choć miał olbrzymi potencjał z tego gatunku, które dziś bardzo nam brakuje. Potencjał zajęcia na scenie politycznej tej pozycji, którą nazwałabym – bez negatywnych konotacji – lewicowym populizmem. Żyjemy w czasach uproszczenia przekazu i populizm sączy się ze wszystkich stron. Liberałowie konkurują z nacjonalistyczną prawicą w populistycznym szczuciu na „obcych”, konserwatyści z jasnym czołem uprawiają populizm fiskalny, wzywając do obniżenia składki zdrowotnej od przedsiębiorców zarabiających setki tysięcy złotych. Lewicowy populizm to jedyny, którego brakuje.

Daniel Podrzycki (1963–2005), twórca bojowego Wolnego Związku Zawodowego „Sierpień 80” i Polskiej Partii Pracy, był facetem, który miał szanse zbudować takie właśnie ludowe i emocjonalne skrzydło lewicy. W latach 80., wywalony z liceum przed maturą, poszedł do pracy do huty. Dwa razy zamknięty w PRL za działalność antypaństwową, organizował strajki – i nie przestał, kiedy zmienił się ustrój. Był organizatorem największego strajku w polskim hutnictwie, w Hucie Katowice w 1994 r., strajku przeciwko prywatyzacji Fabryki Samochodów Małolitrażowych w 1992 r., strajków górniczych. Miał prosty, zerojedynkowy, klasowy przekaz. *Może zabrzmi to mocno marksistowsko, ale to jest walka klas. Pracodawcy i pracownicy znajdują się na dwóch przeciwstawnych pozycjach niemożliwych do pogodzenia. Z jednej strony są interesy pracownicze rozumiane również jako prawo do godziwego wynagrodzenia za rzetelną i uczciwą pracę. Z drugiej strony – interesy przedsiębiorcy, którego zadaniem jest maksymalizować zysk* – pisał w „Trybunie”. W 2005 r. stworzył alternatywną listę lewicy, na której – poza PPP – znalazły się PPS, KPP, Nowa Lewica Ikonowicza, Antyklerykalna Partia Postępu „Racja”, przedstawiciele środowisk bezrobotnych i pegeerowskich. Udało im się zebrać podpisy we wszystkich 41 okręgach wyborczych, a także zarejestrować Podrzyckiego jako kandydata na prezydenta. Zginął w wypadku samochodowym 24 września, w przeddzień wyborów parlamentarnych.

Zdjęcia INTERNET

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Mamo, tato, posuńcie się, do kurwy nędzy – mówił Urban w jednym ze swoich internetowych filmików, siedząc na grobie rodziców. Łysy nie znosił wszelkiego patosu i pewnie straszyłby nas po nocach, gdybyśmy spróbowali uczcić Wszystkich Świętych podniosłym wspomnieniem. Więc tego nie zrobimy. Napiszemy tylko: pamiętamy o Urbanie, Daniszewskiej i Kuchannym. Wypijcie z nami za nich przy halloweenowym stole.

REDAKCJA

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 324bd6bdbf

Pamiętaj o życiu

Co łączy listopadowe święta

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Według Zygmunta Freuda świadomość własnej śmiertelności jest praźródłem wszelkich lęków. Wiemy, że pewnego dnia umrzemy, co oznacza absolutny koniec wszystkiego: naszych planów, radości i smutków, miłości i nienawiści. O ile śmierć innych jest faktem, którego doświadczamy w świecie postrzegalnym, to nasza własna jest trudna do zdefiniowana i pojęcia, gdyż jest nieodwracalna. Doświadczamy jej raz pierwszy i ostatni. Jak mawiał brytyjski marksista, Terry Eagleton, śmierć nie jest dyskursem, jest końcem każdego dyskursu.

Oszukać śmierć

Człowiek od tysięcy lat kombinuje, jak oszukać śmierć, wręcz jak zyskać nieśmiertelność. Jest w tym niezwykle pomysłowy. Usilnie nasz gatunek próbuje poradzić sobie z jednostkowym końcem poprzez kulturę, w tym religię.

Faraonowie od tysięcy lat nie żyją, lecz ich grobowce, piramidy, wciąż stoją w Egipcie. A zmumifikowane ciała Egipcjan, jak Lenina w mauzoleum, wciąż istnieją w materialnej formie.

Non omnis moriar – nie wszystek umrę – tę frazę łacińską poznawało się za moich czasów w liceum na lekcjach polskiego. Katolicy bezwiednie powtarzają w słowach modlitwy, że wierzą *w ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny, amen*. Oczywiście w jakiś istotny sposób obyczaj Romów, którzy na cmentarzach ucztują przy grobach, jest prawdziwie chrześcijański, choć budzi dość powszechne oburzenie i zgorszenie. W końcu śmierć ciała uwalnia duszę, po pobycie na tym ziemskim padole łez i rozpaczy można liczyć na życie wieczne, zjednoczenie z Bogiem w niebie.

Kościół katolicki, walcząc z obcym kulturowo Halloween, jest mocno zakłamany, w końcu ogniem i mieczem wypalał tradycyjne słowiańskie obrzędy czczenia zmarłych. Owo przebieranie się za wampiry czy kostuchy ma oswoić śmierć, a konkretnie strach przed nią. Wyśmiać ją, pokazać jej środkowy palec, wystrychnąć na dudka. Jak by rzekł Freud, instynkt śmierci uzupełnić instynktem życia. Triumfem woli nad rozumem jest to, że żyjemy, jakbyśmy nie mieli umrzeć.

Innymi słowy, koniec końców śmierć nie jest problemem, bo – pisze Zygmunt Bauman w książce „Śmierć i nieśmiertelność" – *Problemem jest to, co posiada rozwiązanie, ten zaś go nie ma. Źródłem największego przerażenia jest odkrycie, że rozwiązanie nie istnieje. Społeczne usankcjonowanie niewiary sprowadza się do przyzwolenia na to, by się sprawie nie przyglądać, nie pytając o dowody.*

Czytajmy Boya

W jednym ze swoich tekstów Tadeusz Boy-Żeleński zżymał się na katolickie smęty, ciągłe nawoływanie, aby pamiętać o śmierci. *Memento vivere* – pamiętaj o życiu – radził roztropnie Boy. Rzecz jasna owo pamiętanie o śmierci miało ponury wymiar, ale jakoś tam spełniało funkcję pedagogiczną – skoro trzeba wciąż martwić się o życie po życiu, to był to jakiś bodziec, aby starać się żyć tak, aby zasłużyć nie na ognie piekielne, lecz na wieczną radość w łagodnym klimacie niebiańskim.

Interwencje społeczne międzywojennego pisarza powinny być lekturą obowiązkową dla wszystkich polskich polityków. Boy zwrócił uwagę, że nadrzędnym (przynajmniej deklarowanym, bo realnie chodzi o kasę, władzę i seks) celem Kościoła katolickiego jest zapewnienie życia wiecznego, zbawienie. Jezus wszak mówił, że jego królestwo nie jest z tego świata. Głównym zaś celem nowoczesnego państwa jest polepszenie bytu człowieka na ziemi, tej ziemi, jak by powiedział JP2.

Przypomnijmy, że chrześcijanie przez wieki szczerze wierzyli, że torturowanie ciał ludzi i oddawanie ich w ręce katu służy wybawieniu ich duszy. Sąd orzekający karę śmierci nie miał prawa obarczać sumienia skazańca – pokuta na szafocie mogła oszczędzić męki w piekle. Skoro dusza jest wieczna, jej losy są o wiele istotniejsze od losów marnej cielesnej powłoki. Życie miało być przygotowaniem do śmierci, stąd też średniowieczne umartwianie się, posty i pochody biczowników przypominające o grzeszności ziemskiej egzystencji, która jest jedynie przystankiem do wieczności.

Rolą państwa jest natomiast troska o byt człowieka tu i teraz, a także jutro. To cel polityczny, ale i etyczny: co zrobić, aby ułatwić i uprzyjemnić życie każdemu z osobna i wszystkim razem wziętym. Państwo skupia obywateli: ludzi różnych przekonań, wyznań i ateistów, że o satanistach nie wspomnę. Nie może zatem stawiać sobie innych, religijnych celów, lecz – dopóki nikogo się nie krzywdzi – pozwalać ludziom żyć, jak chcą. Państwo powinno skupić się na życiu ziemskim – jedynym, jakie z pewnością istnieje, dając oczywiście jednostkom możliwość wiary w niepokalane poczęcie, polski black metal czy materializm dialektyczny.

11 listopada: pokonać śmierć

Skoro umrzemy i niestety wiemy o tym doskonale, to zwykle szukamy jakiejś strategii nieśmiertelności. Możemy posadzić drzewo, spłodzić potomków, zbudować sobie pomnik w postaci naszych dokonań, które pozwolą nam żyć w pamięci innych. Nieistnieniu materii towarzyszy istnienie gatunku. Ważna okazuje się mentalność plemienna, obecnie narodowa czy fundamentalistyczna, pozwalająca nam wyobrazić sobie trwanie w ramach większej całości – aż po śmierć dla dobra tej całości i zabijanie w jej imieniu.

Po pierwszej wojnie światowej wyrosły w wielu krajach groby nieznanych żołnierzy. Mieli oni zginąć na froncie nie na darmo, nie w interesie przemysłowców i cynicznych polityków, troszczących się o własne stołki. Ich śmierć była ceną za życie zbiorowości narodowej, owego kolektywnego ciała, które nas przeżyje.

Zwróćmy uwagę, jak ogromne znaczenie przypisywano żołnierzowi, który w Polsce poniósł śmierć na granicy polsko-białoruskiej, a obojętnie przechodzimy nad ludźmi, którzy codziennie giną z rozmaitych powodów: bo zapiją się na śmierć, przejedzie ich pirat drogowy, nie dostaną w szpitalu leków ratujących życie. Otóż ów żołnierz zginął dla nas, w obronie nieśmiertelności polskości, zbiorowego ciała narodu.

Każdemu Polakowi od podstawówki wbija się do głowy, że w 1918 r. Polska się odrodziła po 123 latach niewoli. Śpiewamy przecież w hymnie państwowym: *Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy*. Abstrahuje to od faktu, że w 1795 r., gdy ostatecznie zaborcy zakończyli żywot Rzeczypospolitej, z narodem polskim utożsamiało się może parę, w porywach parenaście procent populacji kraju.

Jednym z kluczowych powodów, dla których islamscy zamachowcy samobójcy budzą takie przerażenie na Zachodzie, jest to, że za nic mają wartość długiego życia i samozachowania. Istnienie nieśmiertelnej ummy – społeczności muzułmanów – więcej dla nich znaczy od własnego życia i życia innych. Dzieje się tak pomimo surowego zakazu samobójstwa w islamie.

Śmierć społeczna

Jedyna sprawiedliwość, do piachu pójdą wszyscy – mile brzmią te słowa piosenki śląskich punkowców z zespołu Bulbulators. A gdy patrzę na miliarderów, panów świata, którzy nieuchronnie zbliżają się do smugi cienia, przypominam sobie trzeźwą uwagę skandalizującego (i niesłusznie zapomnianego) pisarza, Jerzego Kosińskiego. Pisał on, że bogaci, kiedy umierają, naprawdę wiele tracą. I choć niezmierzone pieniądze mogą wydłużyć i uprzyjemnić im życie, to jednak pewnego dnia i w ich ciałach metabolizm ustanie, a mózg obumrze.

Niemniej jednak jest forma śmierci, która nie jest nieunikniona, a jest szczególnie okrutna, bo stworzona nie przez biologię, a człowieka. To śmierć społeczna. Wyrzucenie poza nawias wspólnoty, bycie niewidocznym dla innych kawałkiem mięsa, które jeszcze istnieje, ale społeczeństwo uznaje je za w gruncie rzeczy martwe, nieistotne.

Nie miejsce i czas, by pisać o charakterystyce śmierci społecznej w różnych czasach i miejscach. Zajmijmy się pokrótce tym zjawiskiem tu i teraz, jesienią 2024 r. w Polsce. Wiele to nam powie o nas jako społeczeństwie.

Na śmierć społeczną, w dość zgodnej opinii naszych rodaków, zasłużyli sobie uchodźcy i imigranci, czarni i muzułmanie. I niech nie zwiedzie nas, że szef MSZ, Radosław Sikorski, przestrzega nas przed agresywnymi mężczyznami, którzy próbują się dostać do Polski z Białorusi. To nic innego jak syndrom białego zbawcy, który ratuje kolorowe kobiety i dzieci, wszak ludzkie z niego panisko.

Śmierci społecznej nieustannie doświadczają ludzie biedni, a zwłaszcza nędzarze. Są oni przezroczyści, niewidzialni, wykluczeni ze świata drogich gadżetów, luksusowych wycieczek i wszystkiego tego, co stanowi o godnym życiu.

Kiedyś tacy ludzie po prostu zostawali niewolnikami i było jasne, że bardziej należą do świata rzeczy lub zwierząt, a nie rzeczywistości społecznej.

Kiedy próbujemy wydać wojnę śmierci przez branie suplementów, utrzymywanie ciała w dobrej kondycji, regularne wizyty u lekarza itd., powinniśmy pamiętać, że w ostatniej instancji co najwyżej możemy przedłużyć grę, ale jej finał jest z góry przesądzony. Jedynym, co warto czynić, jest ukatrupienie i przebicie osikowym kołkiem śmierci społecznej.

ZUZ

Ojczyźnie na urodziny

Od dziecka słyszę, że urodziłam się w wyjątkowym miejscu na ziemi. Od dziecka wpaja mi się, że moją Ojczyznę mam kochać i szanować. Mam identyfikować się z nią i innymi jej mieszkańcami. Mam być przepełniona uczuciem najwyższym zarówno do Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, jak i do zamieszkującego ją Narodu. Tymczasem im dłużej żyję, tym bardziej zastanawiam się dlaczego.

• • •

Staram się to zrozumieć, patrząc na historię mojego rodu i moją. Doprawdy nie wiem, co odpaliło moim przodkom, że w różnych okresach z różnych stron świata przybyli do tego kraju. No, ale z drugiej strony, gdyby nie przybyli, by krzyżować się tu z miejscową ludnością, to nie byłoby mnie. W każdym razie korzenie mam rozległe, zarówno miejscowe, jak i europejskie, a nawet sięgające Ziemi Obiecanej. Klasowo też – moje korzonki sięgają do każdej możliwej klasy społecznej.

Gdybym była psem, byłabym kundlem idealnym. Powiadają, że takie mieszanki są najlepsze i mają najlepsze geny. Problem w tym, że najczęściej siedzą w kącikach schroniskowych boksów i – bywa – latami wyją o przygarnięcie. Ja jednak nie muszę być psem, by tak się czuć. Bo w tym kraju tak właśnie się czuję, chociaż psem nie jestem.

• • •

Cały mój ród to na ogół ludzie uczciwi i pracowici. Nie szczędzili wysiłku, potu i krwi, by budować lepsze jutro tej ziemi. Niektórych Najjaśniejsza wzywała nawet na boj śmiertelny, gdy czuła się zagrożona. Więc szli. Jak było pod Grunwaldem, to nie pamiętam, ale za naczelnika Kościuszki – owszem. Mój prapraprapradziad, zostawszy przywódcą ludu Warszawy, utopił w insurekcji kościuszkowskiej swój majątek, pozycję, a w konsekwencji także zdrowie. Najjaśniejszej numer jeden wiele to nie pomogło i diabli ją wzięli.

Co z tego, że okrzyknięto go potem bohaterem narodowym? Jedyne, co z tego ma, to pomnik w Warszawie na Podwalu, przez co wiecznie mu gołębie na głowę srają. Ot, taka specyficzna forma nagrody za miłość do Ojczyzny.

PLURALIS MAIESTATIS

Ksiądz „Salceson" Olszewski opuścił areszt śledczy. Jego status w postępowaniu o przewał kasy z Funduszu Sprawiedliwości się nie zmienił. Zastosowano tzw. środki wolnościowe zapobiegawcze. Wytęsknieni wierni czekający przed bramą aresztu niczym niedoruchana narzeczona podarowali „Salcesonowi" kwiatki, różaniec i pieśń „Boże coś Polskę". Mało brakowało, a owa pieśń stałaby się po 11 listopada 1918 r. oficjalnym hymnem kraju nad Wisłą. Jej pierwotna melodia została dla prostactwa uproszczona na wzór pieśni „Bądź pozdrowiona, Panienko Marya" – nie żeby oryginalnie była jakoś specjalnie skomplikowana. A jednak… Przed nami kolejna rocznica odzyskania niepodległości, która zapewne minie nam pod znakiem gremialnego wycia: *Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!* Tak się zastanawiam, co to w gruncie rzeczy za naród, który zamiast po prostu otworzyć flachę i sobie przyzwoicie golnąć za to, że odzyskał narodowe miejsce na mapie, ciągle woli podzwaniać łańcuchami.

Może istotnie problem leży w tym, że rozejm kończący I wojnę światową podpisano 11 listopada 1918 r. w wagonie kolejowym w lesie Compiègne, a nie w jakimś warszawskim kościele? Aczkolwiek biorąc pod uwagę narodowość Panienki Maryi,

eprasa.pl 324bd6bdbf

Laurka dla Najjaśniejszej

Innego razu kolejna Najjaśniejsza – z numerkiem dwa – wezwała na bój śmiertelny obu moich dziadków. Dla jednego śmiertelny dosłownie: padł we wrześniu 1939 r. nad Bzurą, broniąc dostępu do stolicy Najjaśniejszej przez Niemcami. Żeby było bardziej paradoksalnie, sam wywodził się z rodzin przybyłych tu z Niemiec, a jego matka – moja prababka – była właściwie w stu procentach pochodzenia niemieckiego. Jej syna zabili więc jej rodacy. Mój ojciec miał przez to zrąbane dzieciństwo, a moja babka nosiła traumę tych wydarzeń do końca życia, przez co i ja miałam przesrane.

Drugi dziadek co prawda nie padł, ale przez najbliższe sześć lat rozkoszował się widokiem na niemieckie Alpy, choć zza drutów Oflagu VII A Murnau. Nie muszę chyba dodawać, że przez te okoliczności także dzieciństwo mojej matki było dalekie od ideału.

• • •

Gdy dziadek wrócił do Ojczyzny, ta zabrała mu wbrew własnemu prawu nieźle prosperujące przedsiębiorstwo. Żeby tylko... Uznała, że drobny fabrykant to wredny kapitalista, który wzbogacił się kosztem klasy robotniczej, więc strzeliła mu taki domiar, że komornik ogołocił mieszkanie ze wszystkiego poza muszlą klozetową.

Mimo to moi rodzice, wzrastając w nowej Najjaśniejszej – Ludowej – próbowali ją kochać, identyfikować się etc., a i później mnie tego uczyli. Uczyła także szkoła. Wchodziłam więc w życie przepojona wartościami, ucząc się raz pilnie, raz mniej pilnie, ale zawsze z nadzieją na stabilną przyszłość w Najjaśniejszej Ludowej, choć wiedziałam, że o szampana i kawior łatwo nie będzie. I wtedy Najjaśniejsza Ludowa oddała ducha, a na jej miejsce wybuchła Najjaśniejsza z numerkiem trzecim.

Na początku był strach i niepewność jutra, bo wszelkie dotychczasowe kalkulacje dotyczące nauki, pracy i sposobu na życie wzięły w łeb. Ale była nadzieja, że będzie lepiej, dostatniej, szczęśliwiej.

• • •

Najjaśniejsza jednak wraz z każdym przybywającym jej roczkiem pokazywała, że nie będzie. Naobiecywała gruszek na wierzbie, że można samemu, pracując, starając się, pomnażając etc., etc.

Rys. HENRYK CEBULA

Potem zdarzało jej się często zmieniać reguły w czasie gry, a właściwie to wciąż wymyślać nowe. Nie przestawała jednak łudzić, mamić, obiecywać, choć stabilnej pracy nie dawała, kazała się tułać po śmieciówkach, kombinować, a nie raz uciekać w szarą strefę.

Gdy obiecała, że rozliczy się z wszystkimi poszkodowanymi przez Ludową, zaświtała znów nadzieja. No ale znów nie wyszło, bo wtedy powiedziała, że sorry, ale ma taki burdel w papierach, że sama nie wie, o co chodzi, i że w związku z tym nic się po niegdysiejszej fabryczce dziadka nie należy, a apelację możemy sobie pisać do ślepej kiszki.

Żyłam więc, w ciężkiej pracy upatrując szansy na godne życie. Ale będąc lewicowa z przekonania, słyszałam od niej tylko, że zamiast budować i pomnażać, umiem jedynie rościć.

• • •

No i jakoś tak wtedy wyszło na jaw, że jestem tak nie do końca tej płci, którą ktoś podczas mojego urodzenia wpisał mi do metryki. Ujawniłam się jako osoba transpłciowa i rozpoczęłam życie transkobiety. Od tego czasu słyszę ciągle od Najjaśniejszej – tej z numerkiem trzy – że jestem zboczeńcem, dewiantem, popaprańcem, względnie ideologią albo że w ogóle jestem dopiero od godz. 17.00, bo wcześniej to mnie nie ma. Być może dlatego skąpi mi ciągle kasy na wszelkie świadczenia medyczne, bym mogła być tym, kim się czuję.

Albo gdybym na przykład chciała się chajtnąć z koleżanką, taką samą jak ja transkobietą? Nie mogę, bo Najjaśniejsza powiada, że nie. Właściwie to sama nie wie dlaczego, ale nie. Wpisanie do dowodu osobistego, że jestem kobietą, też nie jest taką prostą sprawą, gdyż ona mi nie wierzy i każe dostarczyć tysiące zaświadczeń, diagnoz, badań. To jak dostarczę, może mi wtedy uwierzy, ale też tak do końca nie wiadomo...

Niedawno Najjaśniejsza przysłała mi urzędowe pismo. Oznajmia w nim, że za te kilka lat, gdy już przejdę na emeryturę, będę dostawać od niej tak coś ze siedem stówek. Każdego miesiąca. No to znów jest nadzieja, że sobie godnie pożyję...

• • •

To nie jest żadna nadzwyczajna historia. Takich historii są w Najjaśniejszej miliony. A jednak miliony nadal chcą wierzyć, że żyją w jakimś szczególnym miejscu na ziemi i tę Najjaśniejszą chcą kochać, za największy zaś skarb spośród wszystkich narodów uważają swoich rodaków. Nie rozumiem ich.

Nie rozumiem dlatego, że dawno już straciłam wszelkie uczucia do czegoś tak abstrakcyjnego jak ojczyzna. Jestem związana z miejscem, w którym żyję, z tymi miejscami, które odwiedzam i znam. A co jest moją ojczyzną, jeżeli korzenie mam wszędzie, gdzie się da? Dlatego związku z jakimś państwem, w którym przez przypadkowe zrządzenie losu urodziłam się i – niestety – muszę płacić podatki, nie czuję żadnego. Tak samo jak z tak zwanym Narodem. Więcej będzie mnie łączyć z czarnoskórym intelektualistą z Pernambuco niż z wygolonym drecholem z sąsiedniego osiedla wykrzykującym wraz z kumplami hasła o białej rasie, zakazie pedałowania, jebaniu ciapatych czy coś równie wykwintnego.

Patrząc na historię mojego rodu i na moje własne życie, dochodzę do wniosku, że nie ma żadnego powodu, by żywić uczucia do czegoś, co nazywamy ojczyzną, krajem, państwem. Te twory, o ile są nam w stanie odebrać wiele, z życiem włącznie, o tyle raczej nic nie dają.

Właściwie wszystko, co osiągamy, zawsze zawdzięczamy sobie, a nie dobroci państwa, w którym żyjemy. Bo nawet to, co dostajemy od państwa niby darmowo (np. opieka zdrowotna, szkolnictwo itp.), dostajemy tak naprawdę za własne pieniądze. I byłoby fajnie, gdybyśmy rzeczywiście dostawali, a nie musieli jeszcze potem do tego dopłacać.

W czasie swojego ponad 50-letniego życia przekonałam się, że Najjaśniejsza jest na tyle wyrodną matką i ma tak głęboko w dupie swoje dzieci (nie tylko mnie), że właściwie to nic się jej od nas nie należy. Nie pójdę za nią w bój, bo nie jest warta mojego życia. Żyję i pracuję dla siebie, nie dla niej.

EDYTA BAKER

Kompleks paskudnej branki

warszawska synagoga byłaby bardziej odpowiednim miejscem, czyż nie?

Mszana Dolna, Brzesko, Nowy Wiśnicz, Jaworzno, Chrzanów, Tuczempy, Grochów, Przemyśl, Kielce, Lwów – to tylko niektóre miejscowości, w których dzień odzyskania niepodległości uczczono pogromami. *Polacy, w euforii z odzyskania wytęsknionej niezależności, wzniecili pożar antyżydowskich ekscesów* – raportował z wolnej Polski do Centralnego Biura Organizacji Syjonistycznych w Londynie Israel Cohen (cytat za: Götz Aly, „Europa przeciwko Żydom", Filtry, Warszawa 2021). Josef Bendow, autor „Judenpogrom" (podaję również za Alym), naoczny świadek pogromu lwowskiego, podaje: *Chciwość dodawała patriotycznym hasłom specjalnego charakteru, miała swoisty urok. Polscy bohaterowie drogo kazali sobie płacić za trud, znakomicie wynagrodzić rolę kata.* We Lwowie Żydzi dostawali wpierdol od polskich wojskowych, również legionistów, z których niejeden na klacie piersiowej nosił ryngraf z Maryjką Żydówką. W celu poprawienia rasy Zbawiciela polskie żołdactwo rzuciło się do gwałtów na żydowskich dziewczynkach i kobietach.

W sumie najmniej ucierpiała kielecka gmina, która wynajęła na cito Teatr Miejski, aby uczcić 11 listopada. Wieczorem na uroczystość wtargnął zastępca komendanta i policjanci. Od kilkunastu godzin polscy policjanci.

Rys. TOMASZ WIATER

Żydów wywleczono na schody, gdzie z obu stron dostawali wpierdol kijami i bagnetami.

A na parterze oraz na zewnątrz wpierdol kontynuowano. Efekt: 100 rannych i czterech zabitych. To na dzień 12 listopada 1918 r. rano. Bowiem chwilę później wjechały furmanki z chłopami, aby Żydów dojebać i okraść do cna. Po sześciu godzinach polscy chłopi dostali wycisk od polskich policjantów – poszło o szaber. Bij Żyda, chamie, ale majątek żydowski zostaw w gestii pana władzy!

Jak to leciało w tej piosence o Maryjce? *A trzoda owa, srodze utrapiona,/ Niechaj nie będzie nigdy wypuszczona/ Z Twojej opieki, przezacnej przyczyny, Syn Twój kochany niech odpuści winy* (cytat za Cyfrową Biblioteką Piosenki Polskiej).

IZABELA SZOLC

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl 324bd6bdbf

Tak zwani ojcowie niepodległości

Co naprawdę wydarzyło się jesienią 1918 r.

Według obowiązującej dziś legendy historycznej w 1918 r. niepodległość Polski wywalczył naród pod wodzą czterech Ojców – w odróżnieniu od końca II wojny światowej, gdzie wszystko, co Polski dotyczyło, zostało podyktowane przez trzy zwycięskie w tej wojnie mocarstwa. W rzeczywistości w 1918 r. nie było tak pięknie, a w 1945 r. tak ponuro. Przypomnijmy wydarzenia 1918 r., ku czemu skłania rocznicowa okazja.

❶

Obowiązujący schemat podręcznikowy i propagandowy brzmi: 10 listopada 1918 r. Piłsudski wraca do Warszawy z Magdeburga, gdzie był więziony w twierdzy przez Niemców. Lud ruszył rozbrajać wojsko niemieckie, Rada Regencyjna, nie mając wyjścia, przekazała Komendantowi władzę. Wybuchła niepodległość. Niby z grubsza prawda, ale mocno podretuszowana. Ważne zdarzenia pozostają w cieniu.

10 listopada 1918 r. cała Polska – poza zaborem pruskim – była już wolna. W dawnym Królestwie działająca z niemieckiego nadania Rada Regencyjna 7 października ogłosiła niepodległość, a 19 tegoż miesiąca powołała rząd, formalnie poza władzą niemiecką. Pod koniec października załamała się władza monarchii Habsburgów – w rezultacie 7 listopada w Lublinie powstał Rząd Polskiej Republiki Ludowej pod prezesurą Ignacego Daszyńskiego. 13 listopada istniejący w Paryżu Komitet Narodowy Polski Romana Dmowskiego został przez mocarstwa Ententy uznany za rząd polski de facto i włączony do grona „mocarstw zwycięskich".

W rezultacie Polska, do której wracał Piłsudski, miała już trzy rządy deklarujące niepodległość.

❷

Sprawa uwięzienia w twierdzy magdeburskiej też została w propagandzie upiększona. Twierdza kojarzy się z kazamatami i lochami – nic takiego Piłsudskiego w Magdeburgu nie spotkało. Był raczej internowany niż uwięziony. Traktowano go z respektem dla generalskiej szarży. Mieszkał w osobnym kilkupokojowym pawilonie ze sporym ogródkiem do spacerów, jedzenie dostarczano z restauracji, prasę otrzymywał regularnie. Zimą udostępniono Piłsudskiemu kąpiele lecznicze. Psychicznie czuł się źle, narzekał na samotność. W sierpniu 1918 r. otrzymał towarzysza – Kazimierza Sosnkowskiego, swojego szefa sztabu. Według wspomnień tego ostatniego czas spędzali, dyskutując o sytuacji wojennej, namiętnie grając w szachy (setki partii) oraz na spacerach. Sporo pracowali, Piłsudski pisał wspomnienia. Otrzymali też zgodę na opuszczanie twierdzy (w dyskretnym towarzystwie feldfebla). Zwiedzali miasto, muzea, zabytki, byli w teatrze. Piłsudski z tego powodu poprosił żonę o przysłanie cywilnego ubrania.

Gdy jesienią 1918 r., wobec zbliżającego się końca wojny, marionetkowa początkowo Rada Regencyjna sięga po samodzielność i natychmiast zaczyna zabiegać o poparcie Piłsudskiego. Widząc w nim – jak pisze Andrzej Garlicki – jedynego polityka zdolnego opanować rosnące społeczne napięcie. Wielokrotnie występuje o jego zwolnienie, w początkach października powołuje go zaocznie w skład swojego rządu w charakterze ministra obrony narodowej.

❸

Zmienia się też sytuacja i polityka rządu niemieckiego. Niemcy już we wrześniu 1918 r. godzą się ze swoją klęską i zaczynają szukać sposobu zakończenia wojny. Państwa sprzymierzone jako warunek pokoju stawiają przyjęcie 14-punktowego programu prezydenta USA Woodrowa Wilsona przedstawionego w orędziu do Kongresu 8 stycznia.

14 września gotowość przyjęcia tego warunku zgłaszają Austro-Węgry, a 8 października również Maksymilian książę badeński, kanclerz Rzeszy. Rozpoczynają się rokowania o rozejm. Niemcy wiedzą, że zgodnie z pkt. 1 Wilsona będą zmuszone wycofać się ze Wschodu, opuścić okupowane Ukrainę, Białoruś i Królestwo. Są zatem żywo zainteresowane spokojnym przebiegiem tej ewakuacji i – przede wszystkim – utrzymaniem bez zmian wschodniej granicy Rzeszy, Śląska, Wielkopolski i Pomorza.

Rada Regencyjna gotowa była na to się zgodzić, ale nie miała szans na posłuch w społeczeństwie. Rząd niemiecki decyduje się rozmawiać z Piłsudskim. Od końca października pertraktuje z nim dawny znajomy, hrabia Harry Kessler. Piłsudski jest oczywiście za wycofaniem wojsk niemieckich bez przeszkód. W sprawie granic oświadcza: *Obecna generacja Polaków nie pójdzie na wojnę o Poznańskie czy Prusy Zachodnie*, choć dodaje też: *Jeśli konferencja pokojowa nam je sprezentuje, to prezentu nie odrzucimy*. Zgadza się z opinią, że *tak jak dawniej niebezpieczeństwo rosyjskie łączyło interesy polskie i niemieckie, tak obecnie bolszewizm jest wspólnym wrogiem.*

Piłsudski wyraził też przekonanie, że w ciągu kilku miesięcy stworzy w Polsce armię zdolną powstrzymać postęp rewolucji ze wschodu. Te rozmowy uspokoiły obawy rządu niemieckiego.

7 listopada zapadła decyzja o zwolnieniu Piłsudskiego i Sosnkowskiego. Przewiezieni 8 listopada samochodem do Berlina, już ogarniętego podmuchem rewolucji, po krótkim pobycie wieczorem 9 listopada ruszyli do Warszawy. Rząd Niemiec podstawił do ich dyspozycji pociąg specjalny składający się z jednego wagonu i lokomotywy. Podróżowali w towarzystwie hr. Kesslera i rotmistrza Paula von Gülpena. Na miejscu byli o siódmej rano, witani przez księcia Zdzisława Lubomirskiego w imieniu Rady Regencyjnej i Adama Koca w imieniu Polskiej Organizacji Wojskowej.

❹

Piłsudski uzgodnień ze stroną niemiecka dotrzymał. Jeszcze 10 listopada późnym wieczorem rozmawiał z delegacją niemieckiej Rady Żołnierskiej (Soldatenrat), która objęła dowództwo nad wojskami niemieckimi w Warszawie. Rada oświadczyła, że chce z nim rozmawiać jak z *żołnierzem-przyjacielem* i prosi jedynie o zagwarantowanie swobodnego przejazdu do Niemiec. Piłsudski postawił warunki: pozostawienie broni, lokomotyw, wagonów i możliwość użycia niemieckiej łączności telegraficznej i telefonicznej.

W Warszawie i innych miastach rozpoczynało się sporadyczne rozbrajanie Niemców. Rozmiary tej akcji zwielokrotniła legenda. Mogła ona odnieść sukces jedynie w stosunku do małych i rozproszonych grupek. Ponadto nie była po myśli Piłsudskiego, który chciał, aby wszystko odbyło się pod jego kontrolą. Odpowiednią ugodę podpisano kilka dni później w Białymstoku: niemieckie wojsko broń miało składać dopiero na granicy. I to nie całą – osobistą zachowywało. Wacław Jędrzejewicz, oddany piłsudczyk, tak to opisał: *Istotną sprawą tych dni było uniknięcie konfliktu z wojskami niemieckimi przebywającymi w Polsce w sile około 80 tysięcy, z tego około 30 tysięcy w Warszawie. Piłsudskiemu zależało, aby ewakuacja tych wojsk odbyła się bez incydentów. W tym celu tegoż 12 listopada wydał odezwę do ludności, w której zawiadamiał, że objął naczelną komendę nad siłą zbrojną Polski i że okupacja Polski przestała istnieć. „Żołnierze niemieccy opuszczają naszą ojczyznę" i wyjazd ich musi się odbyć w najzupełniejszym porządku. Wezwał społeczeństwo do zachowania zimnej krwi, do równowagi i spokoju.*

Rozbrajanie ustało, ewakuacja wojsk niemieckich z Królestwa została zakończona 19 listopada, Natomiast liczniejszy kontyngent z Rosji, Białorusi i całej okupowanej Ukrainy miał się wycofywać przez Białoruś i Litwę, głównie linią kolejową Grodno–Grajewo, co zajęło kilka miesięcy.

Pozyskanie broni w akcji rozbrojeniowej nie było wielkie. Pod koniec 1919 r. Wojsko Polskie uzbrojone było w 50 proc. w karabiny francuskie, w które – wraz z inną bronią – rząd Francji bardzo hojnie wyposażył Błękitną Armię generała Józefa Hallera wracającą wiosną 1919 r. do Polski. Niemieckie mausery stanowiły 30 proc. wyposażenia, ale w znakomitej większości pochodziły ze składnic w Wielkopolsce przejętych po powstaniu wielkopolskim oraz z obfitych zasobów Arsenału Królestwa Pruskiego w Gdańsku przekazanych Polsce na mocy decyzji Ententy.

❺

14 listopada, już po rozejmie w Compiègne, Rada Regencyjna rozwiązała się i przekazała swe pełnomocnictwa Piłsudskiemu jako Naczelnikowi Państwa. Następnego dnia rozstrzygnął on sprawę przyszłego ustroju państwa – zrezygnował z planów monarchicznych i postanowił, że Polska będzie republiką. Przyjął też dymisję obu rządów, warszawskiego i lubelskiego.

Warszawski pożegnał kurtuazyjnie, z lubelskim zaś obszedł się surowo. Do jego przywódców, Daszyńskiego i Rydza-Śmigłego – który od kilku dni na mocy decyzji tego rządu był generałem – wygłosił słynne zdanie: *Kury szczać wam wodzić, a nie politykę robić!* W tradycji jego rodzinnego Żułowa kuropas plasował się niżej świniopasa. Rydza przywrócił do rangi pułkownika: *Generałem zostaniesz, jak ja cię mianuję!*

Miał do nich pretensję o to, że nie rozumieli, iż rząd lewicowy, który utworzyli, uniemożliwiłby w ówczesnych warunkach scalenie polityczne kraju. 17 listopada powołał rząd Jędrzeja Moraczewskiego, znacznie bardziej centrowy w składzie. Przetrwał on tylko dwa miesiące, gdyż był nadal bojkotowany przez Narodową Demokrację i paryski komitet Dmowskiego, a też nieufnie traktowany przez Ententę.

❻

Piłsudski dotrzymał obietnicy w sprawie granicy zachodniej. Wojny o nią nie podejmował. Orężem wykrawał granice wschodnie: w wojnie z Ukraińcami o Lwów i Galicję Wschodnią, w trwającej ponad dwa lata wojnie z bolszewicką Rosją, zakończonej bitwą warszawską i traktatem ryskim. Zbrojnie też wytyczył granicę z Litwą.

Sprawę granicy zachodniej pozostawił rokowaniom pokojowym i oddał w ręce swojego rywala z Narodowej Demokracji, Romana Dmowskiego. Nie inspirował i nie patronował powstaniu wielkopolskiemu, któremu przewodzili endecy, chadecy i Paderewski.

Niechęć zresztą była obopólna. W styczniu 1919 r. Wielkopolanie, na czele z Marianem Seydą, odmówili wejścia w skład rządu Moraczewskiego, motywując to tym, że Piłsudski sprawuje władzę nie z woli narodu polskiego, lecz z nadania zaborców.

Piłsudski jako Naczelnik Państwa niechętnie pogodził się z rolą głównego rzecznika interesów Polski, jaka na konferencji pokojowej w Paryżu przypadła Dmowskiemu. Później, po jego powrocie w maju 1920 r., potraktował go obelżywie. Kazał czekać siedem dni na wyznaczenie audiencji, na dodatek przetrzymał 20 minut w sekretariacie, a w rozmowie odniósł się lekceważąco do jego paryskich sukcesów dyplomatycznych. Było to zresztą ostatnie ich spotkanie w życiu. Przez następne 15 lat dwaj najważniejsi wówczas polscy politycy, mieszkając w jednym mieście, starannie wymijali się z daleka.

❼

Jednak aby załagodzić konflikt z endecją i wspieranym przez Ententę komitetem paryskim, 16 stycznia 1919 r. Piłsudski odwołał rząd Moraczewskiego i powołał nowy pod przewodnictwem Ignacego Jana Paderewskiego.

Gabinet Paderewskiego przetrwał do pierwszych wyborów sejmowych. Ta zmiana złagodziła wewnętrzny konflikt polski, nie usunęła jednak nieufności do Piłsudskiego w kierownictwie Ententy. W marcu 1919 r. na posiedzeniu komitetu politycznego konferencji pokojowej w Paryżu

brytyjski premier David Lloyd George alarmował: *Panowie, musimy zająć się Polską. Tam się dzieją dziwne rzeczy. Premierem został pianista, a o dowództwo nad wojskiem ubiega się człowiek, który niedawno jeszcze napadał na pociągi!*

Paderewski i Dmowski z trudem tę nieufność złagodzili. Dała ona o sobie znać ponownie przy zatwierdzaniu przez Radę Ambasadorów granicy ustalonej w traktacie ryskim z Rosją radziecką.

❽

Można powiedzieć, że Piłsudski dość zręcznie i szybko pozostałych Ojców Niepodległości wykolegował. Witosa zresztą nigdy nie traktował zbyt poważnie, posądzał go – i całe PSL Piast – o kumanie się z endecją. Odegrał pierwszoplanową rolę w krytycznym okresie odbudowy państwa i ustalenia jego granic w latach 1918–1922. Wobec konfliktu z endecją i jej wiodącej pozycji w sejmie wycofał się do Sulejówka, aby po trzech latach wrócić – już jako rozczarowany do demokracji parlamentarnej wojskowy dyktator. Dość umiarkowany, jak mawiano w kuluarach politycznych, „czynnik decydujący". Perypetie z ustanowieniem 11 listopada Świętem Niepodległości odzwierciedlają te skomplikowane relacje i osobiste wahania Komendanta. Rozstrzygnęły się dopiero po jego śmierci.

M.Z.

Wykorzystano m.in.:
Wacław Jędrzejewicz, Janusz Cisek, „Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935", Kraków 2006.
Leon Grosfeld, „Polityka państw centralnych wobec sprawy polskiej w latach pierwszej wojny światowej", Warszawa 1962.
Andrzej Garlicki, „Józef Piłsudski 1867–1935", Warszawa 1988.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 324bd6bdbf

Nie uważacie, że wśród oskarżanych o machloje Funduszu Sprawiedliwości brakuje kogoś najważniejszego?

Krajobraz bez Ziobry

Rys. OBYWATEL JANEK

Naród ekscytuje się walką prokuratury z mataczeniem ekswiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego. Stąd wnioski do sądu o areszt. Po to, żeby Romanowski nie mógł robić tego, co robił od roku, a czego dowody nagrał miesiące temu pan z doklejoną brodą i wąsami. Mógł mataczyć, gdy w sejmie trwało odbieranie mu parlamentarnego immunitetu. Szczególnie zaś mógł zintensyfikować brużdżenie wymiarowi sprawiedliwości po lipcowej wtopie z próbą zapuszkowania go, gdy Romanowskiego chronił mandat Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Jeśli więc prokurator domaga się teraz aresztu ze względu na to, że Romanowski będzie mataczył, to powinien zająć się zawodowo hodowlą rybek akwariowych. Bo co Romanowski miał zamataczyć, zamataczył już dawno.

W marcu zespół śledczy do spraw Funduszu Sprawiedliwości dokonał przeszukań u 25 osób. Służby pojawiły się też u Zbigniewa Ziobry, Michała Wosia i Marcina Romanowskiego. Siedem osób usłyszało zarzuty, a trzy zapuszkowano: dyrektora i zastępcę dyrektora z MS oraz beneficjenta Funduszu Sprawiedliwości księdza O., który wyszedł dopiero pod koniec października.

Dziś Woś i Romanowski nie mają immunitetów. Z tym że Woś za zakup Pegasusa, a Romanowski za stanie na czele zorganizowanej grupy przestępczej. O tym, że Romanowski był wykonującym rozkazy pionkiem, jest cicho. Prokuratura i media non stop wałkują temat Funduszu Sprawiedliwości, ale od czasu, gdy na swojego pełnomocnika Ziobro mianował w nim Romanowskiego. Czyli od początku 2019 r. O tym, co było wcześniej, nikt jakoś nie wspomina.

I nie grzesz więcej

A przecież żeby zdobyć dla swojej partii wielką kasę, Ziobro utrącił program postpenitencjarny, którego zazdrościło nam pół Europy.

Fundusz Sprawiedliwości – Fundusz Pomocy Poszkodowanym i Pomocy Postpenitencjarnej jest państwowym funduszem celowym ukierunkowanym na pomoc pokrzywdzonym i świadkom, przeciwdziałanie przestępczości oraz pomoc postpenitencjarną, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości – tak stanowiła ustawa i taki wpis widniał na oficjalnej stronie internetowej. Instytucja ta urodziła się w 2012 r. i wtedy nazywała się Funduszem Pomocy Poszkodowanym i Pomocy Postpenitencjarnej. Powstała, żeby pomagać ofiarom przestępstw i wspierać byłych więźniów w pierwszych dniach wolności. Po to, żeby na życie nie musieli zarabiać przestępstwami. Szmal, którym dysponował fundusz, pochodził z nawiązek, nakładanych przez sądy na skazanych.

Inne kraje zaczęły kopiować polskie rozwiązania, a szczególnie perpetuum mobile polegające na finansowaniu funduszu przez skazanych: zarówno w formie nawiązki, jak i odpisu z każdej zarobionej przez więźnia w więzieniu kwoty. Pieniądze na własne programy dostawały też organizacje zajmujące się pomaganiem byłym więźniom w powrocie do normalności.

W roku 2014 takie pozarządówki udzieliły pomocy ogółem 6297 osobom. W tym 1800 zwolnionym, 137 członkom rodzin osób pozbawionych wolności oraz 570 członkom rodzin osób zwolnionych z więzień. Szły na to miliony złotych, ale się opłacało. Wskaźniki recydywy wśród zwalnianych zza krat w Polsce były o kilka procent niższe niż w innych krajach.

Procedury były przejrzyste i zrozumiałe. Wychodzący z pudła mógł zwrócić się o kasę na czasowe zakwaterowanie lub miejsce w ośrodku dla bezdomnych. Mógł też dostać dopłatę do czynszu i opłat za prąd, gaz, wodę, opał i kanalizację.

Szmalec był i na kursy podnoszące kwalifikacje zawodowe, i na specjalistyczne leczenie lub rehabilitację oraz pomoc w uzyskaniu renty związanej z chorobą lub niepełnosprawnością.

Uwolniony obywatel dostawał też pomoc w postaci żywności lub bonów żywnościowych, odzieży, bielizny, obuwia, środków czystości i higieny, a nawet biletów komunikacji publicznej. Oraz mnóstwa różnych rzeczy: pomocy naukowych, dydaktycznych, książek i materiałów biurowych, wyposażenia domowego etc.

Skazani na recydywę

W 2017 r. długa i zawiła nazwa ustąpiła pompatycznemu Funduszowi Sprawiedliwości. No i zmieniły się preferencje w wydawaniu pieniędzy. Stan konta Funduszu w pierwszych latach panowania Ziobry dochodził nawet do pół miliarda złotych.

Filozofia pana Zbyszka, który miłością do skazanych nie pała, znalazła wyraz w redukcji środków na pomoc byłym osadzonym i znalezienie dla nich innych zastosowań.

Szefem Najwyższej Izby Kontroli był wówczas Krzysztof Kwiatkowski, były minister sprawiedliwości, który co nieco o Funduszu wiedział. Izba zrobiła zatem kontrolę i w 2018 r. uznała, iż *Ministerstwo Sprawiedliwości nie zapewniło należytej realizacji przez Fundusz zadań w zakresie pomocy osobom pokrzywdzonym, a tym samym adekwatnej i skutecznej pomocy ofiarom przestępstw*.

Stwierdzono też, że na *rzeczywistą pomoc z Funduszu trafiały stosunkowo niewielkie sumy – z 385 mln zł, które wpłynęły na Fundusz w 2016 roku, na bezpośrednią pomoc ofiarom przestępstw wydano jedynie 16 mln zł*.

Zamiast realizować to, czego od Funduszu wymagała ustawa, w 2017 r. Ziobro przeprowadził przez sejm nowelę, która *znacząco rozszerzyła zakres zadań Funduszu o przedsięwzięcia niezwiązane z pomocą pokrzywdzonym*. I od tej pory setki milionów złotych mogły, miast do zwalnianych więźniów i ofiar przestępstw, powędrować do sądów, prokuratury czy policji. No i można je było wydawać na *finansowanie robót budowlanych czy zakup środków transportu lub wyposażenia*. Pegasusa znaczy.

Nowelizacja o rozszerzeniu podmiotów mogących brać pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości pozwoliła wykazać się wydatkami na ochotnicze straże pożarne. Według NIK – niezgodnymi z prawem. Od kupowania nowych pomp i wozów strażackich jest bowiem Fundusz Wsparcia Państwowej Straży Pożarnej. A oprócz tego – na mocy ustawy o ochronie przeciwpożarowej – firmy ubezpieczeniowe muszą część swoich dochodów wydawać na potrzeby strażaków. Tych ochotniczych też.

Raportem NIK nie zainteresowało się wtedy CBA. Prokuratura też nie. Ani nawet szczególnie media. Jedynie na stronie rzecznika praw obywatelskich znalazł się komunikat: *Pojawiają się uzasadnione wątpliwości, czy środki z Funduszu Sprawiedliwości w istocie przeznaczane są na cele, o których mowa w art. 43 ust. 2 i 8 kw*. Jest on zakończony informacją, że *RPO zwrócił się do ministra o przedstawienie pełnego wykazu podmiotów, które otrzymały środki z Funduszu w 2017 r. Wystąpił też o wskazanie, jaka faktyczna działalność tych podmiotów uzasadniała przyznanie im funduszy*. Więcej ówczesny RPO Adam Bodnar zrobić nie mógł.

Sikawki i media katolickie

NIK nie wspomniała o tym, że był moment, gdy Funduszem Sprawiedliwości zainteresował się prezes Kaczyński. Szykowała się przecież kampania samorządowa, więc jeszcze pod koniec 2017 r. postanowiono jak najszybciej zaopatrzyć OSP w sprzęt, który mógł być oficjalnie wręczany przez kandydata Zjednoczonej Prawicy. W Ministerstwie Sprawiedliwości szybko powołano przewidzianą przepisami komisję. A ponieważ procedura wymagała porady *ekspertów zewnętrznych*, to zostali nimi: wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki, wiceminister sprawiedliwości Michał Wójcik, minister odpowiedzialna za pomoc międzynarodową Beata Kempa oraz posłowie: Edward Siarka z Solidarnej Polski i Bartłomiej Wróblewski z PiS. Dzięki temu składowi decyzyjnemu szybko wyłoniono te niezbędne wyborczo jednostki OSP, które najbardziej zasługiwały na liczoną w milionach złotych pomoc.

Wściekli się nieziobryści i poszli do Kaczyńskiego poskarżyć się, że Solidarna Polska rozdziela strażackie wozy swoim. Wystarczył telefon, by resort zmienił zasady konkursu.

Kontrola NIK niczego w funduszu nie zmieniła. Cztery miesiące po ogłoszeniu jej raportu FS wyjawił, jakie firmy wygrały ogłoszone przezeń konkursy. Na liście było 28 organizacji. Większość z nich mówiła o swoich celach, tak jak Fundacja Podlaskie Centrum Radiowe, dla której liczył się nade wszystko *wszechstronny rozwój mediów katolickich na poziomie lokalnym i regionalnym w oparciu o zasady nauki społecznej Kościoła Katolickiego* i dlatego dostała dwie dotacje na dwa różne działania. Instytut Wspierania Przedsiębiorczości z Krakowa takim cytatem nie szermował, ale to pewnie dlatego, że ostatni wpis na stronie internetowej miał sprzed paru lat. Ale tenże wpis wystarczył do dostania kasy z FS – może dlatego, że dotyczył organizowanej przez instytut debaty prezydenckiej z udziałem Andrzeja Dudy.

Pieniądze przeznaczone na pomoc postpenitencjarną i dla poszkodowanych dostała też niosąca pomoc niepłodnym małżonkom Fundacja Action Life. No i Tadeusz Rydzyk. Jego Fundacja Lux Veritatis otrzymała na akcję informacyjną „Bądźmy bezpieczni" 416,6 tys. zł. A jego Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej z Torunia na akcję „Masz jedno życie, stop dopalaczom" tylko 196 tys. zł.

Winni podwładni

Nie wolno zapominać również o złotówkach, które poszły na reklamy telewizyjne, gdzie różne ofiary ludzkiej podłości opowiadały, jak to *pomógł im Fundusz Sprawiedliwości*. Reklamy, które już w 2018 r. pokazywały, że setki milionów złotych z Funduszu Sprawiedliwości były Zjednoczonej Prawicy potrzebne do wygrania wyborów.

Raporty NIK – bo po tym opisywanym powstały kolejne, równie krytyczne – nie robiły na nikim w Ministerstwie Sprawiedliwości wrażenia. Oczywiście na służbach i podległej Ziobrze prokuraturze też nie. Dlatego za czasów zarządzania Funduszem przez Romanowskiego nikt tam się niczym nie przejmował. Wiedziano, że Ziobro nie pozwoli, by komuś spadł choć włos z głowy.

Dlatego dziś kozłem ofiarnym jest Romanowski. Ziobro po marcowym przeszukaniu ogłosił: *Każdy też doskonale wie, że bezpośrednio decyzje co do konkretnych spraw, które zapadały w Funduszu Sprawiedliwości, poza jedną, podejmowali moi podwładni. Ja nawet w sensie dokumentacyjnym nie uczestniczyłem w podejmowaniu tych czynności…*

Otóż nie bardzo. Jest taki podpisany przez Zbigniewa Ziobrę kwit, który nazywa się „Rozporządzenie Ministra Sprawiedliwości z dnia 13 września 2017 r. w sprawie Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej – Funduszu Sprawiedliwości". W nim zaś stoi jak byk: *Minister Sprawiedliwości, zwany dalej „Dysponentem"*. Reszta rozporządzenia jest zaś o tym, że wszystkie decyzje podejmuje Dysponent i to na niego spada odpowiedzialność za nie. To zaś powoduje, że za wszystkie nieprawidłowości należy ścigać przede wszystkim Dysponenta. Ale widocznie prokuratorzy Korneluka tego nie wiedzą, bo od marca pan Zbyszek jakby przestał ich interesować.

TOMASZ BOROWIECKI

Rys. WIDGET

eprasa.pl 324bd6bdbf

GADMAN

Smerfowisko

Zandberg woli być marudą niż frajerem

Nie zgadzam się na funkcjonowanie w roli recenzentki rzeczywistości, zamiast brać za nią odpowiedzialność – powiedziała wicemarszałek senatu Magdalena Biejat, uzasadniając swe rozstanie z partią Razem. *Partyjne szyldy są oczywiście w polityce ważne, ale koniec końców liczy się załatwianie spraw ważnych dla wyborców* – dodała uzasadnienie swej decyzji rozwodowej.

Rozważne i pragmatyczne

Razem z senatorką Biejat z partii Razem wyszły senatorka Anna Górska i trzy posłanki: Daria Gosek-Popiołek, Dorota Olko i Joanna Wicha. Wszystkie parlamentarzystki zadeklarowały, że na razie pozostają w Klubie Parlamentarnym Lewicy jako bezpartyjne.

Wierzymy, że wcielimy w życie więcej prospołecznych, równościowych postulatów, współpracując z Nową Lewicą, niż się od niej odcinając. Obietnica Razem to obietnica zmiany, nie trwania – deklarowała senatorka Biejat.

Dla klubu Lewicy i rządu Donalda Tuska najważniejsza jest deklaracja pozostania w klubie, czyli politycznym, parlamentarnym zapleczu rządu trzech posłanek z partii Razem. Do tej pory nie było pewności, jak poselska ósemka z Razem będzie w sejmie głosować. Teraz przyszłe decyzje pragmatycznej trójki są bardziej przewidywalne.

Obecny rząd nie jest lewicowy. Niemniej nasi wyborcy powierzyli nam misję forsowania w nim lewicowych postulatów. Dlatego walczę, zabiegam, a nie tylko pokazuję, czego bym sobie nie życzyła. Inna jest sprawczość partii pozaparlamentarnej, inna partii w koalicji rządzącej – zadeklarowała posłanka Dorota Olko. Pełniąca w Razem funkcję rzecznika prasowego.

Senatorka Biejat wyliczyła też osiągnięcia parlamentarzystów Lewicy w czasie ostatniego roku. Zastopowali wprowadzenie mieszkaniowego kredytu 0 proc., podarunku dla deweloperów i jeszcze wyższych cen mieszkań. Wstrzymali „reformy" składki zdrowotnej, czyli zmniejszenie nakładów na służbę zdrowia. Rozpropagowali postulat legalizacji związków partnerskich tak wielce, że nawet poparł go kardynał Nycz. Udało się też uchwalić ustawę o rencie wdowiej.

Secesjonistki z Razem zapewne będą też uczestniczyć w lewicowych prawyborach kandydatki Lewicy na prezydentkę RP. Magdalena Biejat jest jedną z dwóch najczęściej typowanych.

Po secesji w barwach Razem pozostała piątka poselska. Ale jedna z posłanek ma nadal status *zawieszonego członka*.

Sala odlotów

To posłanka Paulina Matysiak z Kutna. Wsławiła się współpracą z posłem PiS Marcinem Horałą. Byłym pełnomocnikiem rządu ds. budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Cynicznym rwaczem publicznych pieniędzy. Mistrzem przekrętów „na patriotę".

Posłankę Matysiak zauroczył nie tylko pan poseł Horała, ale też sondaże wskazujące, że większość Polaków, zwłaszcza tych dumnych, pragnie wielkiego narodowego lotniska i szybkich kolei. Oczywiście taka większość pragnie wtedy, kiedy nie jest informowana, że obecnie to prestiżowe lotnisko nie ma ekonomicznego sensu. Jest za to szansą kolejnych zarobków dla firm piarowych, lobbystów i parlamentarzystów kreujących się na wiernych synów i córki dumnego narodu.

Posłanka Matusiak pielgrzymuje teraz po mediach, deklarując, że Polaków stać na wielkie inwestycje jak CPK i elektrownie atomowe, a także krytykuje rząd, że przygotował okrojony budżet na przyszły rok. Jako gwiazda tygodnika „Sieci", wydawanego przez braci Karnowskich, deklaruje: *Dziś nie poparłabym rządu Tuska*.

Emerytom z Kutna, jej okręgu wyborczego, obiecuje szybkie Pendolino. Pewnie dlatego, że mająca darmowe bilety na wszelkie pociągi posłanka nie wie, ile dziś kosztuje bilet na Pendolino. Nie wie, że nawet na ten ze zniżką dla seniorów większości polskich emerytów zwyczajnie nie stać.

Niedawno obserwowałem debatę o mediach publicznych z udziałem posłanki Matysiak. Choć pracuje w Komisji Kultury i Środków Przekazu, nie orientowała się w zapisach ustawy o radiofonii i telewizji. Łatwiej bajać o dumie Polaków.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wiele znaków na niebie i ziemi wskazuje, że posłanka Matysiak pozostanie poza klubem Lewicy. Nie chcą jej tam nawet secesjonistki z Razem.

Czy rozwiązaniem jest zakładanie nowych ruchów politycznych z osobami, z którymi dzielą nas kwestie absolutnie fundamentalne? My uważamy, że nie jest – potwierdza posłanka Olko. Ale odlotowa posłanka Matysiak może być bardzo cenna dla parlamentarzystów pozostających w partii Razem.

Zakon młodych socjalistów

Są nimi Marcelina Zawisza, Marta Strożek, Maciej Konieczny i Adrian Zandberg. W Razem zwą ich zakonem dawnych młodych socjalistów. Ich lider ma w klubie Lewicy ksywkę Smerf Maruda.

Adrian Zandberg uważa, że w Polsce są dwie lewice. Ta przez „L", która w tym parlamencie i w tym rządzie nie jest polityczną siłą. Z taką Lewicą inni się nie liczą. Jest też lewica przez „l". To ta z partii Razem. Ona istnieje, aby zmienić Polskę na korzyść pracowników, wydawać sensownie pieniądze na ochronę zdrowia, zliberalizować ustawę antyaborcyjną.

Funkcjonowanie lewicy to pytanie o jej skuteczność. Realna jest wtedy, kiedy przeprowadza się zmiany systemowe. Tak się nie dzieje. Bo jest to *sprawczość udawana* – uważa poseł Zandberg. Bo ktoś inny podejmuje najważniejsze decyzje, ale łaskawie pozwala Lewicy stanąć obok siebie na konferencji prasowej albo wrzucić do internetu mem z napisem *wielki sukces*. To jest zaklinanie rzeczywistości. Ludzie to widzą. Są rozczarowani.

W budżecie są jaśniejsze strony – zauważa poseł Zandberg. Jak odmrożenie KPO. Tyle że odhaczanie rzeczy, które miała w programie Platforma, to nie jest własny sukces. Tam gdzie lewicowi wyborcy oczekiwali zmian – w sprawach zdrowia, pieniędzy na naukę, złamania dyktatu deweloperów, prawa do przerywania ciąży – nic się nie wydarzyło.

Drobne rzeczy da się czasem załatwić, wyrywając parę milionów na drobny projekt. Ale reformy w Państwowej Inspekcji Pracy nie udało się przeprowadzić. Można mieć zdania odrębne jak przy zawieszaniu prawa do azylu. Ale co z tego, skoro rząd i tak przyjął to rozwiązanie – pyta Zandberg zwany Smerfem Marudą.

Jednak tenże Zanberg deklaruje, że nie będzie Smerfem Frajerem. I wieszczy, że idą trudne czasy. W przyszłorocznym budżecie pieniądze na służbę zdrowia są za małe, by utrzymać obecny poziom świadczeń. Po co lewica ma być w takim rządzie? Żeby się uśmiechać i mówić, że jest super?

Zandberg nie boi się, że po przejściu jego zakonu do opozycji PiS wróci do władzy. Premier umie liczyć do 231. Nie potrzebuje głosów Razem do utrzymania większości.

O komfort marudzenia

Uważa, że podstawowe błędy Lewica popełniła w czasie negocjowania umowy koalicyjnej. Jeśli mały partner nie zapisze wtedy twardo swych postulatów, to potem nie dostanie niczego. Łatwo się negocjuje, kiedy ma się mocne karty. Lewica ich nie miała. Zandberg nie wspomina, że w czasie ostatniej kampanii wyborczej on i jego Razem promowali jedynie swych kandydatów. Olewali pracę dla całej listy Lewicy. Oni sprawili, że Lewica miała słabe karty.

Zandberg uważa, że jeśli Lewica teraz chce być komuś potrzebna, to musi być zdolna do skupieniu społecznej energii, wkurzenia, gniewu. Tylko wtedy będzie mogła skutecznie naciskać na tych, którzy podejmują decyzje, rządzą Polską. Lewica potulna nie jest potrzebna nikomu.

Zandberg proponuje swojej lewicy długi marsz. Nie boi się porażki. *Do grobu kładziono nas już w mediach tyle razy, że się przyzwyczaiłem* – mówi.

Mamy centroprawicę, która trzyma w szachu całkiem lewicowych wyborców. Rządzi strach: „Albo my, albo PiS". Ale ten kształt polityki nie jest wieczny. Kolejne wybory to będzie nowe rozdanie. Wszyscy to czują – jest wyczerpanie po stronie PiS i po stronie liberalnej. Wszystko się trzyma na Kaczyńskim i Tusku, a oni obaj robią ostatnie okrążenia. Kiedy zabraknie któregoś z nich, mechanizm się rozsypie. To będzie historyczna szansa dla lewicy, tej przez małe „l". O ile będzie gotowa i nie zadowoli się rolą wasala" – tak wieszczy.

Polska lewica – i Lewica – nie ma swoich mediów pozwalających wyjść poza zakonne środowiska. Nie ma też silnego zaplecza intelektualnego, instytutów myśli politycznej, wsparcia związków zawodowych. Pozostaje internet albo gościnne telewizje, gazety i inne czasopisma związane z PiS.

Rozłam w Razem to osłabienie klubu parlamentarnego Lewicy. Jego siły przetargowej podczas negocjacji w koalicji rządzącej. To wzmocnienie konserwatystów z PSL, liberałów z Trzeciej Drogi i Koalicji Obywatelskiej. Także Konfederacji na scenie politycznej.

Poseł Adrian Zandberg ma rację, że kończy się czas Kaczyńskiego i Tuska. W następnych sejmach będą już inne koalicje rządzące. Prawdopodobna jest większość złożona z odmłodzonego, bezkaczyńskiego PiS plus Konfederacja plus zawsze żywy PSL.

Wierna sobie Razem, startując osobno w przyszłych wyborach parlamentarnych, zapewne przekroczy 3 proc. poparcia. Do sejmu nie wejdzie, ale dostanie budżetowe dotacje na uprawianie wierności ideowym pryncypiom lewicy, na dalsze polityczne marudzenie.

To nie jest frajerska postawa.

PIOTR GADZINOWSKI

Mogę zrozumieć towarzyszy z Razem

Trzy posłanki i dwie senatorki Razem wystąpiły z partii, żeby zostać w klubie parlamentarnym Lewicy. Następnie czworo posłów Razem wystąpiło z klubu parlamentarnego Lewicy, żeby zostać w partii. Sytuacja wzbudza drwiny ze wszystkich stron – z lewicowego konfliktu nabija się cała prawica, i ta przy władzy, i ta wręcz przeciwnie.

Prawicowe drwiny można mieć w dupie – ale nie sposób nie zauważyć, że lewica ma problem. Nie tylko Razem – cała sejmowa lewica.

Rozłamczynie

Uprzedzając zabieg Razem, piątka z Magdaleną Biejat na czele złożyła deklarację lojalności wobec Nowej Lewicy. *Wyruszamy dziś w nową drogę. Wierzymy, że będzie to droga współpracy i porozumienia. Budowania, a nie wyłącznie recenzowania* – ogłosiły, delikatnie dokopując porzucanym towarzyszom. Rozłamczynie (czy to jest właściwy feminatyw od „rozłamowców"?) zapowiadają, że pozostaną w klubie parlamentarnym jako osoby bezpartyjne – w co, uczciwie powiedziawszy, nieco wątpię. Jeżeli Magdalena Biejat rzeczywiście ma ambicję zostania lewicową kandydatką na prezydenta – o, przepraszam, prezydentkę – to jej szanse wyraźnie wzrosną, jeśli wstąpi do partii, która miałaby ją wystawić.

Póki co nic z wypowiedzi Biejat nie wskazuje, że takiej ambicji nie ma. Choć jakby się nad tym obiektywnie zastanowić – Agnieszka Dziemianowicz-Bąk wydaje się kandydatką lepszą. Biejat miała swoją szansę, kiedy kandydowała na prezydenta Warszawy. Sondaże dawały jej ponad 16 proc. i miejsce w drugiej turze. Nawet „Gazeta Wyborcza" donosiła o tym z podnieceniem: *Sensacyjne wyniki sondażu w Warszawie: Będzie druga tura? I to nie z kandydatem PiS?*. Wyszło, jak wyszło: drugiej tury nie było, a gdyby była, znalazłby się w niej łodzianin Tomasz Bocheński z PiS, który zdobył prawie dwa razy więcej głosów niż Biejat. Jej kandydatura miała być wywróceniem stolika i złamaniem duopolu. To się nie udało.

I zgoda, prawie 13 proc. dla lewicy to w ostatnim czasie wynik fenomenalny, porównywalny z powrotem do sejmu w 2019 r. Gdyby zaś przyłożyć go do wyniku wyborów prezydenckich – to trzeba by sięgnąć aż do roku 2010 i zaskakująco wysokiego poparcia, jakie zdobył wtedy Grzegorz Napieralski, zastępując namaszczonego na kandydata Jerzego Szmajdzińskiego, który zginął w katastrofie smoleńskiej.

Ale czy naprawdę można w jakikolwiek sposób rzutować wynik z Warszawy na wybory prezydenckie? To pomysł dość brawurowy – jedyny wiosek, jaki można z niego bezpiecznie wyciągnąć jest taki, że jeżeli w postępowej, otwartej światopoglądowo, profeministycznej Warszawie marzenie o drugiej turze dla Magdaleny Biejat

ETYKA BEZBOŻNA

Etyk do polityków o stosunkach międzyludzkich

Przemknęły ostatnio przez internet filmiki grozy, na których europosłanka Joanna Scheuring-Wielgus z Koalicji Obywatelskiej w największej serdeczności, ocierającej się, by tak rzec, o obściskiwanie, obcuje z europosłanką PiS Anną Zalewską. Zaiste panie były całe w pląsach i trelach. A w sieci rozległ się jęk zawodu: A więc to tak! Cała ta walka o odzyskanie Polski zawłaszczonej przez politycznych gangsterów jest na niby! Jak przychodzi co do czego, to na europoselskiej pensji ręka rękę myje, kruk krukowi oka nie wykole i w ogóle wszyscy są ze sobą w jak najlepszej komitywie. Cóż, trochę na to wygląda.

Kilkanaście lat temu, w czasach, gdy nie chodziłem jeszcze w glorii kazirodcy i pedofila, a za to próbowałem swych sił w polityce (z marnym skutkiem), bardzo często bywałem gościem TVN przy ul. Wiertniczej w Warszawie. Jako że w telewizji politycy przechodzą przez studio, jakby jechali taśmociągiem, potrzebne jest miejsce ich tymczasowego składowania przed załadunkiem do procesu obróbki.

eprasa.pl 324bd6bdbf

Czemu lewica się sypie

okazało się tak całkowicie nierealne – to tym bardziej nierealne będzie w kraju.

Żeby nie było wątpliwości: nie oczekuję od kandydata/tki lewicy wejścia do drugiej tury. Bądźmy realistami. Ale lewica nie może sobie też pozwolić na powtórzenie dwóch ostatnich wyników prezydenckich.

Jak powiedział mi ostatnio pewien wybitny, acz emerytowany lewicowy polityk – partia może popełniać błędy, ale nie może się ośmieszać. Lewicę ośmieszyły – kolejno – kandydatury Magdaleny Ogórek (2,38 proc.), Roberta Biedronia (2,22 proc.), a także konstrukcja listy europarlamentarnej, na której na biorących miejscach znalazła się para Biedroń–Śmiszek i ich psiapsióła Scheuring-Wielgus. Dlatego wystawienie Magdaleny Biejat w wyborach prezydenckich może nie być dobrym pomysłem. Po kolejnych 2 proc. partia się już nie podniesie.

Nibysukcesy nibysprawców

Dodatkowo opowieść odchodzących z Razem parlamentarzystek o tym, że *ostatnie dwa tygodnie pokazały, że lewica w koalicji rządzącej, dalekiej od naszych marzeń, może mówić własnym głosem* – chodzi, jak zgaduję, o votum separatum lewicowych ministrów do decyzji o zawieszeniu prawa do azylu – brzmi raczej śmiesznie. *Mówienie własnym głosem* to nie to samo co *załatwianie konkretnych praw* – to akurat się lewicy nie udaje. Zwerbalizowanie niezgody to wszystko, na co ją stać.

W tej sprawie niestety rację ma Adrian Zandberg, który zarzuca lewicy pucowanie się do decyzji podjętych przez PO. *Sprawczość*, którą przypisują sobie lewicowi ministrowie, jest *udawana* – mówił Zandberg w „Dzienniku Gazecie Prawnej". *Ktoś inny podejmuje decyzje, ale pozwala stanąć obok siebie na konferencji prasowej albo wrzucić mem do internetu z napisem „wielki sukces"*.

Rozumiem też głosy, jakie pojawiły się w socjalmediach – przynajmniej w mojej lewackiej bańce – mówiące o tym, że może *wreszcie będzie jakaś prawdziwa lewica*; sporo jest deklaracji o wstąpieniu do partii. Taka reakcja nie dziwi u ludzi, którzy lewicowość postrzegają w kategoriach ideowych.

Dlatego nie podzielam – wyrażonej obok – opinii Piotra Gadzinowskiego, który krytykuje i wykpiwa razemową rewoltę. Podobnie czyni zresztą reszta komentariatu, przynajmniej tego antypisowskiego. Tymczasem ja do pewnego stopnia razemków rozumiem:

jest wiele poważnych powodów, dla których ludzie o lewicowych przekonaniach mogą nie chcieć być zapleczem rządu Donalda Tuska. Z drugiej strony – jaki efekt może przynieść formalne przejście partii Razem do opozycji, poza, naturalnie, poprawą samopoczucia jej członków?

Łapanka na Religę

Brutalna prawda jest taka, że – aby powstała prawdziwa lewica, z którą koalicja rządząca (a tak naprawdę Donald Tusk) musiałaby się liczyć – decyzję o wyjściu z rządu i koalicji musieliby podjąć wszyscy posłowie klubu Lewicy. Wbrew histerycznym opowieściom wyznawców Tuska nie oznaczałoby to powrotu PiS do władzy, tylko rząd mniejszościowy, który – aby pozyskać głosy lewicy – musiałby się z nią liczyć i uwzględniać jej postulaty programowe. Problem w tym, że na takie rozwiązanie od początku nie było szans: grupa partyjnych działaczy, którzy załapali się na stanowiska w tym rządzie, nigdy z nich nie zrezygnuje. To trzeci garnitur aparatczyków, którzy nie mają żadnych osobistych ani zawodowych osiągnięć. Stanowisko podsekretarza stanu – żeby już nie wspomnieć o konstytucyjnym ministrze czy wręcz wicepremierze – jest szczytem ich życiowych osiągnięć i doskonale wiedzą, że się nie powtórzy. Abstrahując na chwilę od moralnej oceny tej postawy – trzeba zdać sobie sprawę z realiów. A realia są takie, że Razem jest w tym boju o lewicowe pryncypia samo. I było od początku.

Czy była jakaś alternatywa? Moim zdaniem tak.

Broniąc się przed zarzutami, iż ogranicza się do *recenzowania*, Razem wypomina dziś, że było gotowe wziąć współodpowiedzialność, ale mu nie dali. Bo przecież proponowało, żeby ministrem zdrowia została Marcelina Zawisza.

Znam Marcelinę od dekady, pracowałyśmy razem w „Dzienniku Trybuna", cenię ją i lubię – ale jednak bądźmy poważni. Jej ekspertyza w dziedzinie ochrony zdrowia wynika głównie z faktu, że jako dziecko była poważnie chora i spędziła bardzo dużo czasu w szpitalach. Marcelina nigdy nie sprawowała żadnego kierowniczego stanowiska, zanim została posłanką, zajmowała się dziennikarstwem i aktywizmem, ma 35 lat i licencjat z polityki społecznej. To wszystko nie czyni z niej poważnej kandydatki na ministra zdrowia.

I zgoda, polonistka Izabela Leszczyna też nie byłą poważną kandydatką – ale miała tę przewagę, że była z PO. Gdyby Razem chciało serio zawalczyć o resort zdrowia, powinno było znaleźć uznanego fachowca: najlepiej profesora medycyny lub wieloletniego dyrektora szpitala, kogoś, kto podziela ich wizję reformy zdrowia, a jednocześnie ma dość autorytetu, żeby ją wprowadzać. I być traktowanym poważnie przez środowisko medyczne. To nieopisanie ważne, zwłaszcza w tak trudnym resorcie. PiS to zrozumiał, kiedy powierzył resort zdrowia prof. Relidze. Był to chyba jedyny przypadek w historii, kiedy strajkujące pielęgniarki witały brawami ministra zdrowia, przeciwko któremu protestowały. Relidze zabrakło czasu, żeby przeprowadzić kompleksową reformę: najpierw PiS przegrało wybory, a potem profesor umarł – ale był bodaj jedynym ministrem, który miał taką szansę. Jasne, nie ma już Religi ani nikogo jego formatu – ale obawiam się, że pomysł zastąpienia go Marceliną Zawiszą był z góry skazany na niepowodzenie.

Wakat na stanowisku pacyfistów

I jest jeszcze jedna przyczyna, dla której nie do końca wierzę w nieprzejednaną pryncypialną lewicowość Razem.

Anonsując przejście do opozycji, Adrian Zandberg wygłosił płomienny, ale też merytoryczny monolog, co skądinąd jest jego supermocą: *Rząd przyniósł do parlamentu zły i antyspołeczny budżet, który uderza w publiczną ochronę zdrowia; który uderza w pracowników budżetówki; który jest bardzo skąpy, jeżeli chodzi o naukę, badania, rozwój mieszkalnictwa, ale bardzo hojny dla milionerów, dla banków i dla deweloperów*.

Zgadzam się z każdym zdaniem. Ale zauważyliście, czego zabrakło?

Nie padło ani jedno słowo na temat poziomu wydatków na zbrojenia. Poziomu, który ponad dwukrotnie przekracza nasze zobowiązania sojusznicze; który jest zaledwie o 15 proc. niższy niż wszystkie wydatki państwa na leczenie 38 mln obywateli; który wysysa środki z programów socjalnych, z edukacji, z nauki, z inwestycji w rozwój.

Dopóki w Polsce nie znajdzie się lewica dość odważna, żeby przeciwstawić się szaleńczemu wyścigowi zbrojeń, w którym bierzemy udział z bezrozumnym entuzjazmem, mimo iż żadna wojna nam nie grozi – dopóty różnica między lewicą rządową i lewicą opozycyjną będzie zgoła kosmetyczna.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Czy można się miziać z pisiorem?

Rolę tę pełni taki jakby salonik VIP, gdzie można się rozpłaszczyć, usiąść w fotelu i napić herbatki. Facet trafia tam prosto od pani makijażystki, czyli w dość queerowej wersji swojej męskiej istoty. I tak na przykład miałem okazję oglądać upudrowanego Ziobrę, a nawet wypindrzonego Kamińskiego (o sobie nie wspomnę).

A że politycy ludźmi uprzejmymi i towarzyskimi są, to ucinają sobie pogawędki, jak gdyby nigdy nic. Za chwilę będą się lżyć i od czci i wiary odsądzać na antenie, ale to tylko na niby, bo za kulisami są przecież wielkimi przyjaciółmi.

Strasznie mnie to oburzało. Sam w żadne pogawędki z ludźmi od Kaczyńskiego się nie wdawałem, patrząc ponuro, jak robią to inni. Uszu jednak zatkać nie mogłem i stąd do dziś dźwięczą mi w tych uszach perory Ziobry o błogosławieństwie ojcostwa oraz inne, już znacznie mniej sympatyczne enuncjacje jego koleżków. Zastanawiałem się wówczas, czy polityka jest aż tak cyniczna, czy też po prostu ludzie starają się w tym wszystkim zachować jakieś minimum normalności, a więc również jakieś minimum uprzejmości.

Rys. TOMASZ WIATER

Wynik tych moich doświadczeń i przemyśleń jest taki, że jest trochę tak i trochę tak. Politycy często bywają karierowiczami bez kręgosłupa i wtedy, rzecz jasna, żadnych względów moralności i honoru nie traktują serio. Częściej jednak są po prostu pragmatyczni. Mając do wyboru świętą wojnę z ludźmi, z którymi, czy tego chcą, czy nie, widują się na co dzień w pracy, bądź też jako takie normalne relacje zawodowe, dla własnego spokoju i higieny wybierają to drugie. Pytanie tylko, jakie są granice tej zawodowej miłości człowieka do człowieka.

Można zrozumieć i nawet zaakceptować wybór koleżeńskich relacji, lecz pod pewnymi warunkami. Nasze stosunki ze złymi ludźmi – a mogą być nimi koledzy z pracy, ale też sąsiedzi, a nawet członkowie rodziny – możemy kształtować i kontrolować w taki sposób, aby nie uczynić sobie z życia piekła. Nie może to jednak oznaczać pozwalania sobie na takie zachowanie, które wyraża prawdziwą afirmację, a więc na przykład serdeczność albo zażyłość z osobą, której postawę moralną potępiamy. Pilnowanie tej granicy jest trudną sztuką. Bo w zasadzie nie wiadomo, gdzie przebiega granica pomiędzy formalną i powściągliwą uprzejmością a taką uprzejmością, która wyraża sympatię i akceptację. Kłopot z wyznaczeniem tej granicy ma zwłaszcza ktoś, kto ma miłe i otwarte usposobienie, jak to właśnie jest w przypadku posłanki Scheuring-Wielgus. Jestem jak najdalszy od przypisywania jej złych intencji. Raczej już niefrasobliwości. A jednak trzeba to mieć przemyślane i trzymać się przyjętych zasad. Być może pani Joanna nie zadała sobie dość trudu, aby zastanowić się, co przystoi, a co nie przystoi w obcowaniu z ludźmi Kaczyńskiego.

Proponowałbym jej (i innym politykom) kilka prostych reguł. Jedne są pozytywne: rękę podać, lekko się ukłonić, w razie czego zamienić kilka słów w sprawach natury technicznej lub o pogodzie. Inne negatywne: żadnych śmichów-chichów,

wspólnego chodzenia do knajp, plotkowania, a już zwłaszcza przyjacielskiego obściskiwania się. Czy są to wymagania ponad siły? Nie sądzę. To zwykła higiena etyczna, dzięki której nie zapomnimy, gdzie przebiega granica między dobrem a złem i po co my w tej polityce właściwie jesteśmy. Bo tak w końcu polityka to jednak coś więcej niż sposób na życie i zarobkowanie. Trzeba być w tym wszystkim po prostu poważnym i wiarygodnym. W przeciwnym razie zawsze górą będą różne Trumpy i Kaczyńscy. Stawka jest więc wysoka.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 324bd6bdbf

Więcej pańszczyzny, mniej podatków

SŁOWO CZERWONE

Skąd w Polsce pracujący biedacy?

Jak wynika z najnowszego raportu Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu (EAPN), prawie połowa (46 proc.) ludzi pracy w Polsce ma dochody niższe od minimum socjalnego, co oznacza, że doświadczają niedostatku. 17 mln Polaków to ludzie biedni. A 2,5 proc. z nas żyje w skrajnym ubóstwie. Skąd bieda w kraju, który wskazywany jest za granicą jako lider dynamicznego wzrostu dochodu?

Przyczyn jest kilka, ale ogólnie rzecz biorąc, chodzi o to, że państwo polskie – niezależnie od tego, kto rządzi – reprezentuje interesy pracodawców, biznesu, a nie ludzi pracy. I to raczej wielkiego biznesu, a nie drobnego.

W czasie pandemii pieniędze z tarczy antycovidowej dostały głównie firmy średnie i duże. Związek Banków Polskich podał do publicznej wiadomości, że 60 mld zł z tej tarczy leży bezużytecznie na kontach firm. W tym samym czasie małe firemki, do dziewięciu zatrudnionych, nie dostały prawie nic, a pracownicy w czasie pandemii byli zdani na siebie i wielu z nich popadło w długi i biedę.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Raport EAPN zadał kłam powszechnemu przekonaniu, że ten, kto pracuje, daje sobie radę. Okazuje się, że mniej więcej w co drugiej rodzinie pracowniczej dochód na osobę nie osiąga nawet bardzo skromnie wyliczonego minimum socjalnego (ok. 1500 zł) Mamy więc do czynienia z dość powszechnym zjawiskiem pracujących biednych. I coraz bardziej poziom rozwarstwienia w Polsce przybliża się do standardu z USA, gdzie odsetek *working poor* to jakieś 30 proc.

Z wydanej właśnie książki „Nierówności po polsku" (trzech autorów: Pawła Bukowskiego, Jakuba Sawulskiego i Michała Brzezińskiego) dowiadujemy się, że jednym z powodów drastycznego rozwarstwienia naszego społeczeństwa jest słabość związków zawodowych. Tylko co dziesiąty pracownik należy do związku zawodowego. A sam bronię często ludzi, którzy zostali zwolnieni z pracy, bo odważyli się zorganizować związek zawodowy.

Ostatnio pojawił się w Polsce koncern prawny Littler, znany w USA ze zwalczania związków zawodowych. Kolejne spółki płacą krocie, żeby paraliżować porozumienie na rzecz lepszych warunków. Co gorsza, w Polsce działalność Littlera jest pośrednio finansowana przez państwo – kosztem dochodu z podatków. Pomoc prawną, w tym sabotowanie dialogu ze związkami, firmy wpisują w koszty prowadzenia działalności gospodarczej i odliczają od podatku. Przepisy nie przewidują żadnego górnego limitu ulgi podatkowej na taką obsługę. Szefowie nic nie tracą, zatem płacą największe pieniądze za zaostrzenie kursu w relacji ze związkami i wypowiadają im wojnę.

Niskie pensje, wydłużanie czasu pracy, niepłacenie za nadgodziny albo płacenie niezgodnie z kodeksem pracy, wymaganie pracy ponad siły – wszystko to wywołuje biedę, choroby, a po stronie pracodawców większe zyski.

Zaporą dla takich praktyk mogłoby być prawo pracy – ale tylko gdyby to prawo traktowano w Polsce poważnie. Gdyby je respektowano. Tymczasem kodeks pracy jest systematycznie odchudzany i aktualnie tak cienki, że przypomina instrukcję obsługi odkurzacza. A każda kolejna ekipa rządowa zmniejsza liczbę izb pracy w sądach, co sprawia, że na rozprawę czeka się coraz dłużej i do sądu jest coraz dalej.

Pomóc mogłaby Państwowa Inspekcja Pracy, gdyby nie była jakimś żartem. W wywiadzie prasowym szef tej instytucji skarżył się, że jest to jedyna taka inspekcja w Europie, która zwykle uprzedza pracodawców o kontroli.

Łamanie prawa pracy jest u nas powszechne. Cóż z tego, że za PiS-u wprowadzono minimalną stawkę godzinową (obecnie 30 zł), skoro mało kto tyle zarabia? Cóż stąd, że umowy śmieciowe są zwykle łamaniem prawa – i sądy często ustalają istnienie stosunku pracy tam, gdzie biznes narzuca umowy cywilno-prawne – skoro na rozprawę czeka się latami?

Inspektorzy pracy chcieli temu zaradzić: zgłosili projekt nowelizacji, który dawałby Inspekcji zdolność podejmowania wiążących decyzji, nakazujących wypłacanie normalnych stawek czy przejście na umowę o pracę. Za niezastosowanie się do tych decyzji groziłyby dotkliwe kary finansowe. Pracodawca, który nie zgadzał się z decyzją inspektora, mógłby odwołać się do sądu. I to on czekałby na odległy termin rozprawy, bo jego bardziej stać na takie czekanie niż pracownika.

Niestety rząd zarekomendował odrzucenie tej nowelizacji.

Podobnie sprawa się ma z bezpieczeństwem w miejscu zatrudnienia.

Co roku w wypadkach przy pracy ginie między 200 a 300 osób. Wielu tych tragedii można by uniknąć, gdyby osoba informująca władze np. o zdjęciu zabezpieczeń, żeby przyspieszyć taśmę – jak to miało miejsce w łódzkim Indesicie – była chroniona prawem przed zemstą pracodawcy.

Niestety, nasz rząd wyłączył z ustawy o sygnalistach wszystko, co dotyczy miejsc pracy. Oburzona tym rozstrzygnięciem ministra pracy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk stwierdziła, że rząd, w którym zasiada, bardziej troszczy się o dobrostan świń niż pracowników.

Ozusowanie umów śmieciowych to jeden z kamieni milowych warunkujących uruchomienie przez Komisję Europejską środków z Krajowego Planu Odbudowy. Tusk jednak stara się tego nie zrobić, bo jego rząd reprezentuje pracodawców, a to mogłoby im się nie spodobać. Pozostajemy więc wciąż w tyle za Rumunią, która umowy śmieciowe skasowała.

Na życzenie biznesu rząd wciąż kombinuje, jak obniżyć składkę zdrowotną pracodawcom, choć jak wynika ze statystyk, to osoby prowadzące działalność gospodarczą są w Polsce najzamożniejsze. Ten sam rząd opracował raport mający wykazać, że zasiłki dla dzieci 500/800 plus nie zdały egzaminu. Wtórując rządowi, redaktor naczelny „Rzeczpospolitej" napisał, że czas ten program wyrzucić do kosza.

Według raportu EAPN 1 proc. najbogatszych uzyskuje dochód równy 15 proc. dochodu narodowego, podczas gdy połowa Polaków osiąga dochód równy zaledwie jednej piątej PKB. Każdy dzień obecnych rządów będzie tę przepaść pogłębiał, bo przyświeca mu zasada odwrotnego Janosika: zabrać biednym i rozdać bogatym.

Od czasów magnaterii rządzące jaśniepaństwo domaga się niezmiennie tego samego: obniżenia podatków i zwiększenia pańszczyzny.

PIOTR IKONOWICZ

KAŻDY DUDEK MA SWÓJ CZUBEK

Za pół roku mamy wybrać prezydenta i bez względu na to, czy będzie nim Trzaskowski, Hołownia czy Nawrocki (naprawdę?!), nie będziemy wiedzieli, czy jest szurnięty czy nie. Sprawa obowiązkowych badań psychiatrycznych kandydatów na ważne funkcje państwowe wróciła w mediach społecznościowych po kabaretowym występie prezydenta Dudy w siedzibie Sądu Najwyższego. Każdemu, kto słyszał i widział wystąpienie głowy państwa, musiało przyjść do głowy, że Duda albo coś wziął, albo przeciwnie: akurat tego ranka zapomniał o lekach.

Kot w worku szaleństwa

Lord David Owen, były brytyjski minister spraw zagranicznych, badacz dwudziestowiecznych szaleńców u władzy, autor wydanej również w Polsce książki „Chorzy u władzy" (a nie „Chorzy na władzę"), zdaje się uważać, że

ludzie, którzy decydują się kandydować na najważniejsze stanowiska państwowe, powinni być poddawani badaniom somatycznym, a zwłaszcza psychologicznym. Wyborcy zasługują na to, żeby nie kupować obłąkanego kota w worku.

Inna sprawa, że nawet całkiem zdrowym politykom władza może niezdrowo uderzyć do głowy. Owen opisuje m.in. przypadki premierów Margaret Thatcher i Tony'ego Blaira, których powodzenie polityczne doprowadziło do pychy, a stąd już tylko krok do dwubiegunówki: depresji przy braku sukcesów i manii po nielicznych chwilach triumfu. Było to nietrudne do zaobserwowania nawet przez przeciętnie uważnych psychiatrów…

Najstaranniejsze obowiązkowe badania umysłowe nie uchroniłyby świata przed takim ludźmi jak Hitler, Stalin czy Mussolini. Paradoksalnie byli oni całkiem normalni – może poza momentami depresji – lecz w historii zapisali się jako szaleńcy. Niech sobie teraz państwo wyobrażą, co by się stało z Andrzejem Dudą, gdyby miał dyktatorską władzę.

Bezsenność wypisana na czole

Tylko raz – jeden jedyny raz w stuleciu – bezkrwawo udało się odsunąć psychola od władzy.

Historia prezydenta Trzeciej Republiki Paula Deschanela jest taka jak Francja i Francuzi – trochę szalona, ale urocza, a w niebezpieczeństwie szybko idzie po rozum do głowy.

Deschanel był genialnym dzieckiem – w wieku 21 lat skończył prawo i literaturę, był zdolnym dziennikarzem, zapowiadał się na świetnego mówcę, pracował dla znaczących ówczesnych polityków: Émile'a de Marcère'a i Jules'a Simona. Nic więc dziwnego, że jeszcze przed trzydziestką, w roku 1885, wybrano go na posła do Zgromadzenia Narodowego.

Specjalizował się w sprawach zagranicznych, ale Francuzi cenili go głównie za rozumne podejście do spraw społecznych. Był wrażliwy na krzywdę – oczywiście jak na umiarkowanego republikanina… Wiedza, pracowitość i zdolność do kompromisu pozwoliły mu zostać przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego w latach 1898–1902 i 1912–1920. Nikt jeszcze wtedy nie zauważał w nim niczego, co by odstawało od normy, no, może z wyjątkiem nieprzywiązywania przesadnej wagi do garderoby.

W wyborach prezydenckich rywalizował z samym Georges'em Clemenceau, uważanym za ojca zwycięstwa Francji w Wielkiej Wojnie. Tuż przed głosowaniem w styczniu 1920 r. przewaga Deschanela była tak duża, że Clemenceau nie pozostało nic innego jak tylko się wycofać. Deschanel został wybrany na prezydenta największą liczbą głosów w historii Trzeciej Republiki.

Ten ogromny sukces musiał spowodować, że mu odbiło… Euforia ustąpiła miejsca irytacji, gdy okazało się, że władza prezydenta jest znacząco ograniczona i sprowadza się w istocie do udziału w licznych ceremoniach, przestrzegania protokołu i stosowania się do surowych zasad bezpieczeństwa. W niewoli konwenansów każdy intelektualista poczułby się niekomfortowo.

Fragment publikacji z „Le Petit Parisien": *Jego marzenie o zreformowaniu instytucji, gdy zostanie Prezydentem Republiki, upadło. Paul Deschanel odkrywa, że w tej kwestii przez całe życie się mylił, że jest sędzią bez gwizdka i czerwonej kartki. Tragiczne jest to, że ambicja zostania głową państwa nie pozwoliła mu dostrzec, że po wyborze nie będzie mógł nic zrobić. (…) Paul Deschanel czuje się jak w więzieniu. Nie może nic powiedzieć, ograniczony obowiązkiem zachowania rezerwy. Bezsilność go przytłacza i przygnębia*.

Pisarz Pierre-Barthélemy Gheusi napisał, że jest *zrozpaczony widokiem zniszczeń pozostawionych na dotychczas wyrazistej twarzy prezydenta*, podkreślając, że *bezsenność ma wypisaną na czole, bezsenność, która przyciemniła mu oczy*. Deschanel był zaniepokojony zagrożeniami dla pokoju w Europie oraz tym, że on, Prezydent Republiki, nic na to nie może poradzić.

To, że jest z nim coś nie halo, spostrzegła też żona. Prezydent popadał w apatię, która wkrótce zmieniła się w depresję. Melancholia tak mu ciążyła, że przestał mieć głowę do podpisywania dokumentów. Robiła to za niego żona – z początku ukradkiem i po kryjomu, potem najzupełniej jawnie. A kto powiedział, że tylko podpisywała; może także podejmowała decyzje…

Prezydent uparł się, żeby chodzić do publicznej łaźni. Nie zawsze zważał na protokół: czasem bez słowa odchodził od stołu podczas przyję-

eprasa.pl 324bd6bdbf

cia, a czasem zapominał się i nie poprzestawał na symbolicznej obecności, lecz bawił się do rana. Pocałował w usta weterana wojennego o bardzo zdeformowanej, poparzonej twarzy. Podobno przyjął ambasadora Anglii sir Edwarda Stanleya, 17. hrabiego Derby, zupełnie na golasa.

Wariacki sposób otwierania okien

Zaczęto szeptać o obłędzie… Najpierw w kręgach rządowych i parlamentarnych, a wkrótce na ulicy. O prezydencie wariacie mówiono z sympatią, lecz także z odrobiną niepokoju. Prawdziwe obawy wzbudził dopiero incydent kolejowy, do którego doszło 23 maja 1920 r.

Deschanel wsiadł do nocnego pociągu, aby nazajutrz w Montbrison odsłonić pomnik poświęcony Émile'owi Reymondowi, który poległ na wojnie w roku 1914. Wieczorem prezydent nie mógł usnąć, bo w wagonie było za gorąco. Musiał otworzyć okno i nieszczęśliwie wypaść! W pobliżu Montargis na ubraną w piżamę i ranną w głowę głowę państwa natknął się robotnik kolejowy. Dziwaka, który podawał się za prezydenta Republiki, odprowadził do domu dróżnika. Dopiero lekarz, po którego posłano, połapał się, z kim miał do czynienia.

O wydarzeniu dowiedziała się prasa. Szaleństwo czy skłonności samobójcze? – spekulowała.

Oficjalnie poinformowano, że Deschanel padł ofiarą *lunatykowania spowodowanego przyjmowaniem proszków nasennych oraz szczególnego sposobu otwierania okien*. Po kilku dniach dodano, że prezydent cierpi na upojenie senne, które po latach nazwano zespołem Elpenora – od imienia postaci z „Odysei"; Elpenor był najmłodszym z towarzyszy Odyseusza. Upił się winem i zasnął na dachu domu, a obudzony rano, pobiegł przed siebie, spadł z dachu i zginął.

Zespół Elpenora, definicja z Wikipedii: *Krótko trwający stan psychotyczny, pojawiający się po nagłym obudzeniu. Należy do parasomni. Wyraża się zmianami świadomości (zamroczenie) występującymi bezpośrednio po obudzeniu. Do stanów predysponujących zalicza się osobnicze skłonności, stany wyczerpania, zmęczenia, okresy rekonwalescencji*.

Czyli szaleniec, ale nie do końca. Raczej zmęczony państwowiec, który nie ma już siły…

Aksamitne odejście na emeryturę

Gdy lekarze stwierdzili, że epizody psychotyczne nie skończą się, jeśli Deschanel nie uda się na kilkutygodniowy całkowity odpoczynek, chciał zrezygnować z funkcji. Pod naciskiem sojuszników politycznych, zwłaszcza premiera Alexandre'a Milleranda, obiecał się zastanowić. Wraz z rodziną pojechał do Montillerie, a następnie zatrzymał się w zamku Rambouillet. Stan zdrowia nie poprawił się.

Prezydent ogłosił rezygnację we wrześniu 1920 r., po niespełna ośmiu miesiącach sprawowania władzy. W liście do parlamentu napisał: *Moim obowiązkiem jest nie zwlekać dłużej z ogłoszeniem decyzji, którą musiałem podjąć. Jest to dla mnie nieskończenie bolesne i z głębokim żalem wyrzekam się szlachetnego zadania. (…) Przechodząc na emeryturę, ośmielam się wyrazić życzenie, żeby przedstawiciele narodu utrzymali jedność w pokoju, dla wielkości i dobrobytu ukochanej Francji, służbie której poświęciłem życie i której poświęcę moją ostatnią myśl*.

Nie liczcie na Andrzeja

Do końca kadencji prezydenta Dudy zostało 270 dni. W tym czasie najpewniej nie poda się do dymisji, bo nie podróżuje pociągami, a z samolotu przecież nie wypadnie…

R.S.

Rozważania o głowie państwa

Od mianownika do bełkotnika

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Patrząc na Andrzeja Dudę, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że granica między człowiekiem a maszyną zaciera się na naszych oczach. Wykażę to na podstawie języka.

Zatem jeżeli chodzi o słowo „pies", to po angielsku jest on „dog". Jeżeli jest psów więcej niż jeden, to będą one „dogs". I zasadniczo nie ma żadnych innych możliwości. Nawet tak zwany dopełniacz saksoński ma tylko formę „dog's". Natomiast po naszemu będą dwa, trzy, cztery psy. Ale pięć będzie psów. Dwadzieścia jeden nadal będzie psów, ale już dwadzieścia dwa psy. Psów będzie dopiero dwadzieścia pięć.

Mogę nie posiadać psa ale przyglądam się psu, a jeżeli trzem, no to psom. Spaceruję z psem lub psami, a rozmawiać mogę o psie lub psach. Jest jeszcze gwarowa forma „pieseł". Nie zapominamy również o pieskach i pieseczkach. Nasz język obchodzi się ze zwykłym psem, że hau! hau! Bardzo wyrafinowanie, egzaltowanie, a zarazem w sposób megaskomplikowany.

Nie dotyczy to oczywiście tylko jednego psa – ale większości wyrazów ze 120 tys., jakie znajdują się w największym „Wielkim słowniku języka polskiego". Który to – przyjmuje się – jest reprezentatywny dla rozmiarów naszej polskiej mowy w ogóle.

Język polski, ta plątanina fleksji i deklinacji, to prawdziwy poligon dla szarych komórek.

Mógłby ktoś wnioskować, że mózgi zaprawione w bojach z przypadkami i skomplikowaną składnią zdań podrzędnie złożonych winny przewyższać intelektem użytkowników języków bardziej prymitywnych, powiedzmy tego angielskiego bełkotu.

Ot, taki lingwistyczny darwinizm.

Niestety tak nie jest. Nasze umysły mają ograniczoną zdolność do procedowania informacji. Podobnie jak moc obliczeniowa komputera nie jest ona nieskończona. Ogromne zasoby analityczne, używane przez polskie umysły do przetwarzania struktur trudnego języka polskiego, sprawiają, że brakuje mocy gdzie indziej. Dlatego jesteśmy narodem głupim.

Polak, jako synonim głuptactwa, istnieje nie tylko w Norwegii. Polski mózg, rzucony na obcą ziemię, wpada w tarapaty. Choć po świecie włóczy się nas tylu, co po Ojczyźnie, sukcesy mizerne, a i dzieciaki po polsku gaworzą, nawet w drugim pokoleniu zamieszkując polskie getta językowe.

Tych powodów do zadumy dostarczył mi pierwszy obywatel, Andrzej Duda, którego przemówienia udowadniają, że język polski naprawdę użytkownika zubaża. Nie wiem jak wy, ale ja po jego wystąpieniach zaczynam wątpić w linearność czasu. Bo jak tu uwierzyć, że to nie jest ten sam dzień, skoro słyszy się wciąż to samo? Nieustannie mam przebłyski: gdzieś to już słyszałem?! On to już chyba kiedyś powiedział?! To już kiedyś było?!

Nietrudno bowiem nie zauważyć, że przemówienia Dudy są kropka w kropkę podobne do przemówień Dudy. Jego wypowiedzi na każdy temat nie różnią się niczym od wypowiedzi na jakiś inny temat. Typowa i każda homilia Andrzeja Dudy musi zawierać następujące elementy:

Pan prezydent to mistrz kurtuazji. Z samych *serdecznych powitań*, a także *chęci powitań* oraz *niezwykłych zaszczytów* i *wielkich radości*, od jakich gadaninę zaczyna, mógłby udzielać korepetycji.

A następnie zaczyna się litania: *Czcigodni, Wielce Szanowni, Dostojni, Szanowni Państwo, Wasze Wysokości, Wasze Królewskie Mości...* Duda próbuje opanować cały słownik grzecznościowy za jednym zamachem, co wydaje się tym bardziej absurdalne, że zazwyczaj zwraca się do zwykłego Kowalskiego jak do cara wszech Rosji.

Teraz jest wtrącenie merytoryczne, głębokie niczym traktat przemyskiego stratega wojskowego: *Józef Piłsudski wielkim Polakiem był!*

Zaraz dalej Duda musi powiedzieć coś o swoich przekonaniach.

Jestem przekonany, że dzisiaj, jako członkowie Unii Europejskiej oraz NATO, stanowimy również wspólnotę afirmacji i aktywizacji. (Założę się, że nie wiecie, co to jest ta „afirmacja" i „aktywizacja", ale to nie szkodzi. Duda też nie wie. Ja również nie).

Jestem przekonany, że dzięki Unii Afrykańskiej głos Afryki jest i będzie lepiej słyszany.

Jestem przekonany, że większość obywateli nie bardzo rozumie, dlaczego nie może kupić normalnej tradycyjnej żarówki.

Jestem przekonany, że proces ekspansji polskich firm będzie kontynuowany.

Jestem przekonany, że dzisiejsza wizyta przyczynia się do powrotu do tamtej atmosfery…

Są to zawsze gołosłowne przekonania, znaczy niczym nieuzasadnione, ale słuchających to nie oburza.

Ponieważ Andrzej Duda jest osobą wierzącą, elementy wiary są nad wyraz eksploatowane. W co wierzy Duda:

Wierzę, że ułatwię rozwój kontaktów – z jednej strony biznesowych, ale także i naukowych pomiędzy naszymi krajami.

Wierzę głęboko, że uda nam się je dobrze rozwijać, w duchu dobrosąsiedzkim.

Wierzę jednak, że dzięki współpracy opartej na zaufaniu i dobrej woli znajdziemy konstruktywne rozwiązania.

Wierzę, że wzmożone, wspólne wysiłki społeczności międzynarodowej doprowadzą do stabilizacji.

Wierzę, że wyznaczony przez Szymona Peresa (lub opcjonalnie Emmanuela Macrona, Olafa Scholza, Andresa Obradoro itd.) *kierunek polityki będzie kontynuowany.*

Następnie naczelny strażnik narodowych interesów, wierny tradycji liberum veto, co jakiś czas musi pokazać kły. Taki rytuał władzy, choćby i tej pozbawionej realnego znaczenia. Oczywiście wszystko to dzieje się w imieniu narodu, jakże by inaczej.

Zatem chciałbym w imieniu Polski wyrazić mój sprzeciw wobec wizji świata zbudowanego na podziale.

Jesteśmy absolutnie przeciwni tej inwestycji.

Jesteśmy przeciwni mechanizmowi relokacji, dlatego nie zgadzamy się na dyktat wbrew polskiemu społeczeństwu.

Polska stanowczo potępia przejawy prześladowań i dyskryminacji.

Teraz musi się pojawić jakaś maksyma kogoś większego niż nasz prezydent, z którą my Polacy się zgadzamy:

Odwołam się do słów mojego wielkiego rodaka, św. Jana Pawła II: „pokój i prawo międzynarodowe są wewnętrznie ze sobą związane, gdyż prawo sprzyja pokojowi".

Wielki Alfred Nobel powiedział kiedyś: „Same dobre intencje nie zapewnią pokoju".

„Niesprawiedliwość narodom korzyści nie przynosi" – pisał w XIX wieku książę Adam Czartoryski.

Jak przypomniał nam papież Franciszek w swej encyklice „Laudato si", „klimat jest dobrem wspólnym, wszystkich i dla wszystkich".

Kolejno prezydent Duda zadaje pytania zawsze inicjowane słowem „dlaczego", na które sam sobie udziela mętnych odpowiedzi.

Dlaczego my, Polacy, płacimy za gaz więcej niż Niemcy? Dlatego, że nie mieliśmy alternatywy i musieliśmy do tej pory cały czas brać gaz od Gazpromu.

Dlaczego? Bo, proszę Państwa, żaden z tych tematów – nie jest sztampowy.

Dlaczego tak mocno to akcentuję? Dlatego, że chcę powiedzieć parę słów o swoim osobistym doświadczeniu z mojego kraju.

Dlaczego o tym mówię? Bo, ostatnio akcentowałem tę kwestię kilkakrotnie bardzo mocno.

Dlaczego? Dlatego, że państwa Unii są coraz mniej skłonne w związku z tym do przyjmowania nowych członków.

Obowiązkowy stały fragment gry to zachcianki:

Chcę, żebyś sobie wyobraził, że ja nie wiem tego, co ty wiesz, i że ty chcesz mi to powiedzieć.

Mówię to bo chcę, żebyś mi to powiedział.

Chciałbym Panów prosić o powstanie i chciałbym, żebyśmy uczcili minutą ciszy pamięć pana prezydenta.

Chcemy Unii elastycznej, solidarnej i konkurencyjnej gospodarczo, która sprzyja indywidualnemu rozwojowi.

Chcemy Unii, która w równym stopniu respektuje wolę wszystkich swoich członków!

Chcę też zapewnić, że Polska zawsze będzie rzecznikiem stabilności, bezpieczeństwa i dobrobytu krajów Europy Środkowej i Wschodniej.

Ta natrętna sztampowość wypowiedzi głowy państwa, ta pustka ukryta pod watą słów, musi uderzyć nawet czytelnika „Faktu". Do tego ta dziwaczna drewniana składnia, tak obca językowi polskiej gęby. Wszystko to nasuwa niepokojącą myśl: czy aby za tym nie stoi jakaś maszyna? Jakiś ubogi kuzyn ChatGPT, który karmi naszego prezydenta pustymi frazesami?

Bo gdy już zdarzy się, że Duda odważy się powiedzieć coś własnymi słowami, efekt jest zwykle opłakany: *Z punktu widzenia Polski i biorąc pod uwagę naszą historię (…), najlepiej byłoby, gdyby Rosji nie było.* Wyobraźmy sobie, że kanclerz Niemiec mówi, że z jego punktu widzenia najlepiej by było, aby Polski nie było, albo kanclerz z Austrii neguje potrzebę istnienia Izraela.

Proszę Państwa, ceny rosną. Tak, ceny rosną, ja sobie zdaję z tego sprawę. Ale Państwo musicie mieć świadomość, że jak rosną wynagrodzenia, to niestety rosną też i ceny – infantylizm maturzysty zagnieżdżony jest w umyśle prawnika z doktoratem.

Są tematy trudne i pan prezydent Macron powiedział, że są tematy trudne, ale – co mnie bardzo ucieszyło, bo przecież ja też mam świadomość, że są tematy trudne – jak to powiedział kiedyś poeta: „są w ojczyźnie rachunki krzywd". To zdanie doskonale obrazuje głębię intelektualną naszego prezydenta. Rzeczywiście, trudno się z nim nie zgodzić, są tematy trudne.

Mieliśmy już różnych prezydentów: generała, elektryka, niemagistra, myśliwego, pasjonata winorośli. Ale na ich tle Duda jest najlepszy, bo jest po prostu głupi. To jest idealny dla nas prezydent, ponieważ jest manifestacją umysłów, poglądów i mentalności Polaków. Kwintesencją polskości.

A jeśli za Dudą rzeczywiście stoi maszyna? Czyż nie otwiera to fascynujących możliwości? Po co wybory, programy, debaty? Wystarczy dobrze zaprogramować algorytm, by bez końca karmił nas koślawymi frazesami, które tak bardzo podobają się większości. Po co zmieniać coś, co tak dobrze udaje funkcjonowanie?

ROBERT JARUGA
robert.jaruga@doborowa.com.pl

eprasa.pl 324bd6bdbf

Ministerialne zakusy na CMKP

Piruety Leszczyny

22 października rząd przyjął projekt nowelizacji ustawy o Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego i niektórych ustaw. Nie byłoby w tym fakcie nic interesującego dla laika spoza medycznego kręgu, gdyby nie kilka niuansów. Resort zdrowia cichaczem przejął kontrolę nad niezależną jednostką nadzorującą tworzone programy kształcenia, jak i jakość podmiotów realizujących kształcenie podyplomowe dla lekarzy; a na dodatek zrobił to wrzutką, która znalazła się w projekcie już po konsultacjach publicznych, przez co strona społeczna nie mogła się do nich odnieść. Smarkate konsekwencje tego ruchu możemy odczuć wszyscy.

Nowela z bonusem

CMKP jest instytucją, której zadaniem jest prowadzenie studiów podyplomowych i studiów doktoranckich w dziedzinie nauk medycznych. Na zlecenie ministra właściwego do spraw zdrowia m.in. organizuje i realizuje działania związane z opracowaniem i aktualizacją programów specjalizacji, nadzoruje przestrzeganie przez jednostki szkolące standardów kształcenia specjalistycznego oraz powołuje zespoły ekspertów opiniujących wnioski placówek ubiegających się o akredytacje do prowadzenia szkoleń specjalizacyjnych dla lekarzy, czyli – krótko mówiąc – sprawdza, czy jednostki spełniają wszystkie potrzebne warunki programów dla kształcenia medyków. Nowelizacja projektu ustawy o CMKP była potrzebna, ponieważ Ministerstwo Zdrowia postanowiło połączyć Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego z Centrum Kształcenia Podyplomowego Pielęgniarek i Położnych, żeby – jak to się ładnie nazywa – zapewnić wysoki standard szkoleń dla wszystkich zawodów medycznych. Przy okazji rzutem na taśmę i całkiem z dupy resort zdrowia zaproponował, aby wyboru dyrektora kształceniowego molocha dokonywało nie jak dotychczas (od ponad 30 lat) wzorem uczelni wyższych Kolegium Elektorów składające się z nauczycieli akademickich, ale minister zdrowia. Gwoli ścisłości określenie „zaproponował" jest nie do końca na miejscu, bo wrzutkę o wyborze dyrektora machnięto po zakończeniu konsultacji publicznych, żeby przypadkiem ktoś nie zgłosił sprzeciwu. Upolitycznienie! – zagrzmiało Porozumienie Rezydentów Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy i zaprotestowało. Co więcej, miało rację.

Akredytacja na miarę

Żeby zrozumieć piruet minister zdrowia Izabeli Leszczyny, warto sięgnąć pamięcią do czasu, kiedy za sprawą niczym nieskrępowanej kreatywności ówczesnego ministra edukacji Przemysława Czarnka jak Polska długa i szeroka niczym grzyby po deszczu zaczęły wyrastać uczelnie lekarskie, najczęściej tam, gdzie mało kto by się ich spodziewał. Pisowski minister sypał zgodami na uruchomienie kierunków lekarskich jak z rękawa, nie bacząc na wyposażenie, kadrę i możliwości logistyczne placówek dydaktycznych. Dzięki temu medycyny zaczęły uczyć (głównie z założenia) Podhalańska Państwowa Uczelnia Zawodowa w Nowym Targu, Akademia Nauk Stosowanych w Nowym Sączu, Społeczna Akademia Nauk w Łodzi i wiele innych szkół wyższych, które wcześniej specjalizowały się w takich kierunkach jak zarządzanie czy turystyka. O tym, że masowa produkcja lekarzy ruszyła z nastawieniem na ilość, a nie jakość, może świadczyć chociażby fakt, że część uczelni nie miała zaplecza prosektoryjnego, a studenci mieli się uczyć anatomii z plastikowych modeli. Większość baboli na nowo powstałych kierunkach medycznych wypunktowała Polska Komisja Akredytacyjna (PKA), która wlepiała negatywne opinie niemalże wszędzie tam, gdzie Czarnek wystawił pozwolenie. Teoretycznie kierunki niespełniające odpowiednich norm jakościowych powinny w wyznaczonym czasie zapewnić infrastrukturę i kadrę potrzebne do prowadzenia rzetelnej edukacji; w przeciwnym razie zgoda na ich prowadzenie powinna zostać cofnięta, a studenci na nich się kształcący przeniesieni do innych placówek. Żeby zapobiec tej nieprzyjemnej sytuacji, Czarnek zrobił prosty myk: po przegranych wyborach przed ustąpieniem z urzędu powołał skład Polskiej Komisji Akredytacyjnej na lata 2024–2027. Dzięki temu połowa członków PKA nowej kadencji (siedem na 14 osób) reprezentowała uczelnie, które otworzyły kierunek lekarski w ciągu poprzednich dwóch lat. Z kolei udział uniwersytetów medycznych w zespole zmniejszył się z 66 proc. (ośmiu na 12 członków) do niespełna 29 proc. (czterech na 14 członków). Było to możliwe właśnie dzięki ścisłej kontroli, jaką Ministerstwo Edukacji miało nad PKA. Czarnek zwyczajnie zabetonował urząd. O ironio, resort zdrowia w odpowiedzi na zarzuty Porozumienia Rezydentów OZZL o upolitycznienie niezależnego dotąd organu CMKP w wydanym przez siebie oświadczeniu napisał: *Planowana zmiana sposobu wybierania dyrektora Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego wynika z potrzeby odzyskania kontroli przez Ministra Zdrowia nad działalnością CMKP.* Po co ministrowi zdrowia ta kontrola?

Rys. BARTŁOMIEJ BELNIAK

Buta Leszczyny

Młodzi medycy z Porozumienia Rezydentów zwrócili uwagę, że

minister zdrowia nie tyle odzyskuje kontrolę nad CMKP, co ją przejmuje, bo kontroli nad jednostką nigdy nie miał.

Wyrazili skądinąd całkiem uzasadnioną obawę, że owa „kontrola" doprowadzi do sytuacji, w której na piedestale priorytetów w kształceniu podyplomowym stanie liczba miejsc specjalizacyjnych, a nie jakość. Mówiąc prościej, będzie pozwalało na prowadzenie specjalizacji tam, gdzie niekoniecznie powinno się ono odbywać. Dotychczas CMKP nie macało się w tańcu i w procesie reakredytacji zwyczajnie uniemożliwiało rozpoczęcie szkolenia w jednostkach, które bezwzględnie nie spełniały nawet minimalnych wymogów zawartych w programach specjalizacyjnych. Co istotne, według nowych przepisów dyrektor CMKP nie będzie musiał wykonywać zawodu medycznego, co samo w sobie stwarza zagrożenie dla właściwej kontroli jakości nauczania. Zakusom Leszczyny sprzeciwili się również Konfederacja Lewiatan i Związek Pracodawców dla Zdrowia. Organizacje stoją na stanowisku, że proponowane przez ministerstwo zmiany spowodują centralizację działań CMKP i utratę jego niezależnej oceny, ponieważ wszystkie procesy od konsultantów tworzących programy po ich realizatora będą w gestii ministra. List do minister zdrowia w sprawie projektu ustawy wysłał też Zarząd Główny Międzynarodowego Stowarzyszenia Studentów Medycyny IFMSA. Izabela Leszczyna wszystkie uwagi spuściła z nurtem gnojówki.

Uśmiechnięte rządy

Pod koniec grudnia 2023 r. minister nauki Dariusz Wieczorek z Lewicy dokonał zmian w składzie Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Ze 100 powołanych przez ministra Czarnka członków odwołał 26, a w ich miejsce powołał nowe osoby (było to możliwe przed rozpoczęciem nowej kadencji PKA 1 stycznia 2024 r.), tym samym odbetonowując jednostkę. Jak tłumaczył wówczas Wieczorek: *chcemy absolutnie zachować niezależność tego gremium. Chcemy pokazać, że to gremium jest reprezentatywne. Wszystkie osoby, które w skład tej komisji zostały powołane, są zgłoszone przez środowisko akademickie. Te 100 osób wybieraliśmy spośród 400 kandydatów.* Kto rozbroi beton i posprząta po Leszczynie, czas pokaże. Kadencja nowego dyrektora CMKP rozpocznie się na początku przyszłego roku i ma trwać cztery lata.

IDALIA DUBICKA

Życie W DOBROBYCIE

● Tydzień temu Zuzanna Jurczyńska pisała w „NIE" o raporcie EAPN dotyczącym biedy w Polsce. Wyszło zeń, że poniżej granicy skrajnego ubóstwa jest u nas 2,5 mln osób, a osób dotkniętych – z powodu niskich przychodów – wykluczeniem społecznym mamy ok. 17,3 mln, czyli jakieś 46 proc. Bezdomnych dzieci EAPN wykryło więcej niż przed rokiem o 57 proc. Skrajnym zaś ubóstwem jest dotkniętych u nas 430 tys. dzieci, czyli 7,6 proc. nieletnich. Skrajne ubóstwo według EAPN jest wtedy, gdy jednoosobowe gospodarstwo domowe ma do wydania miesięcznie mniej niż 913 zł, a para wychowująca dwójkę dzieci – 2456 zł. Przy wykluczeniu społecznym górna granica miesięcznych wydatków to 1711 zł, a w rodzinie dwa plus dwa – 4620 zł. Oznaczałoby to, że gdy rodzina na dwójkę dzieci dostaje 1600 zł, to aby nie być skrajnie biedną, wystarczy, że któreś z rodziców przyniesie do domu miesięcznie całe 900 zł. Gdy zaś mowa o wykluczeniu społecznym, to przy 1600 zł z 800 plus niewykluczonymi będą ci rodzice, z których choć jedno do tej kwoty dorobi w miesiącu mniej niż najniższą krajową. Nie kwestionując odkrywczości badań EAPN, wypada się zastanowić, jak dotarto do prawdziwych dochodów rodzin, które nie płacą PIT, czyli niemal wszystkich zamieszkujących wieś. Żeby jednak nie popaść w statystyczną czarną rozpacz, wypada wiedzieć, że w Niemczech według miejscowych statystyk prawie 14,5 mln ludzi też jest dotkniętych ubóstwem. A na dodatek skrajnie biedne jest aż 22 proc. mieszkających za Odrą dzieci.

● Statystyk biedy nie umniejszy też fakt, że firma MA Polska specjalizująca się w produkcji stalowych elementów nadwozi dla francusko-włosko-amerykańskiego koncernu samochodowego Stellantis zwolni do końca roku 260 pracowników w Kielcach i Tychach. W Kielcach pracę straci 125 osób z 631 zatrudnionych i będą to największe zwolnienia w tym mieście w ostatnich latach. W Tychach zieloną trawkę zaliczy 135 z 879 osób. Redukcje w MA Polska to efekt kłopotów koncernu Stellantis, który też zwalnia 500 osób. A wszystko to z powodu *konieczności dostosowania wielkości produkcji do obecnej, bardzo trudnej, sytuacji na rynku motoryzacyjnym*. Szczęściem w nieszczęściu jest to, że robotę stracą blacharze, mechanicy i lakiernicy, na których z otwartymi ramionami – i znacznie niższymi niż w MA zarobkami – czekają miejscowi przedsiębiorcy.

● Tymczasem biznesmeni pod Tatrami ogłaszają wszem i wobec, że w dwa miesiące na Podhalu można zarobić więcej niż przez pół roku w dyskoncie, a mimo to nie mogą znaleźć ludzi do roboty w turystyce i knajpiarstwie. Ciekawe, ile płaci się tam w dyskontach, bo oferta góralskich przedsiębiorców to 38 zł za godzinę brutto, co przy ośmiogodzinnym dniu pracy daje ok. 6400 zł miesięcznie. Czyli na rękę tyle, by czteroosobowa rodzina nie była wykluczona społecznie. Jest jednak haczyk. Zamiejscowym robota w Zakopanem się nie opłaca, bo musieliby za co najmniej 2,5 tys. zł wynająć sobie jakieś lokum. Dlatego do roboty zgłaszają się sypiający po kilka osób w pokoju pracownicy z Nepalu, Indii, Filipin, Pakistanu czy Uzbekistanu. Ich jednak badania biedy w Polsce nie obejmują.

Rys. WIDGET

● Oczywiście zadaniem każdego rządu jest walka z ubóstwem. Szczególnie zaś przynależy to resortowi pracy i polityki społecznej. Na jego czele stoi Agnieszka Dziemianowicz-Bąk i zapewne w ramach walki z biedą złożyła właśnie wniosek o to, żeby kościelna Wigilia Bożego Narodzenia była dniem wolnym od pracy.

● Przed skrajnym ubóstwem broni się emeryt Stefan Niesiołowski. Sąd Okręgowy w Łodzi właśnie stanął po jego stronie i wydał decyzję w sprawie zadośćuczynienia za niemal rok internowania w stanie wojennym. Niesiołowski dostanie za to 450 tys. zł. Co nie zaspokaja jego potrzeb, które wszak wycenił na 650 tys. zł. Były polityk wyznał mediom, że czekał ze złożeniem pozwu w tej sprawie do czasu, aż przestanie pełnić funkcje państwowe. Za te zaś jako parlamentarzyście państwo wypłacało się Niesiołowskiemu przez 22 lata, wypracowując mu wielotysięczną emeryturę, z której widać nie da się godnie wyżyć.

● Z raportu o ubóstwie wynika, że nader cienko przędą emeryci i renciści. Pewnie żeby nie zaburzać wzrostu biedy, Polacy masowo wycofują się z inwestycji, które Morawiecki wymyślił im zamiast otwartych funduszy emerytalnych. Jego program pracowniczych planów ka-

eprasa.pl 324bd6bdbf

PSL na rozstajach władzy

Rys. BARTŁOMIEJ BELNIAK

Zeteselowiec radzi kamyszkom

Swego czasu Waldemar Pawlak, zapytany, kto wygra wybory, odparł: *nasz koalicjant*. To zdanie pozostaje do dziś najtrafniejszym komentarzem dla politycznego oblicza Polskiego Stronnictwa Ludowego, nie bez racji nazywanego od lat partią obrotową.

Sojusz iluzoryczny

Polityczna doktryna Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego umiejscawiała je na pozycji koalicjanta – a tak naprawdę wasala – Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Choć hasło *Niech żyje sojusz robotniczo-chłopski, podstawa władzy ludowej* niesiono na czele każdego pochodu pierwszomajowego – sojusz ów był iluzoryczny. Nie tylko dlatego, że już u swego zarania sojusznik pokazał ruchowi ludowemu, gdzie jest jego miejsce, masowo aresztując jego przywódców przed referendum „3xTAK" oraz pierwszymi wyborami do Sejmu Ustawodawczego 19 stycznia 1947 r. Ważniejsze, że ustrojowa doktryna sojuszu robotniczo-chłopskiego nie sprawdziła się nigdy w historii powojennej Polski. Wpływ zasadniczy miała na to podstawowa niezgodność interesu ekonomicznego tych warstw społecznych: chłop chciał drogo sprzedać produkt swojej ciężkiej pracy – robotnik chciał mieć tanią żywność. Na próbie pogodzenia tych interesów przejechało się kilka komunistycznych rządów i pierwszych sekretarzy KC PZPR. Z drugiej jednak strony – to ZSL był w latach 70. orędownikiem przemian społecznych, które doprowadziły nie tylko do zniesienia obowiązkowych dostaw, ale też wprowadzenia ubezpieczenia zdrowotnego oraz rent i emerytur, które wielu rolników pobiera do dziś.

Mimo sojuszniczej nierówności – w obozie władzy toczył się bowiem dialog. W tych zapomnianych czasach odbywały się cyklicznie posiedzenia wojewódzkich komisji współdziałania PZPR, ZSL i SD. W posiedzeniach uczestniczyli też, z prawem głosu, przedstawiciele kierownictwa PAX – stowarzyszenia zrzeszającego katolików współpracujących z władzami PRL.

Jako świadek tamtych spotkań – a byłem tam często sekretarzem, a nierzadko też kelnerem – mogę zaświadczyć, że nie były to nigdy spotkania bezkrytycznego towarzystwa wzajemnej adoracji i wielkiego klepania się po plecach. Było to forum ścierania się poglądów na temat bieżących spraw gospodarczych i politycznych regionu. Inna sprawa, że gorącą atmosferę dyskusji na koniec gasiła seria toastów – koledzy z PAX-u przynosili wino mszalne, a gospodarz rewanżował się innymi zacnymi trunkami. Znamienne było jednak to, że wysoka komisja niemal zawsze rozchodziła się z uzgodnionym wspólnie stanowiskiem w przedmiocie obrad. Dziś w obozie rządzącej koalicji najwyraźniej nie ma pomysłu, aby problemy i projekty ustaw stawiane na forum Wysokiej Izby rozpatrywać najpierw na wspólnych posiedzeniach klubów parlamentarnych, a przynajmniej na międzypartyjnych gremiach ich kierownictw.

Wódz konserwatywny, elektorat postępowy

Dziś Polskie Stronnictwo Ludowe współtworzy rząd Rzeczypospolitej, dzierżąc funkcję wicepremiera i cztery teki ministerialne. Nie jestem przeciwnikiem politycznej walki o stołki, którą od lat zarzuca się PSL-owi. Wszak partia to organizacja o określonym programie politycznym, mająca na celu jego realizację poprzez zdobycie i sprawowanie władzy lub wywieranie na nią istotnego wpływu. Im więcej zatem posiada się stołków w szeroko pojętej władzy – tym większy ma się wpływ na rządzenie państwem, co jest głównym celem i motywacją działania każdej partii politycznej na świecie. Nie jestem nawet przeciwnikiem nepotyzmu: syn papieża – a takie rzeczy w historii rzymskiego Kościoła się przecież zdarzały – może być dobrym papieżem, bo od kołyski uczył się fachu przy tatusiu. Jednak ani stołki, ani zmarginalizowana społecznie doktryna ideologiczna nie mogą być przedmiotem politycznego szantażu w ramach, przyjętego przecież dobrowolnie, porozumienia politycznego, jakim jest umowa koalicyjna.

Nie ulega wątpliwości, że pierwszym hamulcowym jest Andrzej Duda – ale nie da się też ukryć, że Trzecia Droga, a w niej PSL, noszą w kieszeniach piasek do sypania w tryby i kołczany patyczków do wsadzania w szprychy postępowych przemian społecznych.

Partie wodzowskie, PiS i Platforma Obywatelska, niemal co dnia robią sondaże opinii publicznej – zarówno na temat popularności swoich przywódców, jak i wiodących kwestii programowych. PSL z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem zatrzymało się na ideologii z historycznych sztandarów, których zarówno hasła, jak i wizerunki mocno się dziś zdezaktualizowały.

Tymczasem większość potencjalnego elektoratu PSL to seniorzy wyrośli na gruncie postępowego, jakkolwiek by patrzeć, ZSL-u i ich potomni.

Także terenowe struktury partyjne Polskiego Stronnictwa Ludowego są oczywistą schedą po sprawnie funkcjonującym aparacie społecznym i etatowym Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.

Ludowi działacze ze starego ZSL-u – choć to już dzisiaj PSL-owcy – w niektórych regionach kultywują tradycje cyklicznych spotkań. W Słupsku, dla przykładu, niemal co miesiąc w herbaciarni zabytkowego spichlerza spotykają się byli funkcyjni działacze i pracownicy struktur Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Może już coraz częściej mówią o swoich dolegliwościach, ale zawsze przebija tam głęboka troska o przyszłość ruchu ludowego i ład społeczno-prawny. W tym nieformalnym stowarzyszeniu zasiadają pospołu Eugeniusz Diakun, były wicewojewoda słupski, i Wojtek Ciepłuch, kierowca z Wojewódzkiego Komitetu ZSL, który bez kłopotów na każdym spotkaniu potrafiłby zastąpić merytorycznego pracownika WK. Organizatorem tych spotkań – a być może demiurgiem nawet – jest słupska prawniczka Teresa Kostrzewińska. Tam nie ma miejsca na funkcje ani oficjalne zwroty. Gienek jest dla każdego Gienkiem, Wojtek Wojciechem, a Teresa Terenią.

Kosiniak-Amisz?

Zasadą rozumnego przywódcy powinno być słuchanie opinii nie tych, którzy pracują dla niego – lecz tych, dla których on pracuje. To tym łatwiejsze dziś, gdy nastroje i opinie wiernego elektoratu można badać na bieżąco. Zawsze na uwadze trzeba mieć także nieśmiertelne credo Wincentego Witosa: *Tam, gdzie zaczyna się interes państwa, tam kończy się interes partii.*

PSL-owi potrzebne jest dziś spojrzenie w przyszłość. Wzorem innych krajów musi on przyjmować i akceptować postępowe trendy ideologiczne – zarówno w kwestii praw kobiet, jak i związków partnerskich.

Prezes Kosiniak-Kamysz powinien zapomnieć już o tej kruchtowo-kościółkowej części elektoratu, która od dawna całuje rękę Kaczyńskiego i papy Rydzyka. Powinien dbać o swój rozumny i w miarę świecki elektorat

– bo to ten elektorat dał mu przecież udział w sprawowaniu wysokiej godności wicepremiera i ministra Obrony Narodowej.

W obozie prawicy nadal płonie płonna nadzieja na współpracę z ludowcami. Ich prezes od dawna jest nachalnie kokietowany przez kaczystowską prawicę. Władysław Kosiniak-Kamysz na premiera – taką ofertę swego czasu złożył liderowi ludowców szef pisowskiego rządu Mateusz Morawiecki w wywiadzie dla Interii, godząc się nawet na fuchę ministra w Kosiniakowym rządzie. Dziś Duda chwali Kosiniaka-Kamysza w swoim orędziu jako jedynego sprawnego wicepremiera i ministra. Ponoć kiedyś pani Zosia powiedziała Jarosławowi na targu, że chłop, jak chce się dobrać jej do tyłka, to też jest zawsze straśnie milutki.

Złośliwy internet zmodyfikował nazwisko prezesa PSL: Władysław Kosiniak-Amisz. To bardzo pasuje do religijnego zapału wicepremiera, a także liczby poślubionych żon. W żaden sposób jednak nie przystaje do jego funkcji ministra Obrony Narodowej, bo amisze brzydzą się wszelką przemocą, a pancernej broni, na której tle fotografuje się pan minister, nie widzieli na oczy. To, że na konferencjach prasowych szef PSL, przechodząc do spraw politycznych, pozbywa się z tła asystujących mu generałów – to politycznie poprawny, ale jednak tylko piarowski manewr taktyczny.

Za czasów oficjalnej prezesury Stefana Ignara, a także wiele lat później, kiedy nieformalnym przywódcą ruchu ludowego był Zdzisław Tomal, o ludowcach zwykło się mówić, że to mali ludzie. Dziś, za prezesury Władysława Kosiniaka-Kamysza, zyskują sobie przydomek kamyszków. Jak tak dalej pójdzie, zamienią się w drobny żwirek. Mam nadzieję, że to nie będzie żwirek dla kotów prezesa Kaczyńskiego.

TADEUSZ GAWLIK

pitałowych polega na tym, że do składek na przyszłe emerytury dorzucają się, oprócz pracownika, również państwo i pracodawca. W przeciwieństwie jednak do OFE kasę tę można z PPK wycofać w każdej chwili. I rodacy, których zapisało się do programu 3,6 mln, nie wahają się z tego uprawnienia korzystać. W drugim kwartale tego roku Polacy pobili rekord w kwocie wypłaconych kwot. W tym okresie wycofano 498 mln zł. W tym samym czasie w 2022 r. wypłacono zaledwie 139 mln zł, a w 2023 r. – 400 mln zł. W sumie od początku roku z PPK wycofano prawie miliard złotych. Tracą na tym banki, które są właścicielami funduszy PPK. I to podwójnie, bo ludzie, którzy wycofują swoje oszczędności emerytalne, chwilowo nie będą musieli w nich zaciągać kredytów na to, by mieć za co żyć, nie popadając w skrajną biedę.

● Nie ma jednak co płakać nad niedolą banków, bo okazało się, że należący do państwa Alior Bank wynikiem 665,9 mln zł zysku pobił kwartalny rekord bogacenia się. Poprzedni rekord wynosił 586,7 mln zł i osiągnięty został w czwartym kwartale 2023 r., kiedy to banki płakały, że przędą coraz cieniej. Skąd wzięły się rekordowe zyski Aliora? Głównie, bo aż o 20 proc., ze wzrostu przychodów z prowizji. Rekord zaskoczył nawet analityków, którzy oczekiwali, że zysk wyniesie 524 mln zł. Konia z rzędem temu, kto powie, czy fakt, że bank zdarł z klientów mnóstwo kasy i przekazał te pieniądze fiskusowi oraz akcjonariuszom, to dla skrajnego ubóstwa dobrze czy źle?

TTJ

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Zaskakujące jest już to, że poseł Marek Suski, jeśli chodzi o iloraz inteligencji najbardziej pisowski z pisowców, jest członkiem sejmowej komisji kultury i środków przekazu. Kultury…

Posiedzenie komisji kultury. Pod jego koniec odbywa się wymiana zdań, bo przecież nie rozmowa. Przewodniczący komisji Piotr Adamowicz z Koalicji Obywatelskiej postanawia o zakończeniu posiedzenia.

Na to Suski: *Nie, nie, przepraszam, nie może pan zamknąć posiedzenia*.

Adamowicz nie zmienia decyzji.

Suski: *Ty, po prostu, debilu*.

Adamowicz: *Nie było pana posła, nie trzeba było wychodzić*.

Suski: *Zgłaszałem się do głosu, ty debilu*.

Adamowicz dziękuje posłom za udział w posiedzeniu. Niektórzy posłowie uważają, że odzywki Suskiego to skandal.

Na co Suski: *Po prostu po imieniu nazywam debila debilem. Oszusta*.

• • •

My do Suskiego – tak, żeby zrozumiał: kto się przezywa, tak samo się nazywa.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 324bd6bdbf

Salceson wypluty w piątek

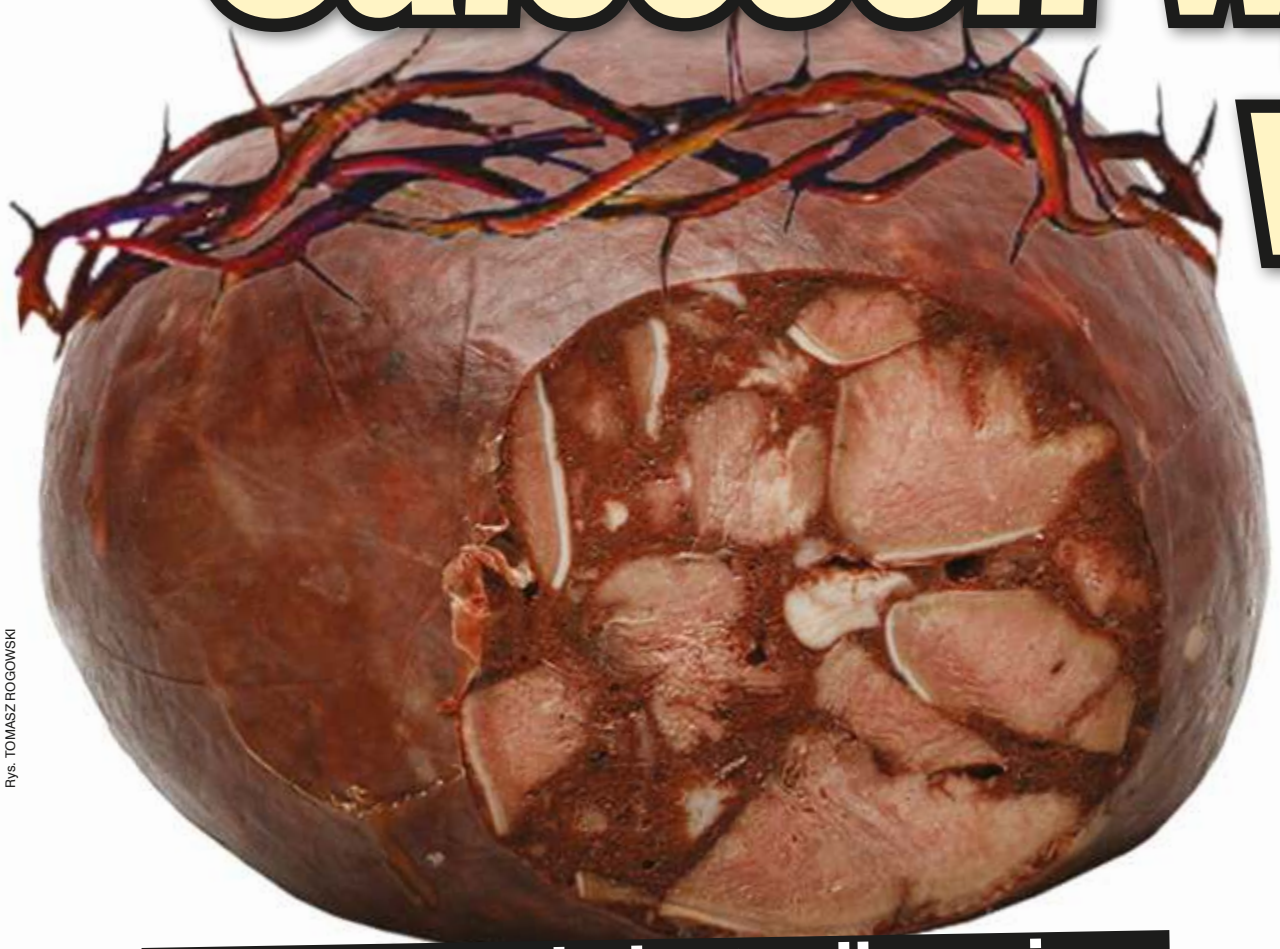

Rys. TOMASZ ROGOWSKI

Aresztant nie jest milczeniem

Wychudzony, osłabiony, ogolony na łyso. Tak dziś wygląda torturowany ks. Michał Olszewski; Wstrząsający widok! Torturowany Ks. Michał Olszewski jest tak wychudzony i wymaltretowany, że trudno go poznać – prawicowi i katoliccy komentatorzy prześcigali się w drastycznych opisach, by oddać grozę i powagę sytuacji po wypuszczeniu duchownego na wolność po półrocznym areszcie. Jest to o tyle ciekawe, że ks. Olszewski już przed zatrzymaniem był łysy jak kolano. Może chodzi o to, że zgolił brodę? Z tym wychudzeniem też bez przesady. W końcu – jak mówili ziobryści – to nie sanatorium.

Ofiara

Ks. Michał Olszewski został wykreowany na pierwszą spośród duchownych ofiarę antyklerykalnego reżimu Tuska. Czuje się w tej roli nienajgorzej: po wyjściu z miejsca odosobnienia przytulał i błogosławił gawiedź, po czym wsiadł do auta z matką i odjechał w siną dal celebrować wolność po swojemu. Wiara zwolenników poprzedniej władzy w niewinność księdza jest tak ugruntowana, że żadne argumenty ich nie przekonają. Płacz i zawodzenie starszych pań zebranych pod aresztem dowodzi, że pierwsze skrzypce grają tu emocje. Podsycane – podkreślmy – przez pisowskie media, które wykreowały księdza „Salcesona" na Popiełuszkę XXI w., co im się ładnie zrymowało z 40. rocznicą śmierci oryginału. *Chciałbym wszystkim podziękować. Mówili, że to był areszt wydobywczy, ale on był wydobywczy w tym znaczeniu, że wasze modlitwy mnie wydobyły* – poetycko podziękował zgromadzonym pod pierdlem fankom.

Przypomnijmy: ks. Michał Olszewski został zatrzymany przez ABW w marcu tego roku. Sąd zdecydował o zastosowaniu środka zapobiegawczego w postaci aresztu tymczasowego. Olszewski podejrzany jest o machlojki przy Funduszu Sprawiedliwości, czyli ziobrowym źródełku forsy dla krewnych i znajomych królika. Jego Fundacja Profeto obficie czerpała z tego źródełka, realizując ambitne plany stworzenia wypasionego centrum medialnego. Tego samego dnia co Olszewski zatrzymane zostały także dwie urzędniczki Ministerstwa Sprawiedliwości – w tej samej sprawie. W piątek 25 października cała trójka opuściła areszt po wpłaceniu kaucji.

Triumf

Pisowskie media Sakiewicza i braci Karnowskich ogłosiły triumf sprawiedliwości nad bezbożnymi „bodnarowcami", którzy uwięzili świętą trójkę w lochu. W eter poszedł przekaz, że siepacze Bodnara nic na bohaterów nie mają, więc musieli ich wypuścić. Tymczasem jest zupełnie odwrotnie: zgromadzono już komplet dowodów i nie ma obaw mataczenia przez księdza i niewiasty, więc mogą odpowiadać z wolnej stopy. Oczywiście można to interpretować jako nieporadność wymiaru sprawiedliwości, który potrzebuje tyle czasu, żeby zebrać dowody i papiery. Areszt tymczasowy był i – mimo zmiany władzy – jest nadużywany. Ale akurat urzędniczki Ministerstwa Sprawiedliwości powinny wiedzieć, jak to działa.

Ksiądz Olszewski został już opisany wzdłuż i wszerz, natomiast po uwolnieniu z pierdla wypłynęły na medialną głębię jego towarzyszki niewoli. Szczególną uwagę zwraca na siebie Urszula Dubejko, która po wyjściu na świeże powietrze zdążyła obkolędować całą listę prawdziwie polskich mediów, gdzie opowiadała ze szczegółami, jakim ją poddawali torturom i jakich łask doznawała.

> ***Muszę powiedzieć, że to była trochę taka Droga Krzyżowa. Mogłam dzielić, oczywiście w bardzo małym stopniu, cierpienie Chrystusa*** **– mówiła skromnie w Radiu Maryja uwolniona ziobrowa urzędniczka.**

Dubejko już wcześniej dała się poznać jako autorka pobożnych rysunków tworzonych w celi – m.in. ks. Olszewskiego w koronie cierniowej. Po opuszczeniu aresztu z miejsca stała się gwiazdą.

Jako upokorzenie wspomina fakt, że pierwszego dnia na kolację podano jej salceson. To oczywiste nawiązanie do ksywki ks. Olszewskiego, który swego czasu wyganiał demona wegetarianizmu salcesonem. Trzeba przyznać, że to dość udany żart funkcjonariuszy. Gehenna pani Urszuli polegała z grubsza na tym, co serwował wszystkim aresztantom i więźniom jej dawny pryncypał Zbigniew Ziobro. Zza biurka w ciepłym ministerstwie i na papierze te procedury najwyraźniej wyglądają mniej brutalnie niż w praktyce, skoro nie interweniowała, gdy miała na to jakiś wpływ. Może za to mówić o sukcesach osiągniętych już za kratami. Wywalczyła gruszki jako wzbogacenie więziennego menu. Listy PiS w kolejnych wyborach zapewne staną przed nią otworem. W końcu politycy są specjalistami od obiecywania gruszek na wierzbie.

Bogaci i biedni

Szczególną rolę w sprawie „Salcesona" odegrały pisowskie media. Wyjątkowe zasługi ma Telewizja Republika, której gwiazda, Michał Rachoń, wpłaciła kaucje za urzędniczki – po 350 tys. zł za każdą. Poniekąd zapłaciliśmy my wszyscy, bo Rachoń dorobił się w TVP szczodrze dotowanej z budżetu. Widzów Republiki nie zastanawia fakt, skąd ich pupil ma taki szmal.

W tym samym czasie stacja apeluje do widzów, by wpłacali datki na nową ścianę wideo i sprzęt potrzebny do funkcjonowania stacji. Sakiewiczowi i spółce potrzebny jest na techniczne zachcianki raptem milion złotych. Emeryci wpłacają z głodowych emerytur na nowe zabawki dla Rachonia, a on sam ratuje dupy urzędniczkom z własnej kieszeni. Rydzyk może pozazdrościć takiego modelu biznesowego.

Za księdza Michała kaucję (też 350 tys. zł) wpłaciło zgromadzenie sercanów, do którego należy. Okazali serce. Trzeba chuchać i dmuchać na kurę, która znosi złote jaja. Ale typowany na nowego Rydzyka duchowny już na początku drogi okazał się mniej sprawny od pierwowzoru – dał się złapać. Dzisiejsza młodzież nie ma podjazdu do starych wyjadaczy.

MATT KOBOSKO

WIARA CZYNI CZUBA

1. Przez pierwsze czytanie w Dumie przeszedł projekt ustawy zakazującej *propagandy* na rzecz bezdzietnego stylu życia. Za publiczne zniechęcanie do posiadania dzieci osobom fizycznym ma grozić 400 tys. rubli (16,5 tys. zł) grzywny, firmom – do 5 baniek (ok. 200 tys. zł). Obcokrajowcy, którzy tworzą treści promujące bezdzietność, będą deportowani. Zachęty do bezdzietności to *element profesjonalnej propagandy, część wojny hybrydowej mającej na celu redukcję populacji* – mówiła w Dumie Elwira Aitkulowa, jedna z autorek projektu, który nazwała *strategiczną ustawą na rzecz silnej, produktywnej i zdrowej przyszłości*. Zgodził się z nią przewodniczący izby Wiaczesław Wołodin: *Trzeba chronić ludzi, przede wszystkim młode pokolenie, przed narzucaniem im ideologii bezdzietności w internecie, mediach, filmach i reklamach*.

2. Kim Leadbeater, posłanka Labour Party, zgłosiła poselski projekt ustawy mający na celu zalegalizowanie wspomaganej śmierci dla nieuleczalnie chorych osób dorosłych pozostających w pełni władzy umysłowych. Odezwała się jej partyjna koleżanka Shabana Mahmood, która w nowym lewicowym rządzie labourzystów pełni kluczową rolę lorda wielkiego kanclerza Wielkiej Brytanii – czyli ministra sprawiedliwości. Zagłosuje przeciwko ustawie, ponieważ *śmierć nie jest usługą, którą państwo powinno oferować* – powiedziała i szybko dodała, w razie gdyby ktoś myślał, że chodzi jej o kwestie etyczne: *Jako muzułmanka mam niezachwianą wiarę w świętość i wartość ludzkiego życia*. I to by było tyle, jeśli chodzi o postępowy, neutralny religijnie rząd lewicy.

3. Grupa wolnomyślicielska Świątynia Satanistyczna zorganizowała w Atlancie czarną mszę. Lokalni katole dostali amby. Arcybiskup Atlanty Gregory Hartmayer wezwał wszystkich papistów do *modlitwy zadośćuczynienia i pokuty*, zażądał też od Świątyni – przez prawnika – wydania konsekrowanych hostii, które jego zdaniem miały być użyte w tym *bluźnierczym rytuale*. Otrzymał bardzo poważną odpowiedź: *Wbrew zarzutom abp Hartmayera Świątynia Satanistyczna nie zaangażowała się w kradzież ani jakąkolwiek nielegalną działalność. W szczególności nie ukradliśmy konsekrowanej hostii ani nie promujemy nielegalnych zachowań*. Oświadczenie, opublikowane na Instagramie było ilustrowane wizerunkiem szatana z kwadratowym ciastkiem i podpisem: *Nie ukradliśmy waszych krakersów*. No i jak tu ich nie kochać?

4. Joe Nicola, pastor Duszpasterstwa Nowego Przymierza w Independence w stanie Missouri, chce zostać stanowym senatorem. Kandyduje pod hasłem *Republikanin na rzecz Wiary, Rodziny i Wolności*. Wrogowie wiary wynaleźli, że parę lat temu Nicola – który pragnie wszak głosowania nad finansowaniem opieki zdrowotnej – wypowiedział się na temat zaburzeń zdrowia psychicznego. *Nie twierdzę, że choroby psychiczne nie istnieją. Wierzę jednak, że przeoczamy bardzo ważną prawdę biblijną – opętanie przez demona. U ani jednej osoby, z którą miał do czynienia Jezus, nie zdiagnozowano choroby psychicznej; Biblia mówi nam, że byli opętani przez demony i jedynym sposobem leczenia jest wyrzucenie demona, a nie podawanie leków*. A przecież 2000 lat temu na Bliskim Wschodzie było tyle leków na choroby psychiczne.

5. Z kolei Joel Webbon, pastor Kościoła Biblijnego Przymierza w Georgetown w Teksasie, ma pomysł, jak poradzić sobie z ruchem MeToo: *Wystarczy kilka publicznych egzekucji*. Stracone mają być oczywiście kobiety, które kłamały, że zostały zgwałcone, albowiem *w Izraelu – i powinno to być prawo kraju w naszym kraju i w każdym kraju, bo to jest zasada ponadczasowa, uniwersalna – jeśli złożysz przeciwko komuś fałszywe świadectwo, to powinna cię spotkać taka kara, jaka grozi za czyn, o który kogoś kłamliwie oskarżyłaś*. Jaka? W tej sprawie duszpasterz Kościoła miłosiernego Chrystusa nie uznaje kompromisów: fałszywe oskarżycielki powinny zostać skazane na śmierć, a wyrok powinien zostać wykonany publicznie. *I wiecie, co by wtedy zrobili obywatele Stanów Zjednoczonych Ameryki? Hasztag MeToo skończyłby się naprawdę szybko*. Alleluja!

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 324bd6bdbf

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Tajemnice spowiedzi

Szeptanie do ucha obcego mężczyzny to nie jest zajęcie dla dzieci.

Wprawdzie do sezonu komunijnego jeszcze kawał czasu, ale rozgorzała jesienna dyskusja o spowiedzi. Wywołała ją Maria Kubisa, ginekolożka i radna sejmiku województwa zachodniopomorskiego. W rozmowie z „Wyborczą" rzuciła, że powinno się zaprzestać praktyki spowiadania dzieci, bo to przemoc psychiczna wobec nich, mogąca skończyć się traumą na całe życie. Temat nienowy, wałkowany już wielokrotnie i przy różnych okazjach. Ale tym razem nie tyle teza, ile jej autorka wprawiła obrońców Kościoła kat. w stan najwyższego podniecenia.

Semka od rzeczy

Z odsieczą klerowi ruszył prawicowy publicysta Piotr Semka, który wysmarował tekst w okołopisowskim tygodniku „Do Rzeczy". Popularny w tamtych kręgach komentator pominął jednak meritum, a prawackim zwyczajem zaatakował osobę. Jako się rzekło, Maria Kubisa jest ginekolożką. Wytrawny dziennikarz śledczy Semka wytropił, że jest ona oskarżona o pomocnictwo w przerwaniu ciąży w celu osiągnięcia korzyści majątkowej. W Sądzie Okręgowym w Szczecinie właśnie ruszył jej proces. W styczniu ubiegłego roku do jej gabinetu wkroczyli uzbrojeni agenci CBA i zabrali dokumentację z danymi kilku tysięcy pacjentek. Do winy się nie przyznaje, a w środowisku feministycznym uchodzi za bohaterkę. Wiadomo, jaki mieliśmy klimat za rządów PiS, jeśli chodzi o aborcję. Od marszałka województwa zachodniopomorskiego Kubisa otrzymała nagrodę „Obrończyni Praw Człowieka". Red. Semka nie przyłącza się do chóru pochwalnego, sprawę widzi zupełnie inaczej.

Skoro bowiem Kubisa jest fetowana na feministycznych salonach, a Koalicja Obywatelska wpuściła ją na listę samorządową, to w jej wypowiedziach nie ma przypadków. Znawca polityki Semka widzi sprawę szerzej – jako kolejny akt rugowania wszystkiego, co katolickie, z przestrzeni publicznej, a nawet prywatnej. Lekarka została przez obecną władzę wytypowana do zaatakowania kolejnej świętości. Jako aborcjonistka ma przecież posłuch u bezbożników, zatem idealnie nadaje się do roli wojującej ze spowiedzią – tako rzecze Semka. *Czy podejmuje nową akcję, aby potem twierdzić, że ciągana jest po sądach za rzucenie kolejnego wyzwania księżom? Jedno jest pewne. Jej specyficzna kariera to przykład, jak Koalicja Obywatelska konsekwentnie żyruje nawet najbardziej radykalne działania wojujących feministek. I jak krok po kroku uwiarygadnia osoby gotowe do walki z prawami ludzi wierzących. Wszystko po to, by wchodzić z butami w wychowanie religijne dzieci katolików* – konkluduje prawicowy Sherlock Holmes. Wynalezienie jej ubeckiego pochodzenia pozostaje kwestią czasu.

Za kratami

Temat podniesiony przez Kubisę nie jest żadnym nowym odkryciem wprost z laboratorium antyklerykalizmu, ale funkcjonuje w debacie dobrych kilkanaście lat. Na publicystyczne salony wynieśli go m.in. profesorowie Bartoś i Obirek, którzy w tej kwestii są praktykami. Praktykami po księżowskiej stronie krat konfesjonału. Obaj byli kiedyś duchownymi katolickimi i obaj z podobnym przekonaniem i determinacją starają się dotrzeć do opinii publicznej z przekazem o szkodliwości spowiedzi nieletnich.

Cały ten proces sprawia, że dziecko dowiaduje się od normatywnego dla niego otoczenia, że jest brudne i złe. Zależność ośmiolatka od rodziców, księży, sióstr katechetek jest w tym wieku totalna, dziecko nie potrafi wyodrębnić w sobie siebie z własną oceną tego, co go spotyka, nie umie wytworzyć dystansu, refleksji, że nie wszystko jest w nim złe, jak sugerują najważniejsze w życiu osoby dorosłe. Dokonuje się traumatyzująca inicjacja, głęboko osiadająca w psychice, bo oddziałująca na ośrodki w starej części mózgu, odpowiedzialnej za warstwy odruchowe: gwałtowny lęk, agresję, popęd seksualny – pisał prof. Tadeusz Bartoś w „Newsweeku" w 2010 r., kiedy to głośne krytykowanie Kościoła kat. nie było tak popularne.

Bez rozgrzeszenia

To trwające kilkanaście lat zwracanie uwagi na marginalizowany problem zaowocowało takimi wypowiedziami jak zlustrowanej przez Semkę ginekolożki. Słusznie przypomina autor „Do Rzeczy", że

w sejmie leży petycja w sprawie zakazu spowiadania dzieci poniżej 16. roku życia. Inicjatorem był pisarz i performer Rafał Betlejewski, a podpisało się pod apelem ponad 10 tys. osób. Od złożenia petycji minął rok, ale póki co nic się w tym kierunku nie dzieje.

Interwencję zapowiedział poseł Marcin Józefaciuk, nauczyciel.

Regulowanie każdej sprawy zakazami i nakazami nie zawsze kończy się dobrze. Ale na pewno dobrze, że problem staje się przedmiotem debaty, bo może jeden czy drugi rodzic się dwa razy zastanowi, zanim pośle potomstwo do konfesjonału. Prawicowi publicyści oraz „eksperci" z Ordo Iuris i innych fundamentalistycznych instytutów już krzyczą o zamachu na wolność religijną. Ale za obrazę uczuć religijnych chętnie wsadziliby do paki. Obraza Bozi to większa zbrodnia niż przesłuchiwanie dziecka.

Walczyć ze spowiedzią będzie ciężko. Jest zbyt mocno zakorzeniona w polskiej kulturze i języku, żeby kojarzyć się negatywnie. Co chwila wydawnictwa podsuwają nam kolejne spowiedzi gangsterów, polityków i innych nieciekawych typów. W końcu sam premier Tusk nakazał swoim ministrom zrobienie rachunku sumienia i spowiedź, a minister Bodnar nakazuje neosędziom wyrażenie czynnego żalu. To wprawdzie wyrażenie ze słownika skarbówki, ale też kojarzy się z pokutą. Za jakie grzechy przyszło nam żyć w takim kraju?

ELEONORA PRONOBIS

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Przeszkadza cicha modlitwa w obronie życia, przeszkadza bicie dzwonów, przeszkadzają wierzący przyznający się publicznie do Jezusa Chrystusa i Kościoła...* ***Nie jesteśmy od tego, aby spełniać oczekiwania innych, lecz budzić sumienia.***

ks. Janusz Chyła, X, 21 października

■ *Komuniści i naziści stwarzali specyficzne warunki polityczne i ekonomiczne, by dzieci oderwać od wpływów tradycyjnej rodziny.* ***Zdaniem laickich ideologów dzieci po urodzeniu powinny być odłączone od wpływów myślenia i postępowania rodziców i umieszczone w ideologicznych żłobkach.***

ks. Franciszek Głód, X, 21 października

■ ***Feministyczna ideologia*** *pragnie za wszelką cenę udowodnić, że tylko praca zawodowa kobiet przyczynia się do ich rozwoju.* ***Kobiety skażone tego typu filozofią pomijają lub sprowadzają na margines najważniejszą potrzebę, jaką jest dla nich powołanie do macierzyństwa.***

ks. Franciszek Głód, X, 19 października

■ *Św. Jan Paweł II stał się papieżem, który zbliżył Kościół do ludzi i ich codziennych problemów.* ***Śmieszne staje się, gdy dzisiaj tego Wielkiego Papieża chcą recenzować ci, którzy zdradzili kapłaństwo, rozminęli się z chrześcijaństwem albo zarabiają tylko z tego powodu, że przykleili sobie tytuł „katolicki" (…).***

ks. bp Zbigniew Zieliński, homilia w Toruniu, 22 października

■ ***Jeśli środowisko Lewicy i Koalicji Obywatelskiej nie chce dzwonów w kościele i religii katolickiej, to już niedługo będzie słyszeć nawoływania wiernych z minaretów w Polsce.*** *To ludzie, którzy chcą usunąć naszą kulturę, naszą tradycję. Jednocześnie nie widzą nic złego w tym, że kulturę chrześcijańską ma zastąpić kultura islamu.*

Dariusz Matecki (PiS), Radio Maryja, 21 października

■ ***Potrzebą naszej solidarności sumień jest stanięcie w obronie Ojca Dyrektora,*** *a przez to w obronie naszej wspólnoty wiary, wyznających ją w przestrzeni publicznej. To nasz obowiązek, aby angażować się w budowanie prawdy i stawianie oporu złu.* ***Wszak ataki wymierzane w kapłana są właśnie przykładem niszczenia człowieka, niszczenia wspólnoty ludzi wierzących, są więc złem.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, „Nasz Dziennik", 22 października

■ *Mamy powrót do czasów jak z okresu stanu wojennego. Mamy sytuację, gdzie* ***czołowa propagandystka obecnych mediów rządowych (telewizji publicznej) zaraz po zatrzymaniu księdza Olszewskiego napisała, że został zatrzymany gdzieś „w hotelu z kobietą". Dokładnie to samo robił Jerzy Urban wobec bł. ks. Jerzego Popiełuszki.***

dalej Matecki

■ *Musimy zdać sobie sprawę, że nie ma Polski bez Kościoła. To sprzęgnięte jako jedna całość – naród i Kościół. Kto uderza w Kościół i kapłanów, to uderza w Polskę, w naród.* ***Od zawsze tak było, że uderzenie w kapłanów i Kościół – zniszczenie przywódców duchowych – prowadziło do zniszczenia narodu.***

Janusz Olewiński, przewodniczący Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Internowanych i Represjonowanych, List otwarty w obronie polskich kapłanów katolickich, 22 października

■ ***Dzwony w kościele są między innymi po to, aby przypominały o Bogu.*** *Także wówczas – a może szczególnie wtedy –* ***gdy człowiek chce wyrzucić Go ze swojej świadomości i życia.***

ks. Janusz Chyła, X, 21 października

■ ***„Nowoczesność" bez Boga jest zwykle katastrofą cywilizacyjną, bardzo często prowadzącą do prześladowań (…).*** *Stare hasło, stare polskie przysłowie „Bez Boga ani do proga" wydaje się aktualne.*

prof. Mieczysław Ryba, Radio Maryja, 23 października

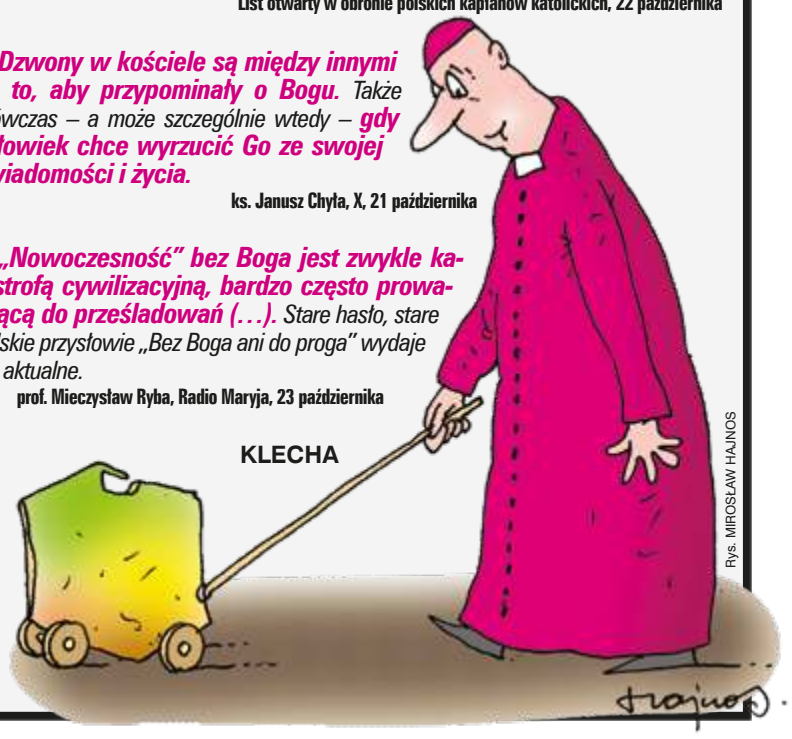

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ W Sądzie Rejonowym dla Łodzi-Śródmieścia zapadł wyrok w sprawie znieważenia pomnika papki Jana Pawła II i obrazy uczuć religijnych. Aktu przed łódzką archikatedrą w kwietniu ubiegłego roku dokonał łódzki student, malując twarz papieża na żółto, ręce i szatę na czerwono oraz pisząc na cokole *maxima culpa*. Sędzia Paweł Suski wymierzył oskarżonemu karę czterech miesięcy pierdla w zawieszeniu na rok, 500 zł grzywny, wypłacenie nawiązki po 300 zł dla dwóch oskarżycielek posiłkowych, oraz zapłatę części kosztów sądowych w kwocie 2300 zł. Wszystko dlatego, że zdaniem sędziego Jan Paweł II ma w polskim Kościele nieformalny status drugiej najważniejszej osoby po Bogu. Sędzia kalosz.

✚ Koszalin na krawędzi wojny w lokalnym Kościele. Spór dotyczy Domu Miłosierdzia Bożego, siedziby stowarzyszenia charytatywnego o tej samej nazwie, prowadzonego przez księdza Radosława Siwińskiego. Duchowny twierdzi, że biskup Zbigniew Zieliński i jego poprzednik Edward Dajczak od lat próbują wymusić przekazanie majątku na rzecz diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. W ostatnim czasie sytuacja się zaogniła. Podczas rozmów mediacyjnych przedstawiciele Stowarzyszenia mieli usłyszeć, że jeśli stawią opór, będą traktowani przez bepe jak sekta. Dobytek, który dom zgromadził w trakcie swojej 13-letniej działalności na rzecz ubogich, chorych i uzależnionych, szacowany jest na ok. 24 mln zł. Rzecznik prasowy kurii biskupiej w Koszalinie ks. Wojciech Parafianowicz przekonuje, że w sporze nie chodzi o majątek. Ależ oczywiście...

✚ Do poznańskiego magistratu wpłynęła skarga dotycząca uciążliwości bicia dzwonu parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. W efekcie ratusz zorganizował wizję lokalną przy kościele. Proboszcz parafii ks. Dominik Kuż żali się, że przeprowadził badania akustyczne i czas bicia dzwonów został skrócony. Miasto wysłało jednak swoich ekspertów, a ci orzekli przekroczenie norm o 17,5 decybela, w efekcie czego do końca roku parafia musi coś z tym fantem zrobić. Proponujemy stworzyć aplikację z biciem dzwonów, a parafianom zafundować w komplecie słuchawki.

✚ 22 października w Gorzowie Wielkopolskim na terenie cmentarza komunalnego przy ul. Żwirowej, tuż po pogrzebie, policjanci zatrzymali do kontroli trzeźwości księdza. Duchowny wydmuchał przepisowy brak promili, ale otrzymał dwie stówy mandatu za brak gaśnicy w aucie. W obronie księdza stanął jeden z żałobników. 83-latek rzucił w policjantów banknotem dziesięciozłotowym *na piwo*, po czym doszło do szarpaniny pozostałych świadków ze służbami. Na miejsce wezwano w sumie pięć radiowozów, a krewki senior wylądował w jednym z nich. Prześladowania katolików nie ustają.

✚ W Sądzie Okręgowym w Łodzi odbyła się kolejna rozprawa w procesie Marka N., fałszywego księdza oskarżonego o serię przestępstw związanych z prowadzonym przez niego Domem Schronienia w Zgierzu. Fałszywy klecha podający się za księdza Kościoła starokatolickiego został zatrzymany w 2016 r. i usłyszał 30 zarzutów. Marek N. przywłaszczał majątki oraz świadczenia emerytalne podopiecznych, za co został skazany na cztery lata więzienia oraz grzywnę w wysokości 13,5 tys. zł. Aktualny proces dotyczy zarzutów narażenia podopiecznych na utratę zdrowia i życia, co doprowadziło do śmierci 12 osób. Ślepe zawierzanie sutannie miewa smarkate skutki.

✚ W odpowiedzi na Halloween parafia Matki Bożej Królowej Rodzin w Borówcu zaprasza dzieci na „Nutella Party ze wszystkimi świętymi". Patronem wydarzenia jest błogosławiony Carlo Acutis, zmarły na białaczkę 15-latek zwany influencerem Boga, ponieważ wyraz swojej pobożności dawał, m.in. tworząc strony internetowe o cudach eucharystycznych i o świętych Kościoła katolickiego. Parafia zapowiedziała, że na dzieci czeka również *niespodzianka pod wiatą św. Józefa*. Mamy nadzieję, że nie chodzi o zawody w zlizywaniu słodkiego smakołyku z kolan wielebnego. Od cukru psują się zęby.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 324bd6bdbf

Ile wart jest

Twierdzenie, że każdego można kupić, ma głęboki sens

Od tysięcy lat filozofowie deliberują nad człowieczeństwem, wciskając głodne kawałki, że jest bezcenne. Całkiem inaczej do kwestii, ile jest wart homo sapiens, podchodzą naukowcy zajmujący się innymi dziedzinami.

Dla chemika człowiek składa się więc z 65 proc. wody, 20 proc. białek, 10 proc. tłuszczów, 4 proc. soli mineralnych oraz 1 proc. cukrów do smaku. Gdyby podzielić to na pierwiastki, wyjdzie 65 proc. tlenu, 18 proc. węgla, 10 proc. wodoru, 4 proc. azotu, 1,5 proc. wapnia, po 0,6 proc. siarki i fosforu, 0,3 proc. sodu, po 0,2 proc. potasu i chloru oraz śladowe ilości innych pierwiastków. Chemicy udowadniają zatem, że człowiek jest w przeważającym stopniu istotą duchową, bo 80 proc. każdego z nas stanowi coś tak niematerialnego jak gazy.

Całkiem inaczej rzecz wygląda z punktu widzenia ekonomisty. Dla niego liczy się materialna strona egzystencji. Ta zaś sprowadza się do takiego wykorzystywania ciała, by zarabiało.

Kilogram naturalnej blondynki

Ciało zaś porastają nam włosy. Na nie jest popyt. Niestety nie te z nóg, klaty czy łona. Towarem jest owłosienie głowy. Liczone w kilogramach.

Za włosy o długości 45 cm firmy płacą do 1800 zł za 200 g. Ostateczna cena zależna jest od ich jakości. Niższą wartość mają włosy farbowane. Cena rośnie wraz z długością. Kilo kudłów o długości 65 cm internet wycenia nawet na 15 tys. zł. A za te powyżej 80 cm – nawet na 20 tys. zł. Jeśli jednak właścicielką włosów jest naturalna blondynka, to dostanie za nie 20–30 proc. więcej.

Człowiek jest ssakiem. Skoro tak, to jego samice produkują mleko. Ono zaś – podobnie jak kozie, krowie i owcze – ma swoich nabywców. Naturalnym pokarmem zainteresowani są chorzy na nowotwory, kulturyści, smakosze, no i matki.

Na portalach ogłoszeniowych i forach ogłaszają się zarówno kobiety, które mają mleka za dużo i chcą je sprzedać, jak i te, którym pokarmu brakuje i chcą go kupić. Najzabawniejsze, że handel ten jest na pograniczu prawa, choć przecież przez setki lat mamki karmiły własnym mlekiem tysiące nie swoich dzieci. Ceny? Różne – od 40 zł za 100 ml na prowincji po 100 zł w Warszawie. Są też ogłoszenia kobiet, które oferują opiekę nad niemowlęciem plus jego wyżywienie własnym mlekiem. No i w końcu są też panie, które oferują swoje pełne mleka piersi amatorom zupełnie innych doznań.

Za euro lub czekoladę

Każda osoba, która spełnia określone warunki zdrowotne, mieszka w okolicy granicy niemieckiej i ma krew, może co jakiś czas wyskoczyć za Odrę lub Nysę Łużycką i opchnąć ją za 15–25 euro, bo tyle wynosi tam nie cena krwi, ale zwrot kosztów. Za oddanie osocza – od 25 do 40 euro. Przygraniczne punkty poboru polskiej krwi są w każdej niemieckiej pipidówie.

W Polsce krew można oddać tylko honorowo. Forsy się nie dostanie, ale można załapać się na dziewięć czekolad. No i książeczkę honorowego krwiodawcy, która pozwala omijać kolejki w szpitalach i przychodniach. Czekolady wynikają z prawa, które stanowi, że za pobrane 450 ml krwi należy się ekwiwalent w posiłku o wartości 4500 kcal.

Żeby było śmieszniej, to honorowy dawca krwi w Polsce podpisuje kwit, w którym zgadza się, by to, co oddał za friko, stacja krwiodawstwa sprzedała potem za złotówki, a nawet euro. W tej walucie płacą bowiem firmy farmaceutyczne, i to nawet prawie 150 euro za litr osocza. Poza tym stacje sprzedają oddaną honorowo krew szpitalom – po trzy stówy za jednostkę.

Plemniki są komórkami rozrodczymi i według ustawy spermy nie wolno sprzedawać ani kupować. Od czegóż jednak są magiczne określenia: zwrot kosztów lub rekompensata? Od tego otóż, żeby banki nasienia mogły ogłaszać w internecie, że płacą dawcom za zrzut zawartości ich jąder od 3 do 5 tys. zł. Hula to mimo ustawowego zapisu, że *kto rozpowszechnia ogłoszenia o odpłatnym zbyciu, nabyciu lub pośredniczeniu w odpłatnym zbyciu lub nabyciu komórki rozrodczej lub zarodka, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo karze pozbawienia wolności do roku*.

Tak samo udaje się obejść sankcje wobec osoby, która w celu uzyskania korzyści majątkowej lub osobistej nabywałaby lub zbywała komórkę rozrodczą albo zarodek – grozi za to kara do trzech lat pozbawienia wolności. Straszy też inna kara – dla kogoś, dla kogo taka działalność stanowiłaby stałe źródło dochodu. Wówczas czeka go pięć lat więzienia.

Niehonorowi dawcy spermy nie muszą się ponoć bać o pozew w sprawie ojcostwa. Biorcy otrzymują jedynie podstawowe informacje dotyczące ich grupy krwi, cech wyglądu, takich jak: kolor włosów i oczu, wzrost, waga, rasa i wykształcenia. Kliniki nie udzielają żadnych informacji, które umożliwiłyby identyfikację dawcy. A dawca też nie wie nic o biorcach. Dawcą może zostać zdrowy facet w wieku od 18 do 35 lat. Musi wykazać się brakiem chorób genetycznych i zaburzeń psychicznych oraz, nie wiedzieć czemu, co najmniej średnim wykształceniem. Banki spermy najbardziej poszukują szczupłych brunetów o jasnych oczach. Rudych przegania się jeszcze w recepcji. A najdziwniejsze, że do zdeponowania nasienia kwalifikuje się ledwie co piąty kandydat. Najczęstszą przyczyną odpadnięcia jest niedobór plemników – ma być minimum 20 mln plemników na 1 mm sześc.

Kopa jajeczek

Komórki jajowe też są komórkami rozrodczymi, więc ani nie wolno ogłaszać, że się je kupi i sprzeda, ani tym bardziej tego robić. Ale rynek jajeczek oczywiście jest. A zwrot kosztów za fatygę ich dostarczenia do medycznego ośrodka poboru to przeciętnie 4700 zł.

Dawczynią komórek jajowych może zostać zdrowa kobieta w wieku od 18 do 32 lat. Najpierw przeprowadza się szczegółowy wywiad medyczny, potem przychodzi czas na badania, m.in. morfologię, badanie moczu, badania infekcyjne w kierunku wirusów HBV, HCV, HIV, toksoplazmozy. A także badania genetyczne i hormonalne. Kobieta, która pozytywnie przejdzie kwalifikacje, musi przyjmować leki hormonalne i poddać się zabiegowi pobrania komórek jajowych. Ile razy można oddawać komórki jajowe? Według specjalistów liczba ta nie powinna przekraczać sześciu. Tyle że banki jajeczek nie mają wglądu w dokumentację innych banków. Można zatem sprzedawać komórki jajowe wedle widzimisię.

Lepszym biznesem jest sprzedanie jajeczek bezpośrednio zainteresowanej parze. Wtedy oczywiście oficjalnie o kwestiach finansowych morda w kubeł, a do kliniki pobierającej jajeczka para prowadzi swoją „najlepszą przyjaciółkę". A że przyjaciółka zainkasuje 5–6 tys. zł? Przynajmniej kupujący wiedzą, czego mogą się po materiale genetycznym spodziewać.

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

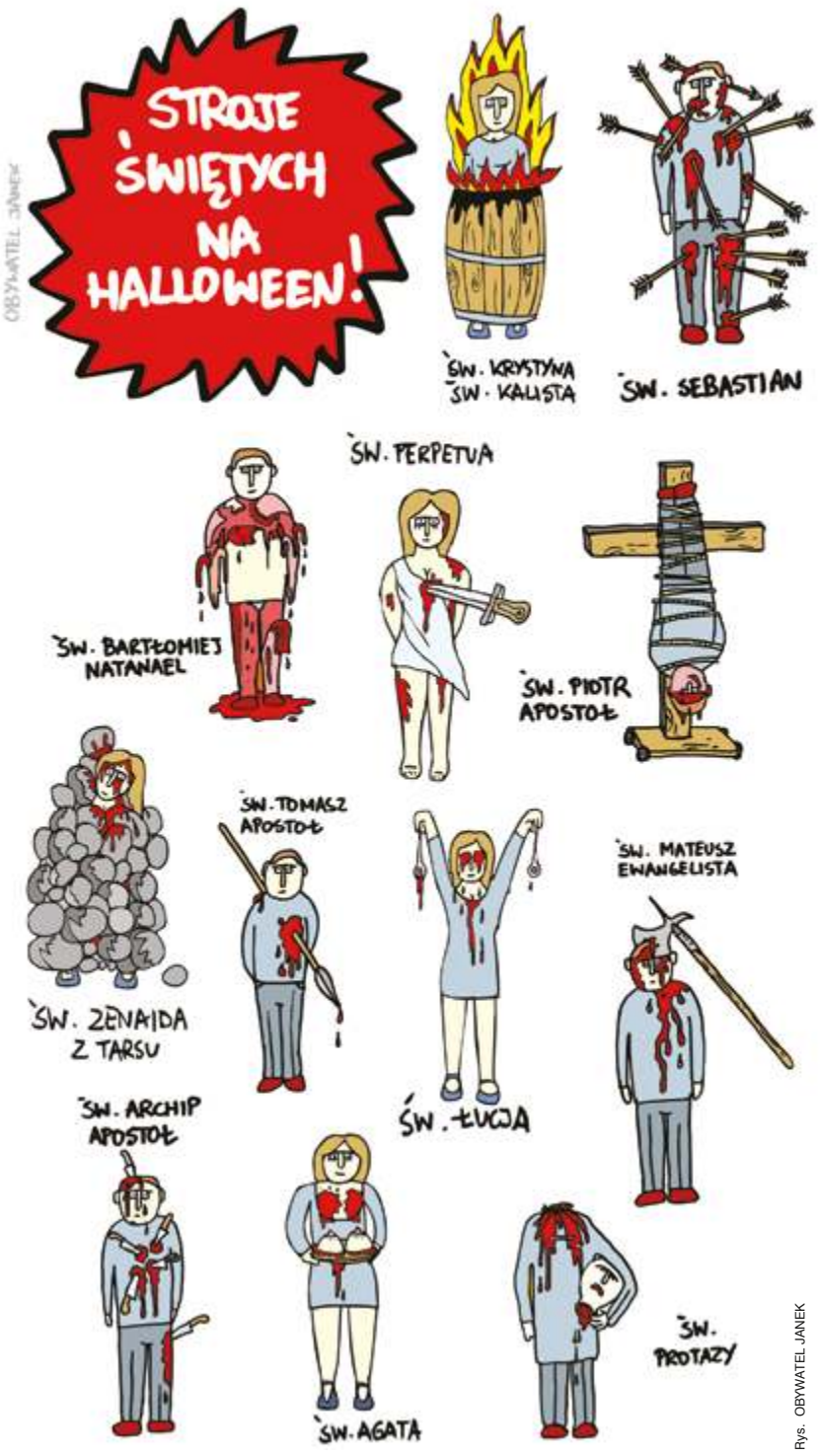

Rys. OBYWATEL JANEK

Naród buntowników

Alternatywna wizja polskości

Polak katolik, ojciec rodu, surowy, ale dobry i stojąca u jego boku matka Polka, a między nimi pół tuzina jasnowłosych dzieciaczków wspólnie odmawiający wieczorny paciorek – taka mniej więcej wizja polskości jest propagowana w prawicowych mediach i poniekąd w szkole. Ci pobożni ludzie walczą z wszystkimi, którzy czyhają na bogobojny katolicki Naród Polski (koniecznie wielkimi literami) – caratem czy hitlerowcami, podstępną komuną, a teraz Unią Europejską i gejami.

Zapoznana historia

Historię piszą zwycięzcy. Weźmy choćby takie określenie jak „pyrrusowe zwycięstwo", czyli zwycięstwo okupione tak ciężkimi stratami, że w gruncie rzeczy jest przegraną. Tymczasem Pyrrus był wybitnym wodzem greckim, którego Rzymianie nigdy nie pokonali na placu boju, ale do języków współczesnych przeszedł mit Pyrrusa jako symbolu porażki, bo koniec końców to Rzymianie pisali dzieje zmagań z Grekami.

Tak samo jest z naszą historią, która w gruncie rzeczy jest historią elit, królów, ważnych polityków, bitew, dyplomacji, ale nie ludzi z krwi i kości. Posługuje się ona mitami, które wypaczają rzeczywistość historyczną, wykoślawiając to, co faktycznie działo się przed dekadami lub wiekami. Mit Polaka katolika jest szczególnie wątpliwy, stanowi nie tyle rzeczywistość, co program skrajnych ksenofobów uznających religię za najsilniejszy oręż w walce z obcymi: innymi chrześcijanami (prawosławnymi i protestantami), muzułmanami i żydami.

Zupełnie zapoznane są dzieje polskich wywrotowców, którzy – jak w czasie rabacji galicyjskiej – palili nie tylko dwory, ale i kościoły, rewolucjonistów wieku XIX, których obawiano się w reakcyjnej Europie. I nie tylko na Starym Kontynencie. Naszym istotnym wkładem w dzieje Stanów Zjednoczonych był Leon Frank Czołgosz, anarchista polskiego pochodzenia, który zastrzelił w 1901 r. prezydenta McKinleya. Jak tłumaczył hardo, zanim trafił na krzesło elektryczne, *zabiłem prezydenta, ponieważ był wrogiem prawych ludzi – prawych robotników. Nie żałuję swojego czynu.*

Przeciwko klerowi

Religii na ziemiach polskich używano do panowania nad ludem, najpierw chłopami, potem robotnikami. W 1832 r. Konstanty Słotwiński wydał „Katechizm poddanych galicyjskich o prawach i powinnościach ich względem rządu, dworu i samych siebie", w którym każdy element pańszczyzny uzasadniał cytatem biblijnym. Kiedy pisał o tzw. szarwarkach (budowie i utrzymaniu dróg), dodawał słowa ewangelisty Mateusza: *Gotujcie drogę Pańską, proste czyńcie ścieżki jego*. Konieczność poboru do wojska okrasił słowami Księgi Hioba: *Bojowanie jest żywot człowieczy na ziemi* – skądinąd podpowiadamy ten cytat wicepremierowi Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi, jakby był na tyle szalony, by przywrócić pobór.

Nie dziwota, że w rozlicznych pieśniach ludowych proboszcz to był wróg, który trzymał sztamę z panem. A na dodatek często gwałciciel i pedofil. Życzono mu nie najlepiej, o czym świadczy znaczący wers pewnej przyśpiewki: *Ksiydza z kazalnicy zrucić, ano dać mu ciyżkie cepy do stodoły młócić*.

Bohaterem był Jakub Szela, którego chwalono szczerze i żarliwie, a jednocześnie pragmatycznie: *Oj, kończy się nam, kończy nasze mordowanie. Oj, bo Szela Jakubek robi szlachcie pranie*.

Jak pisze historyk Michał Rauszer w książce „Bękarty pańszczyzny", lud postrzega się jako *szarą tępą masę, która jest zdolna jedynie do bezmyślnego zrywu pijanej tłuszczy. Każdy opór i bunt są przejawem takiego bezmyślnego dzia-*

eprasa.pl 324bd6bdbf

człowiek?

Rys. TOMASZ WIATER

Macica notorycznej dziewicy

Od zawsze najczęściej spotykanym sposobem komercyjnego wykorzystania własnego ciała było użyczanie jego fragmentów osobom spragnionym doznań seksualnych. Dotyczyło to obu płci. Okazuje się jednak, że jest segment tego typu usług, gdzie dziewczyny mają wyraźną przewagę nad chłopakami. Ewolucja wyposażyła większość z nich w błonę dziewiczą. I wszystko jedno, czy będzie półksiężycowata, czy sitkowata. Ważne, żeby była. Szczęśliwe posiadaczki tego cienkiego fałdu błony śluzowej mogą się jej pozbyć, uzyskując w zamian 6–8 tys. zł. Tyle zgarną jednak te, które oprócz wzmiankowanego fragmentu będą dysponowały wyglądem modelki. Dziewczątka takich parametrów nieposiadające będą musiały się obejść kwotą dwukrotnie niższą.

Ogłoszeń o wystawieniu cnoty na licytację jest w cholerę. Specjaliści od hymenoplastyki przestrzegają jednak, by unikać piękności winszujących sobie osiem tysiaków. Dziewice te mogą być bowiem nieco przechodzone. Po każdej defloracji trafiają bowiem do lekarza, który za 1–1,5 tys. zł fastryguje im rozpruty wianek. Po paru dniach dziewice takie mogą więc mieć swój kolejny pierwszy raz.

Narządem przynoszącym dochód jedynie niewiastom jest też macica. Nie tyle się ją jednak sprzedaje, ile wynajmuje na dziewięć miesięcy. Użyczająca jej kobieta doczekała się też nazwy własnej – jest surogatką. Nie rusza jej, czy w bebechach będzie nosiła płód z własnego zapłodnionego jajeczka, czy lekarz wszczepi jej zarodek powstały w probówce. Surogatka ma dostać za usługę kasę. Najczęstszą stawką jest 6 tys. zł co miesiąc plus utrzymanie w tym czasie oraz kilkanaście tysiaków premii za poród. Skorzystanie z surogatki kosztuje więc łącznie od 200 do 250 tys. zł.

Na wynajem decydują się zatem osoby dobrze sytuowane. Para płaci matce zastępczej za urodzenie i ciążę, a ta po opróżnieniu macicy zrzeka się dziecka na rzecz ojca, który uznał je jeszcze przed porodem.

Zdrowa kobieta jest w stanie być w ciąży kilka razy albo i więcej.

Surogatka to niejedyna beneficjentka własnej macicy. Zarabiać na ciąży może każda kobieta. Bezdzietnych, bogatych i chętnych par ci u nas dostatek, a kompletny osesek jest towarem. Dobrym jak każdy inny. Szczególnie w kontekście wspomnianego już myku prawnego z uznaniem ojcostwa. Oferty od 50 do 70 tys. zł to norma na tym rynku.

Gdy się zaś trafi na panią bardzo potrzebującą kasy, to można się dogadać już nawet za kilkanaście tysięcy. Korzystając ze starego polskiego powiedzenia „co rok prorok", z nosicielstwa płodu można sobie zrobić zupełnie niezły zawód.

Chętnych na niemowlaki nagania prawo adopcyjne, które dla wielu małżeństw jest procedurą nie do przejścia. Kupno dzieciaka jest proste: wystarczy wpisać zleceniodawcę w akt urodzenia jako ojca dziecka. Szpital się nie dowie. Pan sobie czeka w samochodzie, potem bierze dziecko do domu i to wszystko.

Poza tym nawet jak coś się sypnie, to w sądzie dobro dziecka zwycięży. Znawcy tematu mówią, że w Polsce ciężarne panie sprzedają rocznie 300–400 niemowlaków.

Umoczenie transplantacyjne

Jakkolwiek by to brzmiało, siki też są towarem. Najdroższy mocz musi spełniać jednak jeden warunek: pochodzić od ciężarnej. Bo właśnie taki jest niezbędny wielu paniom, by udowodnić partnerowi, że jest się w ciąży. Polanie obcym ciężarnym moczem testu ciążowego jest znacznie bezpieczniejszą formą sprawdzenia partnera niż zajście z nim w ciążę. Panna prezentująca pozytywny wyrok testu traci facia, wiąże go ze sobą lub zmusza do sfinansowania aborcji. Finansowanie czegoś, czego nie ma, jest opłacalne. Jak facet jest głupi i nie wie, ile kosztują tabletki usuwające ciążę, to płaci cztery tysiaki za skrobankę za granicą lub w polskim podziemiu. Ponieważ koszt ciężarnego moczu to ledwie 200 zł, cwana panna jest mocno do przodu.

Siki nieciężarne i pochodzące od osoby niesterydującej się lub niećpającej też mają swoją wartość. Najczęściej porcję można kupić już za 20–30 zł. Gdy ktoś spodziewa się kontroli rodzicielskiej lub antydopingowej, to cena ta wcale przesadzona nie jest. Z drugiej jednak strony popyt na „czysty" mocz świadczy o tym, że współcześni młodzi ludzie nie mają kumpli. Oczywiście żywi producenci moczu ludzkiego mają konkurencję. W sieci reklamują się produkty zwane syntetycznym moczem *o tych samych parametrach jak u osoby niekorzystającej z używek. Skuteczny również w testach laboratoryjnych*. To jednak opcja droższa od naturalnej. Za 25 ml specyfiku sprzedawcy winszują sobie 55 zł plus koszt przesyłki.

Według internetu najdroższym kawałkiem ciała, który można sprzedać, jest nerka. Jej ceny mają dochodzić do 150–200 tys. zł. Problem w tym, że prywatne wykrojenie i przeszczep nerki w Polsce to bzdura. Żaden lekarz nie zaryzykuje utraty uprawnień i odsiadki. Zwłaszcza że musiałby mieć wspólników. Do takiego zabiegu trzeba dwóch stołów operacyjnych z pełną obsadą pielęgniarską i lekarską. Można sobie wyobrazić, że parę osób byłoby stać na zapłacenie takiej grupie za milczenie. Tyle że ktoś by się i tak sypnął. Nie wspominając już o tym, że wcześniej trzeba by przeprowadzić badania zgodności genetycznej, a potem rehabilitować i prowadzić pacjenta po przeszczepie.

O sprzedaży nerki można więc zapomnieć. Chyba że chce się trafić na rok do pudła. W tym celu wystarczy dać ogłoszenie do internetu i poczekać chwilę na policję.

Gdy ciało nie daje oznak życia, kończą się możliwości zarabiania nim i na nim. Niestety, polskie ośrodki akademickie nie płacą za to, że po śmierci dostaną naszą ziemską powłokę. Zwłoki przez 2–3 lata wykorzystywane są naukowo, a następnie kremowane i chowane na koszt uczelni. Jedyna więc korzyść z oddania swoich zwłok nauce jest taka, że rodzina oszczędzi kasę i nerwy w kontaktach z sępami z branży pogrzebowej.

TOMASZ BOROWIECKI

łania, niszczącego panów i system, który powstał wyłącznie z myślą o opiece nad tym ludem. Taka buntująca się tłuszcza w oporze objawia swoją bezmyślność, bo nie rozumie, że panowie chcą wyłącznie jej dobra. Postawa taka powoduje, że na buntujących się patrzymy jak na wichrzycieli, osoby, które podważają dobry dla nich porządek, dlatego że nie rozumieją go i dobroci z niego wyrastającej.

Niechaj żyje rewolucja!

Wszystkich, którzy mniemają, że lewica w Polsce jest obcym przeszczepem, czy to ze zgniłego Zachodu, czy stalinowskiego Związku Radzieckiego, powinni zapoznać się ze świetną książką Wiktora Marca „Rebelia i reakcja. Rewolucja 1905 roku i plebejskie doświadczenie polityczne". Zwraca on uwagę na klasowo-narodowy charakter zrywu sprzed ponad 100 lat, pisząc o proletariackiej sferze publicznej. A zatem sferze, w której to, co prywatne, jest przekładane na to, co publiczne, a to, co publiczne, na to, co prywatne.

Marzec skupia się na robotniczej Łodzi, wielkim ośrodku przemysłowym. Kiedy tyle mówi się, powołując na Jürgena Habermasa, na znaczenie drobnego mieszczaństwa (osławionej klasy średniej) dla wyłonienia się sfery publicznej, wypiera się realną plebejską, a raczej rewolucyjną sferę publiczną. „Rebelia i reakcja" pokazuje, że rewolucja 1905 r. wykreowała narodziny nowoczesnej polskiej polityczności.

Najsłynniejszą postacią tej rewolucji jest jednak 19-letni bojownik PPS-u Stefan Okrzeja, którego pamięć odżywa raz po raz na lewicy dzięki kolejnym wersjom „Ballady o Okrzei". Dowiadujemy się z tej piosenki, że *Był to chłopak piękny, młody*, który dokonał zamachu na cyrkuł policyjny na warszawskiej Pradze. Został schwytany, osadzony w Cytadeli i torturowany, ale był twardy jak stal i nie wydał swoich towarzyszy. „Ballada" kończy się słowami:

Wieszaj, kacie, po cóż stoisz, Polak śmierci się nie lęka.

Każdy widzi, że się boisz, że ci drży katowska ręka.

Jam za wolność ciągle walczył, wiem co polska konstytucja

I ostatni okrzyk wznoszę: niechaj żyje rewolucja!

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zabić podłego fabrykanta

Zupełnie zapomnianą postacią z dziejów II Rzeczypospolitej jest lewak Julian Blachowski, który 26 kwietnia 1932 r. zabił w Warszawie Gastona Koehler-Badina, dyrektora generalnego Zakładów Żyrardowskich. Koehler zaczął swoje rządy od lokautu trzech tysięcy robotników. Na ich miejsce przyszli nieletni uczniowie, rzekomo celem przeszkolenia, lecz po paru miesiącach pracy ich zwalniano i na ich miejsce przyjmowano kolejnych. Koehler był „estetą", nie życzył sobie ludzi starych i grubych kobiet: pracowników o „niewłaściwym" wyglądzie wyrzucano z pracy lub – w najlepszym wypadku – musieli się kryć po toaletach w czasie inspekcji dyrektora.

Jak pisze Piotr Korczyński w książce „Śladami Szeli, czyli diabły polskie", *w czasie przesłuchania Blachowski – pytany o motywy zabójstwa – powtarzał za każdym razem, że zabił Koehlera, ponieważ ten pozbawił go pracy i chciał wyrzucić ze służbowego mieszkania jego żonę. Ponadto okropnie traktował swoich pracowników, chociaż – co podkreślił Blachowski – jego nigdy osobiście nie obraził. Na jego czyn miała też wpłynąć świadomość, że przez decyzje Koehlera w Żyrardowie zapanowały nędza i bezrobocie.*

Okazało się, że czarę goryczy przelało słowo „Weg" (won) w ustach dyrektora. Kiedy bowiem Blachowski przekraczał granicę w 1918 r., wracając do kraju, był świadkiem, jak niemiecki oficer bił polskie dzieci z rodziny uciekinierskiej i krzyczał: „Weg!". Zabójca skończył swoje przemówienie deklaracją: *Jestem i pozostanę socjalistą!*

Blachowski dostał pięć lat paki, skrócone w apelacji do czterech. Prezydent Mościcki, odpowiadając na apel tysięcy żyrardowian, zawiesił mu połowę kary. Spotkało się to z aplauzem społecznym, bo – jak ówcześnie mówiono – strzały Blachowskiego zabiły człowieka, ale zahamowały śmierć miasta.

Nasz przyjaciel Marks

Bardzo kłopotliwe jest dla polskich nacjonalistów, czy to w wersji reakcyjnej, czy liberalnej, wspomnienie, kto był przyjacielem Polaków w czasach, gdy znajdowaliśmy się pod trzema zaborami.

Nie była to hierarchia duchowna, ani tym bardziej papiestwo, potępiające w czambuł polskie powstania. Biskupi woleli prawosławnego, ale nade wszystko konserwatywnego cara od zrewoltowanych Polaków, którzy idee wolności narodu ściśle łączyli – zwłaszcza tzw. czerwoni w powstaniu styczniowym – z daleko idącymi hasłami radykalnej emancypacji społecznej.

Znamienne, że kwestii polskiej Karol Marks i Fryderyk Engels poświęcili wiele miejsca, zresztą ich wypowiedzi zebrano w dość obszerną książkę. Nie był to zatem dla nich temat całkowicie marginalny, nieistotny. Widzieli, że walka z trzema reakcyjnymi cesarzami, pruskim, austriackim i rosyjskim, nie jest walką czysto narodową, lecz także klasową.

22 lutego 1848 r., w drugą rocznicę obchodu powstania krakowskiego 1846 r., Marks mówił w Brukseli (czyli już wtedy stamtąd zaraza do nas przychodziła!): *Nikt nie zaprzeczy, że w Polsce kwestie polityczne są związane ze społecznymi. Są one nierozłączne po wsze czasy*. I dodał: *Ludzie, którzy stali na czele krakowskiego ruchu rewolucyjnego, byli głęboko przekonani, że jedynie demokratyczna Polska może być niepodległa i że demokracja polska jest niemożliwa bez zniesienia praw feudalnych, bez ruchu agrarnego, który by z chłopów pańszczyźnianych uczynił wolnych nowoczesnych właścicieli. Postawcie na miejscu autokraty rosyjskiego arystokratów polskich, a dokonacie naturalizacji despotyzmu.*

Kiedy zatem w Święto Niepodległości będą nam pierdolić o naszych narodowych obowiązkach, żołnierzach wyklętych (a tak naprawdę – błogosławionych), pamiętajmy, że nasza tradycja to nie pokorne barany, lecz lewacy co się zowie, twardzi jak młot i zakręceni jak sierp…

KATARZYNA KOENIG

eprasa.pl 324bd6bdbf

Po owocach ich poznacie

Taka nasza tradycja – polska, chrześcijańska

Tak zwana ustawa Kamilka, która miała chronić dzieci, zostanie znowelizowana, bo szkoły mają problem z wyegzekwowaniem zaświadczeń o niekaralności od rodziców biorących wolontaryjnie udział w życiu szkoły. Organizacje walczące z przemocą wobec dzieci są przeciwne łagodzeniu obostrzeń. Ministerstwo Sprawiedliwości protesty organizacji ma w pompie. To kiepski ruch.

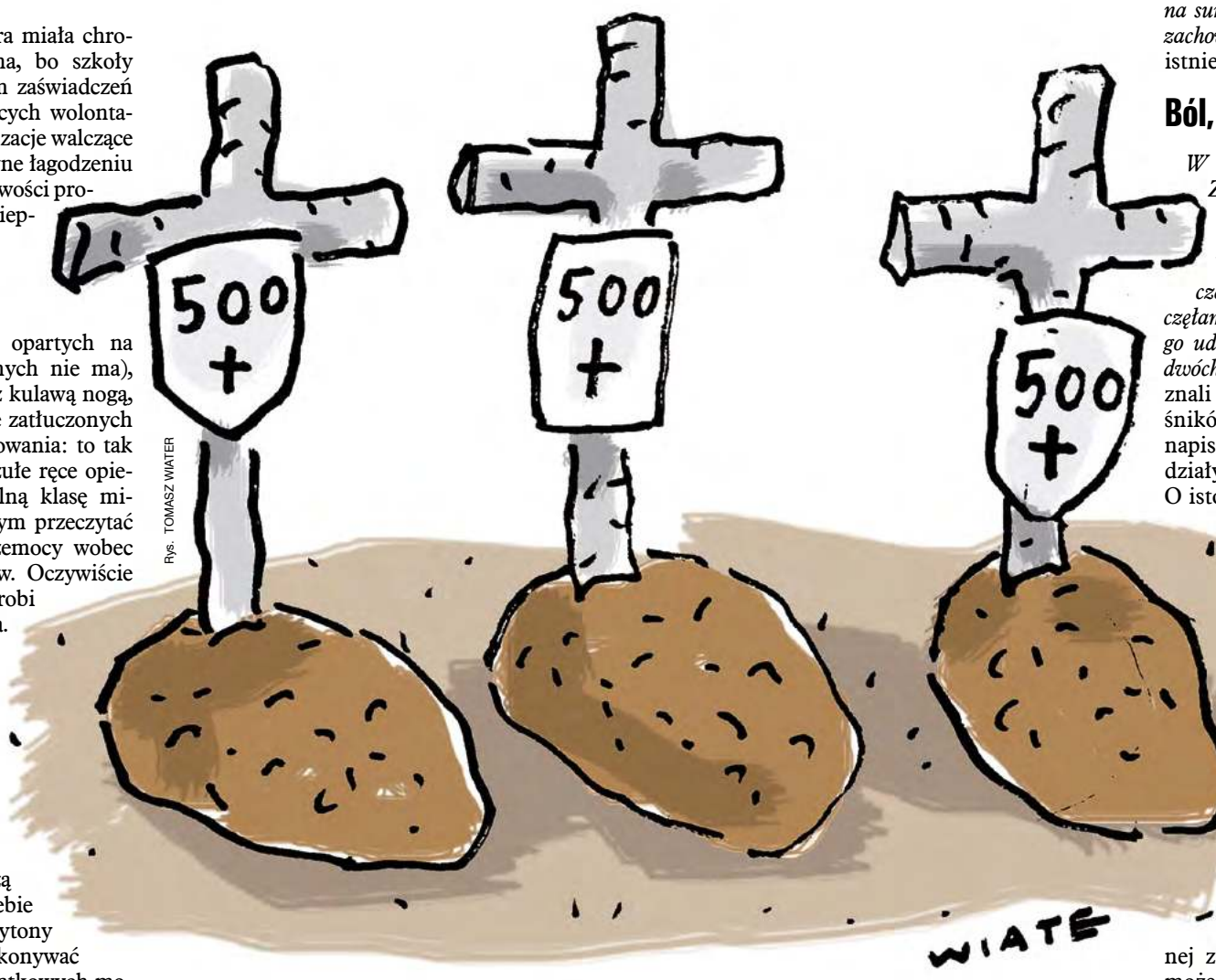

Rys. TOMASZ WIATER

Paskiem po oczach

Według danych statystycznych opartych na doniesieniach medialnych (bo innych nie ma), na które nie zwróciłby uwagi pies z kulawą nogą, co roku w polskich domach zostaje zatłuczonych między 20 a 40 dzieci. Dla zobrazowania: to tak jakby w ciągu 12 miesięcy mało czułe ręce opiekunów wyeksportowały całą szkolną klasę milusińskich do kostnicy. Można o tym przeczytać w książce „Kwaśne jabłka. O przemocy wobec dzieci" Piotra i Magdy Mieśników. Oczywiście w skali 38-milionowego kraju nie robi to na nikim większego wrażenia. Informacje o martwych małoletnich prowokatorach nieco lepiej radzą sobie w mainstreamie, kiedy w końcu w rodzicielskim worku treningowym puszczają szwy, a na czerwonych paskach pojawia się zdrobnione imię małego trupka. Chór narodowy kraju nad Wisłą zaczyna śpiewać na dwa głosy: koryfeusze nizin społecznych zawodzą w zapewnieniach o pilnej potrzebie ulicznego samosądu, partyjne barytony zaś kadencja za kadencją chcą dokonywać zmian. Tyle dobrego, że w tych wyjątkowych momentach rzężenie katowanych za ścianą kaszojadów można zagłuszyć, podgłaśniając telewizor. Przy odrobinie szczęścia sąsiedzki hałas zawinięty w smród na powrót zamieni się w dziecko w świetle innych kamer: *W ostatnim czasie Marcel często płakał. Non stop to słyszałam. Słyszałam krzyki Anity: „Zamknij się, Marcel". Ostatnio płacz dziecka był notoryczny. Rozmawiałam z właścicielką mieszkania, że to aż nienaturalne – mówi sąsiadka zza ściany (…) Chciałam interweniować, ale zawsze po pewnym czasie się uspokajało (...).*

Tego pamiętnego wieczoru Marcelka uspokoiła mamusia. Syna położyła na brzuchu, przykryła kołderką i przyciskała nią jego głowę do poduszki. Metoda zawsze się sprawdzała, pomysłodawcą był ojczym-konkubent, który skończył kurs ratownictwa medycznego, więc wiedział, co mówi, kiedy akurat był trzeźwy. Tuląc dziecko do snu, matka krzyczała, żeby Marcel się zamknął. Choć jeden raz karnie posłuchał.

Kopiuj – wklej – smaruj

Sceneria przekazywania chrześcijańsko-narodowych wartości wychowawczych jest tak do bólu powtarzalna, że można by na jej podstawie stworzyć modułowy model domu przemocowego i obwozić go po targach wnętrzarskich pod szyldem „Dobre, bo polskie". *Przedmioty służące do zażywania narkotyków są też na zdjęciu, które zrobił mężczyzna wynajmujący parze mieszkanie. Leżą tuż obok dziecięcych zabawek. Na fotografii widać też spleśniałe jedzenie, bałagan i brud. (…) Starszy brat Damiana jest tym poruszony. Jego partner wysyła Karolinie wiadomość: „To nieodpowiedzialne, że ćpacie przy dzieciach". Dziewczyna odpisuje: „Słuchaj, pedale jebany, pecie, rozjebię ci, kurwo, łeb, jak myślisz, że 500 plus wystarczy na dziecko, to jebnij się w łeb".* Na szczęście dla Karoliny i jej partnera Damiana świadczenie wystarczyło na zakup zaprawy betonowej, którą z troską zalali samodzielnie wykopany grób czteroletniego Leona – syna kobiety, który „wpadł" do brodzika z wrzątkiem, a po opatrzeniu rozległych oparzeń panthenolem, kiedy płaty skóry zaczęły schodzić do żywego mięsa razem ze zmienianą odzieżą, już mu się nie polepszyło.

Odpadów jest tak dużo i tworzą tak wysokie warstwy, że po mieszkaniu można się poruszać jedynie wąskimi wydeptanymi ścieżkami. Jeden pokój przeznaczony na składowisko śmieci. W drugim kojec dla dziecka mniej więcej metr na metr. (…) Ślady kału, moczu i wymiocin. Larwy owadów. Tu Eliza spędziła ostatnie miesiące swojego życia. (…) Na pralce głośnik i Xbox 360. Na lodówce telewizor, włączony kanał Polsat HD – tak brzmiała policyjna notatka z oględzin lokum kolejnych Karoliny i Damiana. Ich pięcioletnia niepełnosprawna córka w chwili śmierci ważyła tyle, ile sześciomiesięczne niemowlę. Rodzice przygotowywali jej posiłki w odciętym spodzie butelki po wodzie mineralnej, jeśli im się akurat przypomniało.

Na pociechę strapionym Eliza nie umarła w samotności – we włosach miała larwy much, a obok jej zwłok leżała młodsza siostra, ku zdumieniu służb żywa.

Naturalnie zdarzają się wyjątki z tzw. dobrych domów. Te za sprawą koneksji i smarowania odpowiednich kieszeni wyparowują z systemu. Pobrudzić można posadzkę krwią, ale nie opinię.

Rodzina Bogiem silna

5 lutego Sylwia publikuje w mediach społecznościowych zdjęcie trójki dzieci opatrzone serduszkami. Takie samo wrzuca Przemek. Oboje mają nakładki na zdjęcia profilowe z hasłem „Jestem za życiem" i grafiką przedstawiającą nienarodzone dziecko. Dodają też grafiki wspierające Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Kiedy Zuzia przestała kopać w brzuszku Sylwii, rodzice postanowili skopać Zuzię. Zresztą nie umniejszając, bo portfolio metod na okiełznanie trzylatki mieli bogate. Jak wynika z ustaleń prokuratury, Zuzanna doznała wieloodłamowego złamania kości ramienia, jej głową uderzano o ścianę, obrywała tępym narzędziem i rękoma po ciele. *W chrześcijańskiej tradycji wychowawczej kary cielesne miały zawsze swe miejsce i opierały się na wyraźnych wskazaniach ksiąg dydaktycznych Starego Testamentu, za którym później poszła praktyka wieków. Nie ma zatem podstaw, aby dziś pedagogika chrześcijańska miała się ich wyrzekać dla bezpodstawnych uprzedzeń, jakie sieją fałszywe kierunki filozoficzne* – przytaczają słowa dominikanina Jacka Woronieckiego z wydanej w 1986 r. „Katolickiej etyki wychowawczej" autorzy „Kwaśnych jabłek". Tyle starań na nic, niereformowalność Zuzi doprowadziła ją do obrzęku mózgu i przez stan śpiączki farmakologicznej aż do śmierci. Może chociaż skorzystała ze sprzętu Orkiestry, żeby starzy nie byli do końca stratni w tym dziecięcym interesie. I tak gdyby mogła, nie powinna narzekać. Mniej szczęścia miała ta mała, która przeszkadzała matce w prasowaniu. Wypalona gałka oczna z połową twarzy w bonusie uczą moresu, ale niestety brzydko wyglądają. Do tego stopnia, że kiedy neurochirurg dziecięcy prof. Stanisław Kwiatkowski pokazywał zdjęcie zderzenia sprzętu AGD z buźką kilkulatki na policyjnej konferencji o przemocy wobec dzieci, poproszono go, by więcej tego nie robił. Dlaczego? *Psychologiczny syndrom wyparcia. (…) Mają coś na sumieniu i nie chcą oglądać konsekwencji takich zachowań* – wyjaśnił profesor, naiwnie zakładając istnienie ludzkich skrupułów.

Ból, który leczy duszę

W nocy zaczął stękać. Dostał jakby oczopląsu. Zdenerwowało to Artka. Uderzył go z całej siły dwa razy w brzuch, mówiąc, że ma przestać. Po tym uderzeniu zaczęła mu ciec krew z ust. Wytarłam mu usta i nosiłam na rękach, bo cały czas mu się odbijało. (…) Oskar dalej stękał. Zaczęłam na niego krzyczeć, żeby przestał. Artur znów go uderzył w brzuch. Oskar tylko ruszył ręką. Od dwóch dni nic nie mówił. Gdyby rodzice Oskara znali przytoczoną w książce Piotra i Magdy Mieśników twórczość Jana Sobolewa, który w 1933 r. napisał dzieło „Karanie wychowawcze jako oddziaływanie na duszę w okresie chłopięcym. O istocie i stosowaniu kary cielesnej", na pewno by się z nim zgodzili. *Karany chłopak cierpi bardzo dotkliwy ból, ale ten ból leczy duszę jego i jest dla niego dobrodziejstwem, bo daje mu zbawienne owoce poprawy, ratuje go od zmarnowania się i zejścia na manowce, a duszę jego od piekła.*

Z rodzicami nie zgodził się natomiast Sąd Okręgowy w Piotrkowie Trybunalskim, skazując ich na 25 lat kicia za zabójstwo. Sędzia nie uwierzył nawet w zapewnienia ojczyma, który myślał, że krwiste wymiociny to czekoladowy baton, którego chłopiec zjadł dwa dni wcześniej. Żadnych konsekwencji nie ponieśli pracownicy opieki społecznej zajmujący się wcześniej rodziną. Kto wie, może to oni dali chłopcu baton. Żeby skleił mordę i nie robił nikomu kłopotu. Bo Oskar i jemu podobni, tak trudni do utemperowania przez puls i potrzebę oddychania, generują komplikacje: dla sądów, wydrenowanego systemu opieki zastępczej, polityków i opinii społecznej. Gorzej: jeśli przeżyją, trafiają do specjalnych hospicjów dla dzieci, gdzie trzeba je oduczać histerycznej reakcji na dotyk. Rzadko trafiają do adopcji, a już na pewno nigdy więcej na czerwony pasek telewizji. Nie szkodzi, w zakamarkach polskości bogobojnie wpatrzeni w cierpiącego Chrystusa płodzą kolejne ofiary, o których za i tylko przez chwilę będzie głośno.

IDALIA DUBICKA

Wszystkie cytaty pochodzą z książki „Kwaśne jabłka. O przemocy wobec dzieci" Magdy i Piotra Mieśników, Muza, Warszawa 2024.

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Złodziejski magazyn wypełniony skradzionymi za granicą rowerami elektrycznymi odkryli policjanci pod Wrocławiem. Było tego 160 jednośladów o wartości 3 mln zł. 62-letni mężczyzna i 36-letnia kobieta zostali zatrzymani. Oczywiście wniosek jest tylko taki, że rowery elektryczne nie idą. Widać ludzie nadal preferują klasyczne pedałowanie.

▮ ASM Sales Force Agency zajmująca się badaniem różnych wskaźników na rynku konsumenckim podała, że średni koszt koszyka zakupowego przeciętnych towarów żywnościowych i użytkowych w największych sieciach sprzedaży wyniósł 280,27 zł. W ubiegłym roku był on warty 180,35 zł. Oznacza to inflację na poziomie 52,69 proc. Napoje zdrożały o 19 proc., słodycze o 11 proc., mrożonki o 10 proc. Spadek zanotowały jedynie produkty tłuszczowe o 5 proc.

▮ Zakład Karny w Przytułach Starych pod Ostrołęką powiadomił o współpracy z muzułmańską Fundacją Nur Nauka i Kultura. Fundacja przekazała zakładowi kolekcję książek o tematyce religijno-filozoficznej, w tym Koran. *Wśród przekazanych dzieł znajdują się prace Saida Nursiego, które obejmują wiele aspektów życia ludzkiego. Nursi, ze względu na swoje zaangażowanie niepodległościowe, spędził wiele lat jako więzień. Jego traktaty z tego okresu mogą być szczególnie interesujące dla naszych osadzonych, przyczyniając się do skuteczniejszej resocjalizacji* – tłumaczy dyrekcja więzienia. Potrzeba resocjalizacji Koranem wynikła i z tego, że w Przytułach coraz większy odsetek osadzonych stanowią mahometanie. Problemem jednak może być, że przekazana więzieniu literatura jest głównie w języku polskim, łącznie ze świętymi księgami islamu.

▮ Huta Częstochowa po 140 latach swojego istnienia wreszcie wyzionęła ducha. Formalnie rzecz ujmując, ogłoszono upadłość. 1200 osób idzie na bruk, a we wrześniu, zamiast wypłaty, dostały one jałmużnę – 1000 zł zaliczki. Pamiętacie Państwo zapewne słowa Jarosława Kaczyńskiego: *Jeśli ktoś nie jest w stanie prowadzić działalności gospodarczej w takich warunkach, jak my chcemy, to znaczy, że się do niej po prostu nie nadaje*. No to mamy kolejnych, którzy ewidentnie się nie nadawali.

▮ Rząd przyjął projekt nowelizacji ustawy o elektromobilności i paliwach alternatywnych. Przewiduje on obowiązek tworzenia stref czystego transportu w miastach powy-

eprasa.pl 324bd6bdbf

Kolejna odsłona wojny z pornografią

Rys. TOMASZ WIATER

Epoka hipokryzji plus

Instytut Ordo Iuris wraz z Centrum Życia i Rodziny, jak przystało na organy, które wykazują wzmożoną aktywność wszędzie tam, gdzie mowa o uciechach cielesnych, postanowiły rozpocząć własną vendettę na dostępie do pornografii w internecie przez milusińskich. Kondominium wyjęte z okopów Świętej Trójcy rozpoczęło rozpaczliwą walkę z onanią nieletnich pod erotyczne fikołki od rozesłania e-maili do swoich fanów z prośbą o wsparcie (zarówno finansowe, jak i mentalne) inicjatywy Stop Narkotykowi Pornografii.

Hot or not?

Jako pierwsze swoje ruchy w zasłonięciu dziecięcych oczu przed analno-waginalno-oralnymi produkcjami zapowiedziało na początku sierpnia Ministerstwo Cyfryzacji, o czym pisaliśmy w „NIE" nr 37/2024, sprowadzając zakusy ministerstwa do parteru. Bo żeby porno dzieciom zakazać, należy wpierw zdefiniować, czym to porno w istocie jest, a nie jest to wcale taka prosta sprawa. *Pornografia to już dawno nie są erotyczne zdjęcia półnagich kobiet. Współczesna pornografia to dehumanizujące sceny seksualnej przemocy, poniżania czy orgii, promocja kazirodztwa i zdrady. Według najbardziej ostrożnych szacunków 1 na 3 filmy pornograficzne pokazują przemoc seksualną lub agresję. Pornografia „głównego nurtu" normalizuje zachowania takie jak plucie na partnerkę, duszenie, policzkowanie, kneblowanie, ciągnięcie za włosy* – zżymają się członkowie Ordo Iuris i Centrum Życia i Rodziny w e-mailu, jakby jego odbiorcy sami nie zabawiali się tak sekretnie w zaciszu alkowy, i jak zwykle pomijają mężczyzn, którzy we wspomnianych produkcjach bywają hojnie obdarowywani ejakulatem na twarz, w ich tyłkach lądują rozmaite artefakty, dostają lanie i długo by wymieniać. Tak czy siak jednego ziębi, drugiego grzeje. Gdzie wady? – chciałoby się zapytać. Z dylematem, jak sprecyzować to, co niemoralne w kraju nad Wisłą, zmagali się ustawodawcy i cenzorzy już w 20-leciu międzywojennym. Co więcej, pomimo upływu czasu pytania zostały tak samo otwarte jak chuci społeczne niemożliwe do ograniczenia.

Zagrożeni jebaniem

Słowo „pornografia" pochodzi z greki i zostało ukute ze zlepka słów *porne* (nierządnica) i *graphos* (pisać, rejestrować). Krótko mówiąc, nie wyrażało żadnych sprośnych konkretów. Do języka francuskiego słówko pornographie zostało prawdopodobnie wprowadzone przez Nicolasa Edme Restlifa de La Bretonne za sprawą jego nasyconego erotyzmem dzieła o tym tytule. W XIX w. słowo rozpleniło się w innych językach, w tym również w polskim. *Wszelkie wydawnictwa [pornograficzne] (…) przynoszą duszom nieśmiertelnym ogromne straty, nie dające się objąć żadną statystyką, i niszczą zdrowie oraz energię narodu* – grzmiała Liga Katolicka w odezwie sformułowanej w Poznaniu w 1932 r., o czym przypomina w swojej książce „Epoka hipokryzji. Seks i erotyka w przedwojennej Polsce" Kamil Janicki. *Ludzie samotni często korzystają z pornografii w celu zmniejszenia poczucia samotności i braku miłości w życiu. Paradoksalnie tworzą oni w ten sposób relacje paraspołeczne z postaciami przedstawionymi w pornografii, przez co pogłębiają swoje problemy* – argumentują katoliccy pracusie z OI i CŻiR w swoim apelu. I dalej wyrokują: *Oglądanie pornografii osłabia więzy miłości małżeńskiej w przypadku kobiet bardziej niż u mężczyzn* oraz *Oglądanie pornografii internetowej łączy się z zaniedbaniem istotnych informacji o środowisku oraz niekorzystnie wpływa na podejmowanie decyzji przez człowieka (m.in. zaniedbywanie snu, zapominanie o spotkaniach)*. Podwójna zgroza, bo

pomimo zapowiedzi blisko sto lat podniet napędzanych gołodupnym origami nie wytłukło polskich obywateli, a z niewinnego porno, które najczęściej przyprawia jedynie o ból nadgarstka, wciąż robi się broń masowego rażenia.

Janicki przywołuje słowa przedwojennego księdza Stanisława Trzeciaka: *O ile zło w tym kierunku wzbiera i rozpusta w jakimś narodzie rozszerza się swobodnie (…), to naród taki ginie. Dlatego każdy naród pragnący zapewnić sobie byt i przyszłość, musi strzec swojej młodzieży nie tylko przed rozpustą, ale i przed wszystkim, co do rozpusty prowadzi.* Trzeciak zaś dalej udowadniał, że to pornografia, Żydzi i masoneria sprowadzili na Polskę stuletnią niewolę. Jako że i dziś nie brakuje podobnych głosów, należy uznać, że troska o dziatwę i losy ojczyzny sprzed wieku na aktualności nie straciła. Zatem na cnotę Najświętszej Panienki, jak ujednoznacznić porno?

Kto kogo łechce

W burzliwej dyskusji o wyznaczaniu warunków granicznych dla definicji pornografii ścierają się dwa przeciwstawne stanowiska: według pierwszego granicy pornografii wyznaczyć się nie da, a gdyby nawet, to będzie ona zawsze zmienna, tak jak zmienne są obyczaje. Drugie stanowisko mówi, że z punktu widzenia prawa karnego zmienność obyczajów nie przesądza o zmienności granicy pornografii, ponieważ pornografia nie należy tylko do obyczajności. Aj waj! Z książki Janickiego wynika, że zmienność obyczajów przesuwała granice prawa karnego w kwestii porno. I co teraz? W 1923 r. państwa zrzeszone w Lidze Narodów podpisały Międzynarodową Konwencję w sprawie Zwalczania Obiegu i Handlu Wydawnictwami Pornograficznymi, którą przyjęło 56 państw (w tym Polska w 1927 r. – umowa obowiązuje do dziś) i wynikło z tego faktu sporo hecy. *Najprostszą odpowiedź na pytanie, co jest pornograficzne, daje nam wrodzone uczucie wstydu (…) brać należy pod uwagę wstydliwość ludzi rozwiniętych i duchowo wyrobionych, a [zarazem] normalnych* – cytuje Adama Brzostyńskiego, autora broszury „Ochrona religii i tępienie pornografii przez ustawodawstwo polskie", Kamil Janicki. Na deser autor przypomina figurę Maryse Choisy francuskiej reporterki, która spędziła miesiąc jako sprzątaczka w burdelu, żeby opisać tamtejsze realia, a która tak broniła przed oskarżeniami o porno sugestie swojego kolegi po fachu: *Nigdy nikt nie onanizował się po książce Delteila.*

Według anglosaskich słowników prawniczych pornografią jest portretowanie seksualnych podmiotów w celu wzbudzenia podniecenia seksualnego lub osiągnięcia satysfakcji erotycznej. Porno to wyróżniony opis lub okazanie aktywności seksualnej w literaturze, filmie i innych mediach z zamiarem wyzwolenia stymulacji erotycznej, a nie estetyki artystycznej. Jeśliby zamienić nagłówki portali ze śliskimi filmami, dodając przedrostek „art", a do tego znaleźć grono świadków gotowych przyznać, że czytają Biblię jedną ręką, mogłoby dojść (he he) do ciekawej rozprawy sądowej. *Żyjemy dzisiaj w epoce krótkich sukienek i kostiumów sportowych. Widok trzewiczka nie wywołuje już u nas obłędnych uniesień ani tzw. purpurowej mgły przed oczami. Noga się zdewaluowała. Nogę zna każdy sztubak chodzący do kina* – przypomina słowa Antoniego Słonimskiego Janicki. Gdyby literat wstał z grobu i obejrzał pierwszy z brzegu klip w serwisie YouTube lub na TikToku, gdzie półnadzy (lub nadzy w całości) tancerze symulują takie układy, od których bolą plecy i płoną podbrzusza, dopiero miałby materiał do rozważań.

Jedną ręką

W „Epoce hipokryzji" Janicki przywołuje postać Czesława Lechickiego, który w swoim opracowaniu „W walce z demoralizacją" pisał: *Rekord pornografii (…). Cenny materiał dla psychopatologów, atoli przed szerokim ogółem winien być na klucz zamknięty* (opinia odnosiła się do twórczości Witkacego). Pornografia wymyka się łatwej definicji. To, co wczoraj było porno, dziś może nie spowodować nawet westchnienia. Co więcej, w tym samym czasie dla jednych te same treści mogą być pornograficzne, dla innych – nie. Dziatwa, która napotka pornoszlaban nałożony przez ustawodawcę, nie pobiegnie szukać podniety u Witkacego, lecz zwali sobie do filmu przesłanego przez kolegę. W tym czasie sądy z potem na czole i kleksem w spodniach będą badać, czy dziecięce nadgarstki puchną od amatorskich materiałów z domowego chędożenia na podrzędnych stronach w internecie, czy od reklamy perfum międzynarodowej korporacji. Banał i historia zatoczą koło.

IDALIA DUBICKA

żej 100 tys. mieszkańców w przypadku przekroczenia tam dopuszczalnego poziomu dwutlenku azotu. O tym, jaki jest dopuszczalny poziom dwutlenku azotu, decydować będą radni miejscy. Miejmy nadzieję, że dwutlenek azotu będzie posłuszny ich decyzjom.

■ Jak się okazuje, ten sam rząd radość elektromobliności pozostawia przede wszystkim obywatelom. Administracja państwowa w 2024 r. zarejestrowała 942 nowe samochody. O 4 proc. więcej niż w roku poprzednim. Same wypasione bryki o silnikach jak do czołgów. Między innymi Range Rovery, Mercedesy klasy S, BMW serii 7, Audi A6 oraz Volvo XC90 potrafiące spalić cysternę benzyny na trasie z Zawiercia do Gorzowa. Szkoda, szkoda bo ja do tej pory panu Tuskowi bardzo ufałem.

■ 22-letnia mieszkanka powiatu płockiego, matka dwójki dzieci, opublikowała w mediach społecznościowych film, na którym odbywa stosunek oralny z psem. Monika Jakubowska, oficer prasowa komendanta miejskiego policji w Płocku wyjaśniła, że sprawa trafiła już do prokuratury, gdzie prowadzone są czynności pod kątem możliwości znęcania się nad zwierzętami. Phi, czy ja wiem?!

■ 34-letni Bartłomiej B., podejrzany o zabójstwo – to znaczy faktycznie zajebał dwóch gości siekierą, tylko sąd go nie skazał, czyli nadal jest podejrzanym, a nie sprawcą – uciekł ze szpitala psychiatrycznego w Radecznicy w Lubelskiem. Tam jako bardzo niebezpiecznego złoczyńcę pilnowało go na okrągło dwóch klawiszy. Policja namierzyła w końcu uciekiniera na poddaszu pustostanu we wsi Zarnowa, która jest oddalona o 120 km od rzeczonego szpitala. Pan morderca wyjaśnił, że wykorzystał chwilę nieuwagi strażników, kiedy oni po prostu spali, i wyszedł przez niezamknięte drzwi.

■ Zgodnie z Rejestrem Dłużników Biura Informacji Gospodarczej InfoMonitor (nie jest to instytucja, którą należy darzyć nadmiernym zaufaniem, ale jednak) długi alimentacyjne odnotowane w tymże rejestrze wynoszą 16 mld zł. Są też takie nieodnotowane, nawiązując do tego wzmiankowanego nienadmiernego zaufania. Średnie zadłużenie jednego niepłacącego rodzica przekracza 55 tys. zł. Bądźmy jednak obiektywni. Nie pozostawiliśmy samotnych matek samym sobie. Wszystkie dzieci nasze są, dlatego otrzymują od wszystkich 800 plus.

■ W Monitorze Polskim ukazało się obwieszczenie ministra finansów w sprawie górnych granic opłat lokalnych na rok 2025. W przypadku budynków mieszkalnych maksymalna stawka podatku wzrośnie z 1,15 zł do 1,19 zł, natomiast dla gruntów pod takimi budynkami – z 0,71 zł do 0,73 zł za mkw. Waloryzacja podatku wyniesie zatem ok. 3 proc. Dla właściciela 200-metrowego domu położonego na działce o powierzchni 1000 mkw. może to oznaczać podatek od nieruchomości w wysokości 968 zł. 28 zł więcej niż w tym roku.

■ 85-latkowi zatrzymano prawo jazdy i postawiono zarzut poważnego zagrożenia dla ruchu lądowego – wyjawiła Komenda Wojewódzka Policji w Katowicach. Ta niechęć policji wynika z faktu, że facet pokonał 30 km autostradą A1 z Gliwic do Bytomia, jadąc pod prąd. Nikogo przy tym nie zabił ani sobie krzywdy nie zrobił. Gdyby nie upierdliwa drogówka, dotarłby bezpiecznie do Pyrzowic, jak planował. My byśmy mu przyznali tytuł mistrza kierownicy, jeżeli Orlen dodałby do tego rok tankowania za darmo. Policja bowiem dość opacznie postrzega drogową rzeczywistość i nie tylko.

■ W Poznaniu w ciągu 40 lat populacja wróbli zmalała o 95 proc. – rzekł był dr hab. Tadeusz Mizera, ornitolog z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. To jest porównywalne z ubytkiem słoni lub nosorożców w Afryce. Wróble zanikają, bo nie mają gdzie budować gniazd w domach ocieplonych styropianem. Łąki, na których zbierały nasiona, zostały zabudowane. Śmiecie, w których jest dużo dobrego do jedzenia, pakowane są w szczelne plastikowe worki. Nic tu nie pomoże prawo, które już w 1978 r. uczyniło wróble gatunkiem chronionym. Postęp ma też swoje ofiary.

■ Ministerstwo Infrastruktury obwieściło sukces. Od 1 listopada przybędzie w Polsce 1600 km płatnych dróg. Przed tą datą płatnych było tylko 3600 km dróg krajowych wszystkich kategorii. Dzięki wysiłkom intelektualnym urzędników będziemy mieli ich wreszcie ponad 5 tys. km. Brawa dla pana ministra Dariusza Klimczaka!

■ 37-letni nauczyciel zamontował kamerę w męskiej toalecie Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących Mechanik w Tarnowskich Górach. *Podejrzany przyznał się do zamontowania kamery. Wskazał jednocześnie, że jego celem było ustalenie osób palących papierosy w toalecie* – poinformowała Prokuratura Okręgowa w Gliwicach. Prokuratura wyjawiła również, że nie uwierzyła temu głupkowatemu wyjaśnieniu i oskarżyła belfra o bezprawne uzyskanie informacji, do których nie był uprawniony, oraz utrwalenia nagiego wizerunku innych osób bez ich zgody.

■ Burmistrz Zakopanego Łukasz Filipowicz z konsternacją przyznał, że urząd miasta od trzech lat ma na utrzymaniu kozę i krowę. Zwierzęta dostały się pod kuratelę magistratu za panowania poprzedniego burmistrza. Ten orzekł, że trzeba je odebrać właścicielowi, ponieważ miejscowy lekarz weterynarii stwierdził, że są przez górala źle traktowane. Koszt utrzymania obojga obciążył podatników na kwotę 38 tys. zł. Zwierzęta zostały przekazane do schroniska Rogate Ranczo opodal Sopotu, który jest miastem partnerskim Zakopanego.

RJ

PS Doniesienia zaczerpnięte są z lokalnej prasy. Choć zapewne rozweselają, niekoniecznie muszą odzwierciedlać stan faktyczny. My, rzecz jasna, rąk sobie za to ucinać nie damy.

eprasa.pl 324bd6bdbf

Tańce wojenne aptekarzy

Czy jesteśmy skazani na duże sieci farmaceutyczne?

Podczas Europejskiego Forum Idei (EFNI) w Sopocie europoseł Dariusz Joński i prezes Instytutu Finansów Publicznych dr Sławomir Dudek rozpoczęli krucjatę przeciwko ustawie Apteka dla Aptekarza 2.0. Od jej wyniku zależy, kto położy łapę na rynku wartym 47,6 mld zł.

Mało który obywatel odwiedzający aptekę celem zakupienia leków na hemoroidy, grzybicę czy innego raka zdaje sobie sprawę z trwającej od lat wojny między polskim a zagranicznym kapitałem na krajowym rynku dystrybucji farmaceutyków. Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach, a ogon trzyma na Kajmanach.

Komu aptekę?

Kiedy po transformacji ustrojowej spuszczeni z socjalistycznej smyczy obywatele rzucili się w objęcia kapitalizmu, aptekę mógł otworzyć każdy. Drobnym wyjątkiem byli właściciele hurtowni farmaceutycznych i czynni zawodowo lekarze. Naturalnie przepisy zgrabnie obchodzono, ale wszyscy byli z grubsza zadowoleni. Biznes apteczny pęczniał jak zdrowa erekcja, a kiedy osiągnął odpowiedni rozmiar, zagraniczne spółki kapitałowe zajmujące się sprzedażą leków zwietrzyły zarobek i zaczęły powolutku mościć cztery litery w kraju nad Wisłą. Jak to w biznesie bywa, część z nich kulturalnie żarła z miski, ale niektórzy mieli ochotę na znacznie więcej. Dla higieny rynkowej rząd w 2004 r. wprowadził zasadę regulacyjną, która zakładała, że jedna grupa kapitałowa lub podmiot mogą mieć w posiadaniu 1 proc. aptek w województwie. Krótko mówiąc, przedsiębiorca, który miał ponad 1 proc. udziału w rynku aptek w województwie, nie mógł otworzyć nowej apteki, ponieważ nie dostałby na to zezwolenia. Dowcip polegał na tym, że sądy zaczęły orzekać, iż art. 99 ust. 3 prawa farmaceutycznego nie wyłącza przejścia zezwolenia na nabywcę apteki. Mówiąc językiem łopatologicznym, przedsiębiorca kupujący istniejącą już aptekę obowiązujące przepisy mógł mieć w pompie. Burdel dopiero się rozkręcał. Rodzime apteki – zarówno indywidualne, jak i tworzące małe sieci – zaczęły spadać do rangi ubogiej krewnej przy suto zastawionym stole, żeby finalnie masowo znikać z przestrzeni publicznej. Powód był prosty i czysto ekonomiczny: wygrywał silniejszy. Wspomniany wcześniej Kowalski mógłby – skądinąd słusznie – zapytać, dlaczego właściwie miałoby go to obchodzić, skoro gdzie indziej ma taniej, a polskiemu prywaciarzowi pies mordę lizał. Ano chociażby dlatego, że on sam stał się pionkiem w tej grze, by nie rzec, że został najbardziej wydymany. Tak się sympatycznie złożyło, że hurtownie lekowe zaczęły faworyzować grube sieciowe ryby przy realizacji zamówień. Jeśli więc jakiegoś leku było mało, w pierwszej kolejności trafiał do zagranicznej sieciówki. Kowalski zatem szybko się nauczył, by właśnie tam kierować swoje kroki. Hasło „optymalizacja podatkowa" pewnie też niewiele mówi większości obywateli, a szkoda, bo według raportu Związku Aptekarzy Pracodawców Polskich Aptek (ZAPPA) tylko jedna z franczyzowych sieci aptek z zagranicznym kapitałem (z funduszu grupy kapitałowej na Kajmanach właśnie), którą tworzy 45 spółek jawnych, w żadnym roku podatkowym nie osiągnęła zysku i nie zapłaciła podatku od dochodu. Gwoli ścisłości przy 3,7 mld zł obrotu wykazała 465 mln zł straty. Dla porównania: polscy aptekarze płacą podatek dochodowy na poziomie 2 proc. obrotu.

Apteki indywidualne odpowiedzialne za 30 proc. rynku zapłaciły w latach 2017–2021 715 mln zł podatku PIT. W tym samym czasie sieciówki wybuliły „aż" 283,2 mln zł tytułem podatku CIT, chociaż kontrolują 70 proc. rynku.

Długi zagranicznych spółek, podobnie jak straty, sukcesywnie rosną. Straty, jak informują w zeznaniach podatkowych spółki, będą pokrywane z przyszłych zysków. Kiedy? O tym za chwilę.

AdA, to nie wypada

W 2017 r. rząd PiS wprowadził ustawę Apteka dla Aptekarza zwaną potocznie AdA. Od tego momentu o zezwolenie na prowadzenie apteki ogólnodostępnej mógł się ubiegać wyłącznie farmaceuta posiadający prawo wykonywania zawodu, prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą, ewentualnie spółka jawna lub partnerska, której przedmiotem działalności było wyłącznie prowadzenie aptek, a w której partnerami są wyłącznie farmaceuci posiadający prawo wykonywania zawodu. Co istotne, rozwiązania wprowadzone przez AdA dotyczyły wyłącznie nowych aptek, podmioty zaś, które prowadziły swoją działalność na podstawie uprzednio uzyskanych zezwoleń, zachowywały swoje dotychczasowe uprawnienia. Guzik zamiast zezwolenia na prowadzenie apteki zobaczyłby farmaceuta, który prowadził już w sposób bezpośredni albo pośredni co najmniej cztery apteki. Pojawiły się również określone kryteria demograficzne i geograficzne ograniczające możliwość otwarcia nowej placówki (w szczególnych przypadkach urzędnicy mogli zgodzić się na odstępstwo od tej reguły): na nową aptekę musiało przypadać co najmniej 3 tys. mieszkańców, a żadna inna apteka nie mogła być zlokalizowana bliżej niż 500 m. Po co? Żeby sieciówka, która wprowadzi się obok rodzimej apteki nie wykończyła jej dumpingowymi cenami. Przeciwko przepisom była opozycja, która uznała, że PiS robi zamach na wolność gospodarczą. Choć AdA uniemożliwiła podmiotom prowadzącym sieci aptek otwieranie nowych punktów, podmioty te zaczęły przepisy obchodzić i zwiększać swoje udziały w rynku poprzez budowanie wcześniej wspomnianych franczyz, przejmowanie oraz kupowanie mniejszych spółek. Kiedy media nagłośniły sprawę dziurawych jak sito przepisów, rząd postanowił przykręcić śrubę. 28 września 2023 r. zaczęła obowiązywać nowelizacja prawa farmaceutycznego określana jako Apteka dla Aptekarza 2.0, która miała zamknąć furtki do otwierania aptek na słupa pod przykrywką franczyzy. Doprecyzowano, że niedozwolone jest przejęcie kontroli w rozumieniu przepisów o ochronie konkurencji i konsumentów nad podmiotem prowadzącym aptekę ogólnodostępną, oraz zwiększono kary za niezgodne z prawem przejęcie apteki, za które wojewódzki inspektorat farmaceutyczny mógł nałożyć od 50 tys. do 5 mln zł kary i cofnąć zezwolenie na prowadzenie interesu. PiS znów koncertowo spierdolił sprawę, bo z pominięciem procedur i konsultacji zmienił prawo farmaceutyczne wrzutką poselską przy okazji prac nad nowelą ustawy o prawie eksportowym. Prezydent Duda skierował ustawę w części dotyczącej aptek do Trybunału Konstytucyjnego w trybie kontroli zastępczej. 18 września 2024 r. Trybunał uznał, że taki tryb uchwalenia nowelizacji prawa jest sprzeczny z konstytucją. Przez burdel w Trybunale Konstytucyjnym wyrok nie został opublikowany w Dzienniku Ustaw, więc de facto nie działa. W praktyce oznacza to, że każda decyzja, jaką podejmie wojewódzki inspektorat farmaceutyczny, musi się opierać na podstawie przepisów AdA 2.0, natomiast decyzja powinna być uchylona jako niezgodna z konstytucją przez sąd i dopiero po tej procedurze WIF będzie mógł zignorować przepisy AdA 2.0. Nowy rząd ma zakusy, żeby ustawę w ogóle zlikwidować, powody ku temu po części wyjął z okolic okrężnicy, a kij, którym tam miesza, ma dwa końce.

Rys. TOMASZ WIATER

Boks pigularzy

Choć z prawnego punktu widzenia AdA 2.0. jest gówniana i wymaga wielu zmian, stanowi też pewną zaporę przed zmonopolizowaniem polskiego rynku aptecznego przez światowych gigantów. Europoseł Joński w Sopocie argumentował, że wskutek ustawy w Polsce ubyło 2 tys. aptek, a 300 gmin nie ma ich u siebie w ogóle. Kłopot polega na tym, że to sieciowe molochy z zagranicy na mocy pisowskich błędów w ustawie AdA wyrżnęły słabszych rodzimych zawodników. Na pytanie, dlaczego w kraju widnieją białe plamy – miejscowości bez aptek – poseł Joński powinien odpowiedzieć sobie sam, gdyby tylko wyjął głowę z oparów aptekarskiego lobby. Dla dużych graczy te miejscówki były, są i będą nieopłacalne, dla indywidualnych aptekarzy – też. Aby zagraniczne sieci aptekarskie miały z czego pokryć milionowe zadłużenia, muszą spełnić dwa warunki: zdobyć monopol przez pozbycie się konkurencji i wywindować ceny. Według narracji korporacyjnych sieci aż 94 proc. aptek w Polsce to placówki z polskim kapitałem. Tyle że, owszem, są to spółki kapitałowe zarejestrowane w kraju nad Wisłą, ale kontrolowane przez zagraniczne podmioty. Na tej zasadzie działa franczyza – farmaceuci pożyczają kilka baniek od spółek powiązanych z aptecznym biznesem, kupują cztery apteki w dobrej lokalizacji, podpisują umowy franczyzowe z zagranicznymi sieciami aptecznymi i święto. Ba, czasami sieci podkupują małe apteki tylko po to, żeby je unicestwić. Argumentację Jońskiego za uwaleniem AdA 2.0, że we Włoszech i Grecji ograniczanie liczby aptek miało wpływ na ceny, bo przy mniejszej konkurencji można było je windować, nabiera w tym świetle zupełnie innego znaczenia. Warto też mieć na uwadze, że wielcy monopoliści w niektórych krajach już skutecznie gniotą rządy w kwestii podniesienia marż na leki refundowane. W jednym z wywiadów szefowa Ministerstwa Zdrowia Izabela Leszczyna wskazała, że nowelę AdA 2.0 należy cofnąć, natomiast pierwsza ustawa Apteka dla Aptekarza mogłaby dalej funkcjonować. Wiewiórki donoszą, że prace w ministerstwie już trwają. Pytanie, czy rząd weźmie pod uwagę, że sektor apteczny jest strategiczny dla bezpieczeństwa obywateli, a nie jest tylko budą z suplementami, pozostaje równie naiwne, co otwarte.

IDALIA DUBICKA

REKLAMA

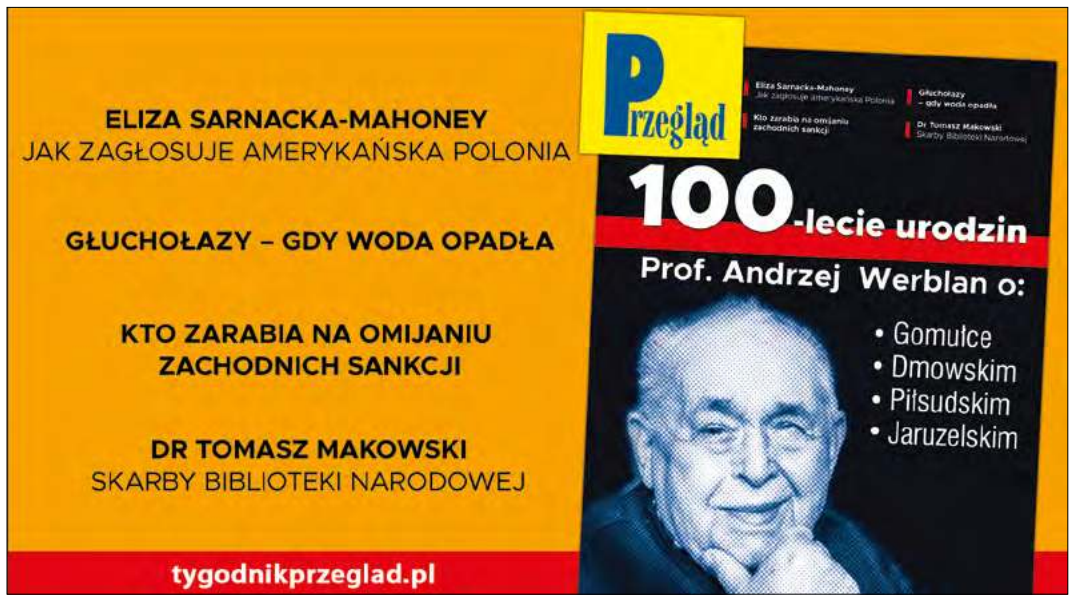

Rys. WIDGET

eprasa.pl 324bd6bdbf

Przekręt na skręcie

Głupota państwa polskiego wspiera przestępczość.

Według wyliczeń Biura Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości Warszawiacy wypalają ponad 5 ton marihuany rocznie. Kiedy jednak kilka lat temu dopuszczono w Polsce medyczną marihuanę do legalnej sprzedaży w aptekach, media całymi tygodniami ekscytowały się tym, że do Polski wjechało z Niemiec 7 kg wyhodowanej w Kanadzie trawy leczniczej.

Miała ona wspomóc medycznie 300 tys. chorych, którzy – zdaniem lekarzy – kwalifikują się u nas do terapii trawą. Wychodzi zatem, że jednego skręta musiałoby wypalić 50 potrzebujących osób. To ledwie pierwsza z bzdur, których od lat jesteśmy świadkami, gdy mowa o trawie terapeutycznej.

Diler prozdrowotny

Drugą jest opowiadanie, że lecznicza marihuana to zupełnie co innego niż trawka. A to niby dlatego, że pojęcie „medyczna marihuana" odnosi się do roślin poddanych właściwej kontroli jakości i uprawianych według ustalonych norm. Wielu pseudoekspertów opowiada zatem, że w konopiach medycznych najważniejszym czynnikiem nie jest THC, ale CBD. Oba te skróty oznaczają zawarte w marihuanie substancje chemiczne.

THC jest związkiem psychoaktywnym, który dając kopa, potrafi nieco sponiewierać. Po medycznemu oznacza to, że wywołuje poczucie głębokiego rozluźnienia, euforię, zmiany percepcji, zwiększenie łaknienia i senność. Tymczasem CBD wręcz przeciwnie. Jest substancją całkowicie bezpieczną nawet przy długoterminowym użyciu. Ba, jego działanie łagodzi skutki powodowane przez THC: zmniejsza niepokój, działa antypsychotycznie i lekko pobudzająco, zapobiegając poczuciu senności.

Skoro tak, to jak wytłumaczyć, że zioło dopuszczone prawem do polskich aptek ma mieć 19 proc. psychoaktywnego THC oraz mniej niż 1 proc. CBD? Zwłaszcza że w standardowej marihuanie sprzedawanej tak u nas, jak i w reszcie europejskich szkół i knajp jest 17 proc. THC i 2–3 proc. CBD. Jeśli jednak ktoś ma dojście do dobrej plantacji, to wtedy załapuje się na zioło o parametrach polskiej trawy medycznej.

Dochodzimy do bzdury numer trzy. Czyli ceny, która w polskich aptekach wynosi 90–100 zł za gram leczniczych konopi, chyba że kupuje się wielkie opakowanie i wtedy gram kosztuje 80 zł. Żadnej refundacji – rzecz jasna – nie ma.

Każdy warszawski nastolatek, słysząc, że za zioło w aptece płaci się stówkę, wybucha śmiechem. U niego w szkole dobry towar hula bowiem po pięć dych. A jak się robi zakupy na większą imprezkę, to nawet u detalicznego dilera można stargować cenę do 30–40 zł.

Poza Warszawą jest oczywiście taniej. W miastach powiatowych gram zioła w detalu hula wciąż po 35 zł.

Wbrew temu, co można wyczytać w internecie, medyczna marihuana nie leczy ani raka, ani lekoopornej padaczki. Zmniejsza jednak ból, złagodzi, a nawet wyeliminuje mdłości i wymioty, obniży poczucie strachu, wywołując apetyt, zwiększy masę ciała, no i zredukuje liczbę napadów padaczkowych. Podniesie zatem coś, co medycyna nazywa dobrostanem chorego. I dlatego lecznicze zioło jest wskazane przy takich przypadłościach jak stwardnienie rozsiane, padaczka oporna na leki, przewlekły ból neuropatyczny czy ból nowotworowy. Ale nade wszystko stanowi doskonałe antidotum na niefajne efekty chemioterapii.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dokładnie to samo daje marihuana kupiona u dilera. Ta tańsza. Ma to znaczenie, bo medycy przyjmują, że chory powinien dziennie przyjmować 1 gram suszu. Gdyby kupował go w aptece, to wybuliłby na zielsko 3 tys. zł miesięcznie. Jak chory mieszka na prowincji, to za tę samą ilość porównywalnego terapeutycznie towaru zapłaci dilerowi najwyżej tysiaka.

Jeśli zatem marihuana w aptece ma pomóc chorym ludziom, to raczej nie pomoże. Aczkolwiek sprzedaje się świetnie. Receptę na nią wciąż może wystawić każdy lekarz i nawet receptomat. Ale to się ma skończyć, bo przyjęte ostatnio przepisy każą wszystkie leki psychoaktywne pozyskiwać na receptę wypisaną przez lekarza na żywo. Najzabawniejsze jest to, co mówią policjanci, czyli że dziś każdy szanujący się diler ma apteczne opakowanie po marihuanie. Takie z 30-gramowym nadrukiem i paragonem. Gliniarze mogą więc takiemu podskoczyć. Oryginalne opakowanie i paragon przydają się też chorym. Bo gdy ktoś ich zakapuje i nawiedzą ich mundurowi, to zawsze mogą powiedzieć, że ich – kupiona u dilera – trawa pochodzi z apteki.

Aus Deutchland

Apteczna cena z kosmosu wzięła się otóż z bzdury czwartej. Czyli pisowskiej nowelki prawa antynarkotykowego z 2017 r. Tam zapisano kilka zasad, które były kwintesencją hipokryzji zmieszanej z kretynizmem. Ustawa zabraniała bowiem uprawiania marihuany w Polsce. Mak lekarski służący przemysłowi farmaceutycznemu do produkcji morfiny i jej pochodnych można u nas było uprawiać pod pewnymi rygorystycznie przestrzeganymi warunkami, a trawy nie, bo nie. I dlatego się ją importowało. A właściwie robiła to firma Spectrum Cannabis należąca do kanadyjskiej grupy kapitałowej Canopy Growth Corp. Spółka kupowała marychę w Kanadzie.

Zanim „surowiec farmaceutyczny" trafił do aptek do sprzedaży – musiał go zarejestrować Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych. Urząd miał na to 270 dni. To właśnie procedury rejestracyjne uniemożliwiły kilku innym firmom zafunkcjonowanie na tym rynku. Rynku, który z racji występowania na nim tylko jednego podmiotu przez niemal dwa lata był rynkiem zmonopolizowanym. Teraz podmiotów wprowadzających leczniczą trawę do aptek jest więcej, ale wszystkie muszą ją pozyskiwać spoza granic Rzeczypospolitej.

Niemcy w swoją ustawę o leczniczej marihuanie wpisali, że surowiec mogą pozyskiwać tak z kraju, jak i z zagranicy. I od lat sprzedają w aptekach zioło swojego chowu. A ponieważ jednym z legalnych importerów medycznej trawy do Polski jest firma z Niemiec, to chorzy Polacy upalają się roślinnym produktem made in Germany.

Niemiecki aspekt spowodował, że w 2022 r. posłowie PiS postanowili złamać ćwierćmonopol zza Odry na trawę terapeutyczną i pozwolić na to, żeby roślinki mogły rosnąć i u nas.

Koncepcja głupia nie była, bo skoro z jednego krzaka można pozyskać 300 g suszu, to znaczyłoby, że aby pokryć roczne zapotrzebowanie chorych, musielibyśmy uprawiać w formie kontrolowanej przez państwo ledwie 365 tys. roślin. Cieszyliby się plantatorzy, radowałby się fiskus i nie byłoby siły, żeby gram marihuany kosztował w aptece więcej niż 25 zł. Zgoda na hodowlę lekarskiej marihuany w Polsce tworzyła więc szansę, żeby chorzy mieli realny dostęp do leku, który zmniejsza ich cierpienie.

Polak nie potrafi

Uprawiać konopie w Polsce mogą zatem od dwóch lat jedynie instytuty badawcze pod ścisłym nadzorem Ministerstwa Rolnictwa. Wymagana jest także zgoda głównego inspektora farmaceutycznego, który wcześniej konsultuje się z odpowiednim komendantem wojewódzkim policji. Uprawa musi być odpowiednio udokumentowana, nadzorowana oraz zabezpieczona przed kradzieżą lub zniszczeniem. Ponadto instytut jest zobowiązany do wyposażenia się w technologię służącą do monitorowania na odległość poprzez fale radiowe, które na bieżąco mają inwigilować każdą roślinkę.

Zostanie instytutem badawczym nie jest proste, bo taka jednostka musi spełnić kilka formalnych wymogów, w tym posiadać kompetentny zespół pracowników oraz odpowiednie wyposażenie i infrastrukturę technologiczną, no i musi zostać uwzględniona w specjalnym rozporządzeniu.

Dla chcącego nie ma jednak rzeczy niemożliwych i na początku roku GIF wydał pierwsze w Polsce zezwolenie na uprawę medycznej marihuany. Poletko marihuany miało być zasiane przez Instytut Biotechnologii Przemysłu Rolno-Spożywczego im. prof. Wacława Dąbrowskiego. Ale nie tylko. Instytut bowiem miał być wspomagany przez polski biznes w postaci dwóch firm Cannabisland i Plantalux. Plantalux siedział w biznesie od lat, wyposażając firmy zajmujące się uprawami trawy terapeutycznej za granicą – m.in. w: Urugwaju, Kanadzie, Macedonii, Izraelu czy Szwajcarii. Firma wnosiła więc to, co najważniejsze – technologię i znających się na rzeczy ludzi.

Ucieszył się z polskiej marihuany poseł Jarosław Sachajko i w styczniu obwieścił światu, że Instytut im. prof. Wacława Dąbrowskiego już produkuje susz, a finalny produkt może trafić do aptek w kwietniu. Przy okazji tej enuncjacji prasowej Sachajko powiedział coś jeszcze: *Mam pretensje do Instytutu z Poznania, który obiecał, że do końca ubiegłego roku już te konopie będą w aptekach. Jak widzimy, Instytut poznański nie stanął na wysokości*.

Polskiej trawy terapeutycznej w polskich aptekach nie ma do dziś. I jak się okazuje, niebagatelną rolę w tym wszystkim odegrał wspomniany przez Sachajkę instytut z Poznania, czyli Instytut Włókien Naturalnych i Roślin Zielarskich.

Instytut im. Dąbrowskiego odpuścił hodowanie – jak uważają branżowe media – *przez liczne naciski i kontrole wynikające z interwencji ich kolegów z poznańskiego Instytutu*. Najzabawniejsze w całej tej aferze jest, że instytutowi z Poznania wcale ponoć nie chodziło o to, żeby stać się plantatorem marychy, ale by dostać *ponoć zapewnione 50 milionów złotych z publicznych pieniędzy na stworzenie polskiego know-how uprawy medycznej marihuany*.

50 mln zł z budżetu za coś, co konkurencja dawała darmo, a co i tak nie jest żadną tajemnicą dla ludzi masowo produkujących trawę w swoich piwnicach, strychach i stodołach.

Bez względu na to, kto w tym sporze ma rację, na wojence zarabiają zagraniczni importerzy i producenci suszu. Tylko w pierwszym kwartale pacjenci wykorzystali 115 tys. recept na marihuanę medyczną, czyli na ponad tonę suszu konopnego. W całym zeszłym roku wydano 313 tys. recept i sprzedano ponad 2,5 tony produktu. To zaś oznacza ledwie 10 tys. pacjentów korzystających co miesiąc z tej formy terapii. Tymczasem szacunki zgodne z obserwacjami z innych krajów wskazują, że rzeczywistych klientów medycznej marihuany w Polsce jest ok. 200 tys. I tylko na potrzeby terapeutyczne zużyli w zeszłym roku nie oficjalne 2,5 tony, ale 48 ton suszu. I z jednej strony, kupując u dilerów, zaoszczędzili mnóstwo pieniędzy, ale z drugiej cała ta kasa trafiła do nader niefajnych gangusów. Wykorzystujących to, że rząd sprzedaje trawkę znacznie drożej, niż wymagają od nich bossowie.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 324bd6bdbf

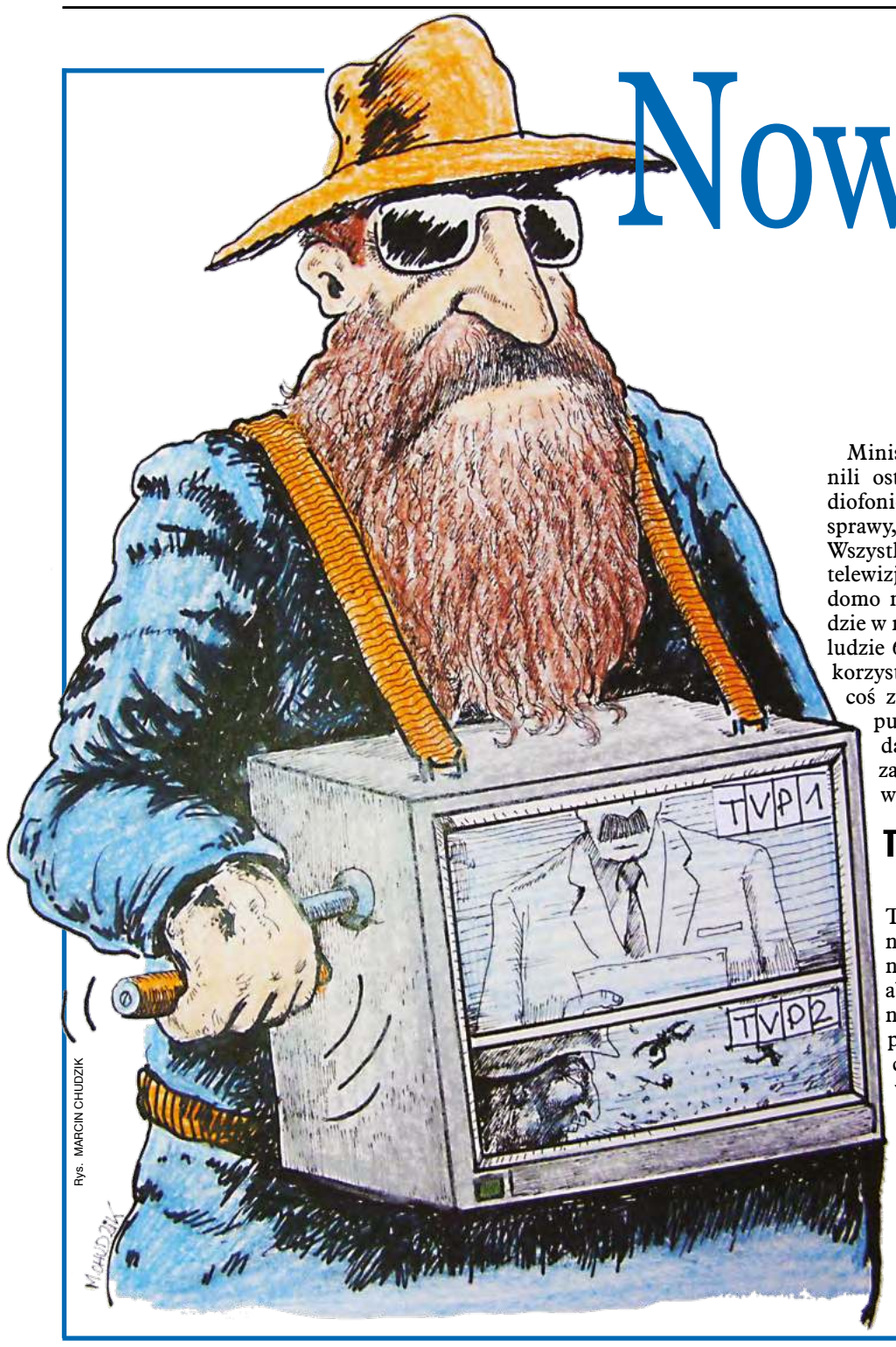

Rys. MARCIN CHUDZIK

Nowy wspaniały ład

Ministerstwo Kultury udaje, że ma pomysł na media publiczne

Ministerialni urzędnicy upublicznili ostatnio swoje pomysły na radiofonię i telewizję, nie zdając sobie sprawy, że dotyczą one niemal trupa. Wszystkie badania pokazują, że tzw. telewizje linearne – takie, gdzie wiadomo mniej więcej, o której coś będzie w nich leciało – oglądają głównie ludzie 60 plus. Młodsi z telewizorów korzystają tylko po to, żeby obejrzeć coś z internetu. Proces ten postępuje, więc za chwilę reklamodawcy przestaną w telewizjach zamieszczać spoty promujące wszelkie badziewie.

Trwać i mieszać

Gdyby ktoś nie wiedział, to TVP – choć na razie z zupełnie innych powodów – jest nominalnie w likwidacji. Co absolutnie nie przeszkadza jej nadawać mnóstwa dziwnych programów mających na początku skrót TVP. Z jednym wyjątkiem – telewizji Biełsat. Łącznie są to 22 kanały, nie licząc wszystkich wersji TVP 3. Aż tylu stacji ogólnokrajowych nie ma w ofercie żaden inny nadawca publiczny z Unii Europejskiej. O Jedynce i Dwójce wszyscy wiedzą, tak jak o TVP Info. TVP 3 to niby kanały lokalne, tyle że lokalności starczy im może na godzinę dziennie – reszta to blok ogólnopolski, taki sam wszędzie. Jest TVP Kultura – a kto wie, że jest TVP Kultura 2? Są kanały dla dzieci. Dwa, zarówno TVP ABC, jak i TVP ABC 2. TVP Sport, TVP Nauka i TVP Historia jeszcze się bronią swoją misyjnością. Ale TVP Historia 2 albo coś o nazwie Alfa TVP lub TVP Dokument? Bez zupełnego sensu są takie kanały jak TVP Kobieta, TVP Rozrywka czy TVP Seriale. To, co nadają, mogłoby być w jakiejś internetowej platformie z filmami. Bez sensu zupełnego jest istnienie kanału o nazwie TVP HD, bo dziś w tym – jeśli nie wyższym – standardzie nadawane są wszystkie programy. Po jaką jednak cholerę w dobie internetu publiczne pieniądze wydaje się na takie perełki jak TVP Polonia, TVP World albo TVP Wilno i wspomniany wcześniej Biełsat?

Skoro telewizja jest w likwidacji, to powinno zostać jej tylko tyle kanałów, żeby mogła realizować misję nadawcy publicznego. Powinny być informacja, kultura i edukacja, kanał dla dzieci. A gdy przestanie być w likwidacji, to pod żadnym pozorem nie wolno tego poszerzać, bo akurat takie widzimisię będzie miał jakiś kolejny szef TVP. Dziwaczna dzisiejsza sytuacja TVP powinna dać do myślenia.

W przeciwieństwie do likwidowanej publicznej telewizji organ mający ją nadzorować, czyli Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, żyje i ma się dobrze. W związku z czym, jak tylko może, robi wbrew aktualnym władzom TVP. Raz to wstrzymując pieniądze z abonamentu, raz to strasząc komunikatami, a jeszcze innym razem nakładając karę nawet nie tyle na TVP, co na fizyczną osobę.

To dlatego likwidator TVP Daniel Gorgosz *w związku z dwukrotną odmową udzielenia informacji m.in. na temat kosztów realizacji misji TVP* otrzymał w marcu karę w wysokości 145 200 zł.

W sierpniu po raz pierwszy od 10 lat KRRiT nałożyła karę na reklamy w TVP. Konkretnie zaś za to, że w TVP Nauka przekroczono dopuszczalny czas emisji reklam o całe 49 sekund. Rada wyceniła to na 40 tys. zł.

W międzyczasie sejm i senat odrzuciły sprawozdanie KRRiT za 2023 r. Rady to nie wzruszyło, bo kwit nie został zakwestionowany przez Andrzeja Dudę. W przyszłym roku sytuacja się powtórzy, bo gdy przyjdzie do zatwierdzania sprawozdania, Duda wciąż jeszcze będzie prezydentem. To zaś znaczy, że Świrski et consortes jeszcze przez dwa lata będą pobierać fajne uposażenia i mieszać.

A potem pisowskich członków KRRiT ma czekać wylot. Tak przynajmniej wykombinowano w Ministerstwie Kultury, gdzie sztab ludzi zastanawia się, co zrobić, żeby media

Marcin Bondarowicz nagrodzony

Współpracujący z tygodnikiem „NIE" rysownik Marcin Bondarowicz został laureatem trzeciej nagrody w międzynarodowym konkursie Cyber Security Cartoon Award w Toronto w Kanadzie.

Konkurs ten ma na celu wyłonienie najlepszych artystów, których prace staną się inspiracją oraz formą uświadamiania roli i znaczenia wiedzy w kwestiach cyberbezpieczeństwa na świecie.

– Nagrody i wyróżnienia, szczególnie tak liczne i zdobywane w prestiżowych konkursach oraz międzynarodowych przeglądach ilustracji czy rysunku prasowego, stanowią dla mnie wyjątkową motywację do dalszej pracy. Osoby z najbliższego otoczenia zdążyły się już do tego przyzwyczaić, ale dla mnie nadal nie jest to oczywiste, iż prace mojego autorstwa cieszą się tak wyjątkowym uznaniem na całym świecie. Jestem bowiem świadomy, jak wielu znanych i wyjątkowych artystów co roku rywalizuje ze sobą o te najwyższe laury. Dla artysty nie ma nic bardziej wartościowego niż uznanie, które płynie bezpośrednio od odbiorców sztuki oraz reprezentantów środowiska zasiadających w obradach międzynarodowego jury – mówi laureat konkursu.

To nie jedyna nagroda, jaką Marcin Bondarowicz ostatnio otrzymał. Jeszcze we wrześniu nadeszła wiadomość, że został laureatem srebrnego medalu na prestiżowym biennale rysunku International Dragon Humor Art Exhibition w Chinach. Tematem przewodnim konkursu był smok – chiński znak zodiaku, a zwycięska praca Marcina Bondarowicza (zodiakalnego smoka) była wcześniej publikowana w tygodniku „NIE".

Autorowi serdecznie gratulujemy!

Miłosierdzie

Wokół programu „Nasz nowy dom".

Nasz świat jest coraz bardziej rozkawałkowany i podzielony. Zgodnie z przewidywaniami Marksa w kapitalizmie biedni stają się coraz biedniejsi, a bogaci coraz bogatsi. Przypływ, wbrew temu, co mawiał playboy John Fitzgerald Kennedy, nie unosi wszystkich łodzi, a teoria skapywania bogactwa to zwykła bajeczka, mająca się do rzeczywistości jak pięść do nosa.

Ale od czego jest propaganda wmawiająca, że białe jest czarne, a czarne – białe, z wyzyskiwaczy czyniąc dobroczyńców. Prześledźmy to zjawisko na przykładzie polsatowskiego programu „Nasz nowy dom".

Telemeledemokracja

Warto przyjrzeć się bliżej temu, co prof. Tadeusz Klementewicz określił mianem telemeledemokracji. Podkreślmy, że media masowe pełnią istotną rolę systemową i polityczną (w szerokim sensie tego słowa) nie tylko – a nawet nie przede wszystkim – dzięki newsom i publicystyce, lecz poprzez programy, które określa się mianem rozrywkowych.

Tu warto przytoczyć opinię sprzed lat – wciąż aktualną w epoce mediów społecznościowych i algorytmów – pamiętną diagnozę amerykańskiego znawcy telewizji Erika Barnouwa: *Według mnie rozrywka jest pojęciem szkodliwym. Ideą rozrywki jest to, że nie ma ona nic wspólnego z poważnymi problemami świata, lecz że wypełnia jedynie wolny czas. W rzeczywistości w każdym rodzaju fikcyjnej opowieści ukryta jest pewna ideologia. Fikcja może być o wiele ważniejsza w formowaniu ludzkich opinii niż fakty zaczerpnięte z życia.*

Do dziś czekam na jakąś rzetelną i pogłębioną analizę tego, jak sukcesy PiS-u – począwszy od Lecha Kaczyńskiego kreującego się na małego szeryfa bezwzględnie walczącego z przestępcami w rządzie poprzedników PO–PiS-u (Unii Wolności i Akcji Wyborczej Solidarność) i wypłynięcia Zero na aferze Rywina – dość ściśle wiążą się z sensacyjnymi doniesieniami o zbrodniach, rozlicznych programach o dzielnych policjantach walczących z pedofilami, bandytami i porywaczami.

Ciekawe byłoby przeczytanie monografii politycznego znaczenia disco polo. Od kandydata na prezydenta z lewicy pląsającego w rytm piosenki „Ole, Olek" grupy Top One (można znaleźć na YouTube klip tego hitu z 1995 r.) przez bliski swego czasu ludowcom Bayer Full śpiewający, że „Wszyscy Polacy to jedna rodzina" (choć wolę ich inny klasyk, „Cztery razy po dwa razy") po Zenka Martyniuka, który stał się twarzą koncertów pisowskiej telewizji.

Jeśli mimo to nie wierzycie w siłę mediów masowych, pamiętajcie o uciekinierach z Korei Północnej, którzy zaryzykowali życie, aby przedostać się do sąsiada z południa pod wpływem piosenek k-popu. Korea Południowa ma nawet specjalne, potężne mobilne zestawy nagłośnienia, które w ramach wojny propagandowej pusz-

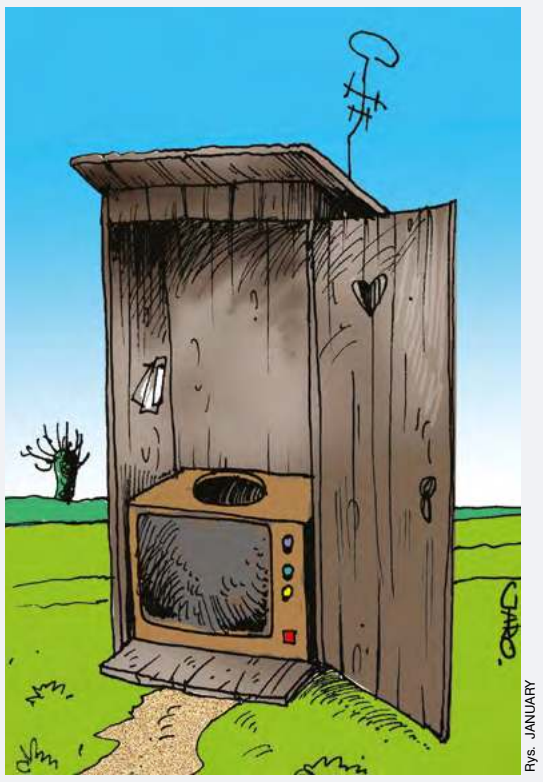
Rys. JANUARY

eprasa.pl 324bd6bdbf

elektroniczne były wolne od polityków, a przez to obiektywne. Według polityków z ministerstwa niepolityczna rada miałby liczyć dziewięciu członków, których kadencja kończyłaby się w różnych momentach. Miałoby to zwiększyć pluralizm i obecność różnych grup w radzie. Ba, próg kompetencyjny dla członków rady – czyli ich kwalifikacje – ma być wyższy niż obecnie. Oczywiście niepolitycznych i nader kompetentnych zarządców mediów publicznych wciąż będą wybierać sejm, senat i prezydent – politycy znaczy. Członkowie KRRiT zarabiają bardzo dobrze, więcej niż na posadkach, które piastowali wcześniej, więc jeśli ktoś wierzy, że w chwili wyboru zapomną, komu zawdzięczają świetną fuchę, to znaczy, że jest kłamcą lub idiotą.

Rada mediów w likwidacji

Zwłaszcza że – według ministerstwa – likwidacji ma ulec pisowski nowotwór o nazwie Rada Mediów Narodowych. A wszak zapis ustawowy stanowi, że jej członkowie muszą *wyróżniać się wiedzą i doświadczeniem w sprawach związanych z zadaniami i działaniem mediów*. No to się wyróżniają i poza dwoma przedstawicielami Lewicy są w niej wyróżniający się wiedzą i doświadczeniem harcownicy z PiS, choć już bez odstrzelonego ostatnio Czabańskiego. Odstrzelonego nie za całokształt, ale za jakąś formalną bzdurkę.

Po przejęciu mediów przez aktualny obóz rządzący RMN straciła sens. Bo jest od tego, czego i tak nie może robić, czyli od wybierania szefostwa i rad telewizji i radiofonii publicznej oraz PAP. Jednak to, że członkowie rady nic nie mogą, nie znaczy, że nie dostają za to pieniędzy. I to na dodatek od Hołowni. Ustawa, której nie można z powodu Dudy usunąć ani zmienić, mówi, że *koszty funkcjonowania Rady obejmujące wydatki na pokrycie świadczeń przysługujących członkom Rady oraz koszty związane z obsługą administracyjno-biurową są pokrywane z budżetu państwa ze środków, których dysponentem jest Szef Kancelarii Sejmu*. Na dodatek zaś *członkowi Rady przysługuje miesięczne wynagrodzenie w kwocie przeciętnego wynagrodzenia, a w przypadku Przewodniczącego Rady – półtorakrotności przeciętnego wynagrodzenia ogłaszanego przez Prezesa Głównego Urzędu Statystycznego* – stanowi ustawa. I dodaje, że wynagrodzenie jest waloryzowane z każdym ogłoszeniem GUS.

Rys. TOMASZ WIATER

Niedozwolony haracz

Oprócz czystki kadrowej organów nadzorujących publiczne media elektroniczne ministerstwo wie też jak media te finansować. Wie już któryś raz. Wystarczy sięgnąć pamięcią do kwietnia 2008 r., kiedy to Donald Tusk wypowiedział *orbi et urbi*, że abonament radiowo telewizyjny jest *archaicznym sposobem finansowania mediów publicznych*. No i na dodatek nazwał go haraczem.

Naród złakniony takich stwierdzeń kupił je w ciemno i niemal z dnia na dzień ściągalność abonamentu sypnęła się o jedną trzecią. Telewizja i radiofonia publiczne oczywiście zawyły podówczas z rozpaczy, bo zaczęło im brakować kasy. Politycy koalicji PO–PSL jak jeden mąż zarzekali się w mediach, że lada chwila wyplują z siebie ustawę, która umożliwi finansowanie mediów publicznych. Finansowanie miało nastąpić z budżetu. Nie nastąpiło. Po kilkunastu miesiącach hucznych zapowiedzi okazało się bowiem, że formuła prawna, w jakiej działa tak radio, jak i telewizja, skutecznie uniemożliwiają otrzymywanie szmalcu wprost od państwa. Po unijnemu nazywa się to niedozwoloną pomocą publiczną i rzecz jasna jest w UE tępione niczym plaga stonóg czy innych pluskiew.

Skoro tak, to podległy Tuskowi ówczesny resort kultury latami pracował nad opłatą audiowizualną.

Miała być wszechobejmująca. Oprócz gospodarstw domowych i firm płacić miały też fundacje, stowarzyszenia i organizacje społeczne. Wszyscy mieli uiszczać podstawową opłatę miesięczną. Rozważane były dwa warianty pobierania haraczu. Pierwszy zakładał ściąganie od każdego adresu. Druga propozycja – opłata miała być dopisywana do rachunku np. za energię elektryczną.

Za radio i telewizję płacić mieli więc wszyscy mający mieszkanie lub działalność gospodarczą niejednoosobową oraz wszystkie twory wpisane do Krajowego Rejestru Sądowego. I nikogo nie interesowało, czy płatnik miał radio i telewizor, czy ich nie miał. Według tego pomysłu płacić za nie i tak by musiał.

Najciekawiej przedstawiało się to w przypadku firm, od których haracz miał być ściągany w zależności od liczby zatrudnionych osób. Resort kultury, by dowiedzieć się, jaka jest wielkość firmy, zamierzał korzystać z danych ZUS. Inny wariant zakładał obowiązkowe rejestrowanie się wszystkich przedsiębiorców w instytucji, która miała być odpowiedzialna za zbieranie nowego abonamentu. Wychodziło na to, że podstawowym obowiązkiem pracowniczym w oczach Ministerstwa Kultury miało być w Polsce oglądanie telewizji ze szczególnym uwzględnieniem TVP.

Czegoś tak głupiego PiS po objęciu władzy nawet nie procedowało, choć też chciało wyjść z abonamentu. Niestety, z powodu wymienionych wcześniej unijnych przepisów o pomocy publicznej abonamentu nie zniesiono. Pisowska władza musiała się ratować wartą miliardy budżetowych złotówek protezą o nazwie rekompensata za brak wpływów z abonamentu.

Tego wszystkiego zdają się nie wiedzieć urzędasy z Ministerstwa Kultury, bo w ich założeniach reformy znajduje się likwidacja abonamentu i finansowanie mediów publicznych z budżetu państwa, co stanowiłoby 0,09 proc. PKB, a tak po ludzku trochę ponad 3 mld zł. Czyżby liczyli, że Bruksela tego nie zauważy?

W ministerialnej koncepcji są też mądre rzeczy. Jak choćby ograniczenie liczby reklam w mediach publicznych i zakaz finansowania mediów przez samorządy. To pierwsze powodowałoby, że media publiczne mogłyby pisać prawdę o gigantach dających tym mediom reklamę bez obawy, że jak jeden z drugim się obrazi, to nie da swoich spotów i TVP lub Polskie Radio nie będą miały na wypłaty dla pracowników. Zakaz finansowania mediów przez samorządy robiłby dokładnie to samo, pozwalając na obiektywną ocenę lokalnej władzy bez strachu, że kąsa się rękę dającą kość.

Gdyby jednak na propozycje resortu kultury spojrzeć całościowo, to jedyną ich zaletą jest to, że powstały. I nieistotne, że są niemądre lub naiwne. Ważne, że rozpoczynają dyskusję kilka miesięcy przed chwilą, gdy zmiany będzie można przeprowadzić. Jest więc czas, by korzystając z doświadczeń, spróbować znaleźć formułę ratującą dorobek mediów publicznych, na który zrzucało się kilka pokoleń Polaków. Tworząc system powodujący, że żadnemu politykowi nie przyśni się nawet chęć wykorzystywania ich do robienia własnej propagandy.

TOMASZ BOROWIECKI

korporacji

czają k-popowe kawałki sąsiadom, aby pokazać im inny, kolorowy, świat.

Łzawa opowiastka

Schemat „Naszego nowego domu", a do dziś wyemitowano 330 odcinki, jest prosty jak włos Mongoła. Jest sobie biedna rodzina posiadająca na własność – to warunek konieczny – jakąś ruderę, dom lub mieszkanie. Ma pecha w życiu, dotykają ją traumy i nieszczęścia: szczególnie cenne, bo widowiskowe i poruszające, są choroby i niepełnosprawność dzieci, im poważniejsze, tym lepsze. Dobrze sprzedaje się też jakieś doświadczenie przemocy domowej czy śmierć członka rodziny.

Innymi słowy, są to biedni, którzy zasługują na pomoc, w odróżnieniu od biednych niezasługujących na nią, bo winnych własnej nędzy.

Przez pierwsze 20 (sic!) sezonów gospodynią programu była Katarzyna Dowbor – osoba emanująca naturalnym ciepłem, że aż człowiek chce wierzyć, że jej naprawdę zależy na losie bohaterów programu. Teraz jest nią Elżbieta Romanowska, która w dość zgodnej opinii widzów nie spełnia się jakoś wybitnie w swej roli.

Przyjeżdża dobra pani do biednej rodziny, patrzy gospodarskim okiem i decyduje, że ekipa remontowa w ciągu paru dni wyremontuje dom czy mieszkanie. W tym czasie rodzina ląduje w hotelu. Widzimy drużynę polsatowskich zuchów, jak zmaga się z remontem. Rodzina wraca. Jest urzeczona zmianami. Uśmiecha się i mówi, jak jest wdzięczna za okazaną dobroć. Wszystko, niczym w bajkach Disneya, kończy się happy endem. I widzimy, że to nieprawda, że w mediach komercyjnych rządzi przemoc i seks, jest też coś dla maluczkich, budująca historyjka, która pozwala wierzyć w człowieka.

Wzięłam pierwszy z brzegu odcinek „Naszego nowego domu", przy czym – po obejrzeniu wielu epizodów – gwarantuję, że jest on reprezentatywny dla całości.

W jednym z ostatnich odcinków (329), lektor wprowadza widzów w specyficzny nastrój: *Pani Amelia samodzielnie wychowuje swojego 12-letniego brata Kubę. Rodzeństwo straciło rodziców, którzy odeszli jedno po drugim*. Na ekranie widzimy młodą kobietę przygotowującą kanapki, widzimy chłopca w okularach, który siedzi przy stole. Następnie Amelia, siedząc obok brata i Romanowskiej, mówi: *Ja udzielałam mu resuscytacji krążeniowo-oddechowej* (tu gospodyni programu teatralnie zasłania usta). *Tata następnego dnia zmarł. Mama zapytała mnie, umierając, czy byłabym w stanie przejąć opiekę nad bratem*. Gdyby tępy widz nie wiedział, że ma się wzruszyć, pojawia się przebitka zdjęcia uśmiechniętej matki z niemowlakiem, jak możemy się domyślić – z Kubą.

Lektor mówi: *Pani Amelia za wszelką cenę chce stworzyć dom dla Kuby i wychować go na dobrego człowieka. Mieszkający w domu obok dziadkowie, choć sami niewiele mają, to wspierają rodzeństwo całym sercem.* Następnie pojawia się istotny wątek: *Niestety, warunki, w których mieszkają Amelia i Kuba, są tragiczne. Wysłanie zgłoszenia do programu było ostatnią szansą, by odmienić los tych młodych ludzi.*

Widz jest utwierdzany w przekonaniu, że – jak mawia guru zarządzania Peter Drucker – *nie należy szukać zbawienia w społeczeństwie*. Jedyne, co może odmienić nasze życie, to wspaniałomyślność korporacji.

Rys. TOMASZ WIATER

Klasyka gatunku

Maria Konopnicka w opowiadaniu „Miłosierdzie gminy" rysuje obraz sytuacji, w której rzekoma pomoc najsłabszym jest tylko zasłoną dla braku litości uprawianego pod płaszczykiem dobroczynności. Pan Radca mówi na zebraniu, że *gmina nie dozwala cierpieć nędzy żadnemu z członków swoich. Ociera łzy, odziewa nagich, karmi głodnych, bezdomnym daje dach nad głową, słabych wspiera*. Tak samo korporacja Polsat jest ogromnym wsparciem dla tych, których nędzna egzystencja uczyniła niczym więcej niż przedmiotem działań innych ludzi.

Radca z samozadowoleniem zauważa: *Ustawy gminy są ustawami chrześcijańskiego miłosierdzia; są one nie tylko naszą zdobyczą cywilizacyjną, ale naszą chlubą. Tak jest, panowie, one są naszą chlubą! Wiadomo panom, że młodość nie trwa, siły opuszczają, choroba i bieda łamie. Jest to powszechne prawo, któremu ulega świat cały. Ale nasza gmina podejmuje walkę z tym prawem. W jaki sposób? W bardzo prosty: przygarnia tych, których skrzywdziło życie, przygarnia nędzarzy i wydziedziczonych, przygarnia kaleki i niemocne starce!*

Następnie zaczyna się licytacja wsteczna, kto za mniejsze pieniądze przygarnie staruszka Kuntza Wunderliego. Jak on reaguje na to żenujące przedstawienie? Konopnicka wyjaśnia: *Uśmiech ma zachęcający, wesoły prawie. Kuntz Wunderli nie wie, kto będzie panem jego. Uśmiecha się tedy do wszystkich i raźno mruga oczyma. Oczy te są zimne, osłupiałe i stroskane. Stary Kuntz usiłuje im wszakże nadać filuterny, niemal lekkomyślny wyraz. Gdy mu się jedno zmęczy i staje w ciemnym swoim dole nieruchome, martwe, mruga drugim, jak gdyby chciał mówić: Jeszczem ja mocny! O, i jaki mocny! Chleba darmo nie zjem, pracować będę, każdej robocie poradzę. I wody przyniosę, i drew ułupię, i kartofli naskrobię, i izbę zamiotę…*

„Nasz nowy dom" nie wymaga od uczestników, w tym dzieci, aby rąbały drewno czy zamiatały mieszkanie. Wymaga czegoś po stokroć gorszego.

W zamian za wyremontowanie domu muszą oni ujawniać swoje najwstydliwsze sekrety, wystawić własne traumy i ból na widok publiczny, ukorzyć się przed jaśniepaństwem z pieniędzmi, korporacją należącą do jednego z najbogatszych Polaków.

Łzawy, melodramatyczny rdzeń programu pozwala widzom poczuć się lepiej. Wzmacnia stosunki kapitalistyczne, wszak nie jest tak, że najsłabsi, którzy wypadli z systemu – ale koniecznie tylko tacy, którzy „zasługują" na wsparcie, bo znaleźli się w godnej pożałowania sytuacji nie z własnej winy – muszą cierpieć. Przyjeżdża ekipa Polsatu i remontuje im dom. I daje gadżety elektroniczne z imperium Solorza, żeby podświadomie dobrze się kojarzyły widzom. Tak się robi dobry PR na masową skalę.

Jeśli spojrzeć na rozrywkę chłodnym mędrca szkiełkiem i okiem, to okazuje się, że jest narzędziem elit, aby panować nad motłochem, któremu wmawia się, że kapitalizm im służy, muszą tylko mieć trochę szczęścia i zasłużyć na pomoc. Nie pytajcie mnie, dlaczego, ale dziwnie przypomina mi to „Rok 1984" George'a Orwella, w którym prole fascynowały się loterią, jedyną nadzieją, aby odmienić swój los.

Jeśli jedyną szansą na lepsze życie jest sprzedawanie własnych traum i intymności, to faktycznie jest to diabelski układ…

ZUZ

eprasa.pl 324bd6bdbf

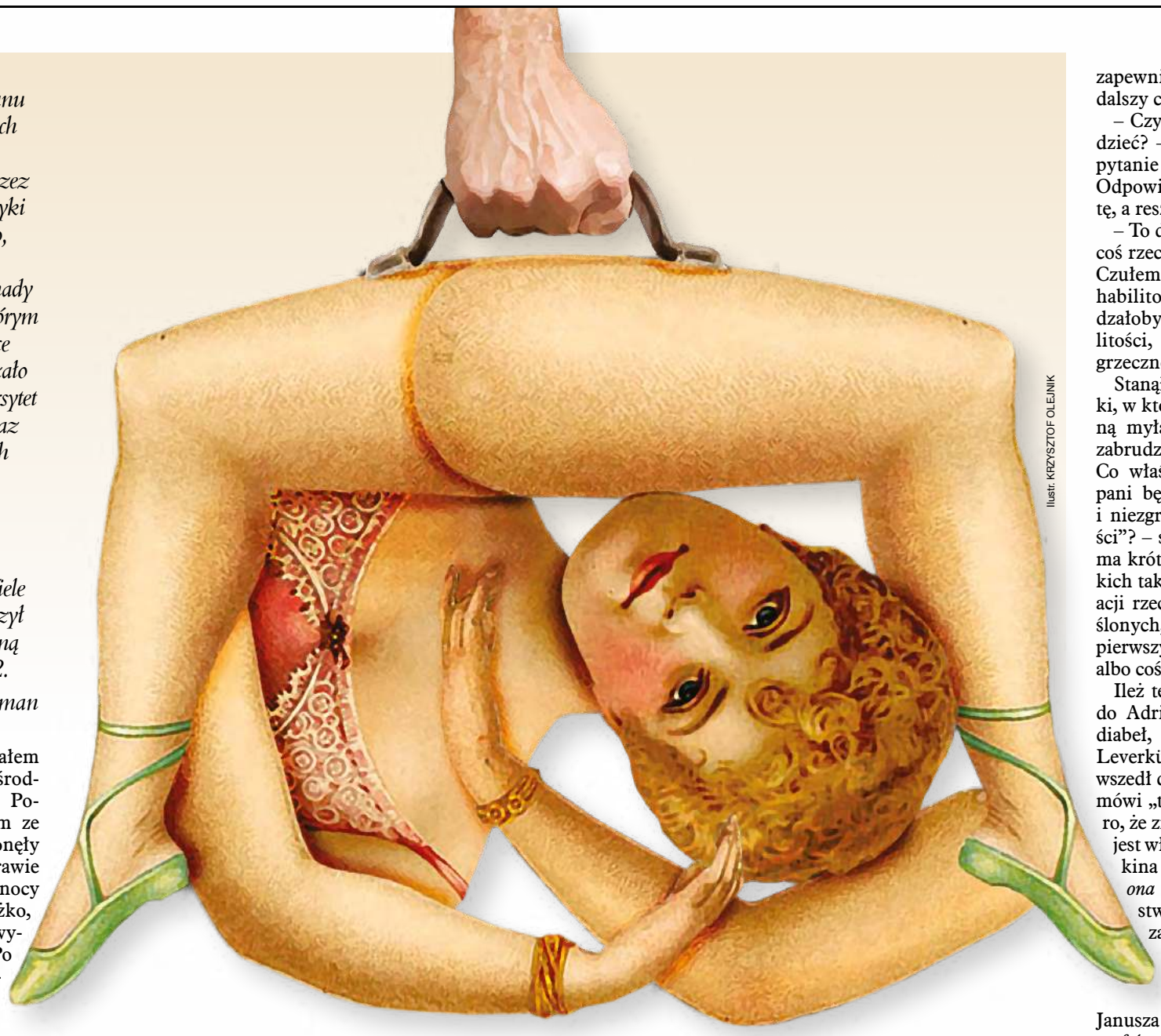

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wyjazd

To krótkie opowiadanie, świadectwo nastrojów czasu stanu wojennego oraz transatlantyckich nieporozumień kulturowo-rasowych, zostało napisane przez mojego ojca, profesora matematyki z Uniwersytetu Wrocławskiego, jesienią 1982 r., po powrocie z wyjazdu naukowego do Kanady i USA. Scenka hotelowa, o którym jest w nim mowa, miała miejsce naprawdę. Opowiadanie ukazało się w wydanych przez Uniwersytet Wrocławski, a potem jeszcze raz wznowionych „Wspomnieniach lwowskich i innych". Było to jednak dawno temu i mało kto tę książkę pamięta. Ojciec był znanym matematykiem i aktywnym KOR-owcem. Wiele razy bywał aresztowany. Walczył o Polskę demokratyczną, socjalną i świecką. Zmarł w roku 1992.

Jan Hartman

Za kilka godzin opuścić miałem wielkie obce miasto. Walizka na środku pokoju i nieład pakowania. Pokój był duży, wysłany dywanem ze sztucznego włosia, w którym tonęły stopy. Zachęcało to, a nawet prawie zmuszało do chodzenia boso. W nocy dużą część pokoju zajmowało łóżko, a właściwie łoże szerokie, które wystarczyłoby nawet bigamiście. Po obu stronach stały wielkie pękate lampy nibynaftowe dziwnej brzydoty. Rano dwoma łatwymi ruchami robiło się z tego łoża kanapę. Nad nim (nad nią?) wisiał koń w kłusie, może nawet w galopie, a do jego pyska tuliło się buzią rumiane i bardzo uśmiechnięte dziewczę. Razem – parodia Podkowińskiego. Użyteczności tego pomieszczenia nie można było nic zarzucić. Stół do pracy w sam raz, foteliki. Kuchnia w niszy za kotarą zaopatrzona w dużą lodówkę, półki na ścianach, naczynia i palniki elektryczne mniejsze i większe. Sympatycznym miejscem była łazienka z dużą wanną, prysznicem i ciepłą wodą o każdej porze. Na wieszakach ręczników z pięć, różnej wielkości i różnego zapewne przeznaczenia. Może powinienem był podzielić swoje ciało na pięć nierównych części? Koło umywalni leżał stopniowo rosnący stosik pachnących mydełek. Patrzyłem na nie zadowolonym okiem gospodarza, któremu przychówek rośnie. Oczywiście zabiorę to do Polski. Ostatnio myłem się w kraju mydłem do prania, gdyż cuchnęło w sposób bardziej naturalny niż przydzielane po kawałku raz na dwa miesiące „toaletowe". Urządzenie i ekwipunek łazienki sprzyjały częstym ablucjom, ale żeby to wszystko wymydlić, musiałbym się myć bez przerwy.

Mydełka przynosiły i ręczniki zmieniały sprzątaczki co kilka dni, zwykle wtedy, gdy lokatora nie było w domu. Widywałem je rano, wożące na wózkach używaną i świeżą bieliznę. Były to duże, silne kobiety, białe albo czarne, mundurowo odziane w niebieskie spódnice i białe fartuszki. Pasażerowie wind musieli się ścieśniać, gdy wchodziły ze swymi wózkami, a było tych pasażerów zawsze co najmniej kilku – różnego koloru i różnymi językami mówiących w tym dwudziestopiętrowym domu, gdzie wynajmowano przyjezdnym pokoje umeblowane. Moje piętro było szesnaste, a właściwie piętnaste, bo trzynastego nie było. Mimo wysokości ruch samochodów na ulicy przeszkadzał spać, przynajmniej przeszkadzał mnie, znarowionemu ciszą nocną prawie niczym niezmąconą w moim domku na przedmieściu Wrocławia.

Szum samochodów i ciężkie myśli, myśli właściwie wciąż obecne, przyczajone najwyżej. Co dzień niespokojne spojrzenia na tytuły w gazetach. Ostatnio „Le sang a coulé en Pologne" („Krew popłynęła w Polsce"). Tu lakonicznie, tam znów wnikliwiej pisano to, co się chciwie czytało, ważąc znaczenie obcych słów. Listy z domu bardzo spóźnione. Przyjechał kolega z kraju. Opowiadał. Ludzie są podniesieni na duchu po trzydziestym pierwszym, mimo ofiar była moc w tym wystąpieniu. Następna data – dziesiąty listopada. Jak będzie wtedy? Rozmowy. Polak jeden, dawno tu osiadły, taki patriota, że do Moskwicza nie wsiądzie. Drugi, bogaty, wysyłaniem paczek już zmęczony. Szczegółów nie bardzo ciekawi. Tylko z mądrymi ludźmi szło rozmawiać, jak mówią Ślązacy. Mądry, choćby i tutejszy, nie Polak, rozumiał. A jeśli do tego z Polski świeży emigrant, słowa płynęły wartko i czas mijał niepostrzeżenie.

Pakowałem się, spoglądając co chwila na zegarek. Czy rzeczy się zmieszczą? Mam jeszcze być tu i tam, pożegnać się, książki oddać, no i zdążyć. Pilno mi było w drogę, w powrotną drogę. Jakoś trzeba będzie żyć w tym kraju, tyle już razy zniewalanym, jakoś się pokłonić tym, którzy dla niego poświęcili życie lub wolność osobistą i którym plują w twarz. Trzeba będzie żyć ze znakiem nieprzejednania, ale i razem z tymi, którzy głosić będą pokorę, udając, że tak im dyktuje rozum. Będą ustawy wbrew prawu, przepisy przeczące ustawom, rozkazy ślepe na przepisy i ślepi tych rozkazów wykonawcy. Surmy i głośny patos głuszyć będą płacz, przekleństwo i krzyk. Może wkrótce nawiążemy ów „dialog" i będziemy się jeszcze chwalić, żeśmy tacy rozsądni. Dialog, psiakrew! A przecież jeszcze niedawno to uprzykrzone słowo oznaczało rozmowę dwojga ludzi. Co prawda, jakiś element niezwykłości musiał usprawiedliwiać tę niecodzienną nazwę, właściwą na przykład wtedy, gdy życie na chwilę zmienia się w teatr.

Zapukano do drzwi. W wewnętrznym i materialnym rozgardiaszu, w jakim się znajdowałem, jeszcze tego brakowało. Czarna pokojówka, w niebieskiej spódnicy i białym fartuchu. Duża, wysmukła, ładna.

– Czy można sprzątnąć pokój?

– Ja dziś wyjeżdżam – odpowiedziałem. Ta odpowiedź miała podwójny powód. Po pierwsze, uważałem, że pokojówce nie powinno być obojętne, czy ma lokatorowi sprzątnąć pokój, czy przygotować go dla nowego lokatora. Po drugie, miałem nadzieję, że usłyszawszy to, poczeka, aż się wyprowadzę, a na razie da mi spokój z tym sprzątaniem. Omyliłem się.

– Ale czy mogę u pana posprzątać?

– Proszę – powiedziałem kwaśno. Trochę natrętna – pomyślałem.

– Czy powiedział pan w biurze, że pan wyjeżdża?

– Jeszcze nie, ale powiem.

Nie wystarczy powiedzieć jej, trzeba wyjazd zgłosić w biurze, to jasne – tak to zrozumiałem. Wkrótce się okazało, że pytanie sprzątaczki miało inną przyczynę, której domyślić się nie mogłem.

Ja w milczeniu do swojej roboty, ona do swojej. Nasze milczenie nie trwało długo, a następna odzywka dziewczyny nie przystawała już do żadnego szablonu.

– *Are you angry with me?* – Czy pan jest na mnie zły?

– O nie, nie – zaprzeczyłem, i może nawet szczerze, bo w tym momencie moja irytacja ustąpiła ciekawości. Potem pomyślałem, że trzeba dziewczynie udowodnić brak złości we mnie. Na stole piętrzył się stosik niepotrzebnych już, obcych groszaków.

– Może to się jakiemuś dziecku spodoba – powiedziałem. – A to mały prezent dla pani – dodałem, kładąc obok banknot o niewielkim nominale.

– *Thank you.*

Na tym powinno było się skończyć, ale się nie skończyło.

Po chwili jej sprzątania i mojej krzątaniny usłyszałem znienacka pytanie niebywałe ani w tych, ani chyba w żadnych innych okolicznościach, wprost nieistniejące w języku: *Are you unhappy?* Czy pan jest nieszczęśliwy? Więc tak wyglądam! Bywają obcesowe pytania. Niektórzy lub niektóre zadają je niekiedy z pewnym wdziękiem, co ułatwia odpowiedź lub odmowę odpowiedzi. Czy pan dobrze żyje z żoną? Czy pan kocha swój zawód? Nawet pytanie o szczęście ujdzie czasem, chociaż niewskazane: czy jesteś szczęśliwy? – do kolegi, który się niedawno ożenił. Ale jeśli go widzimy nieszczęśliwym, nie mówimy mu tego. Pan jakiś jakby zmartwiony lub coś w tym rodzaju, to jest jeszcze *acceptable*. Ale nieszczęśliwy? Słuchaj, ty przybłędo z końca świata, my, dziedzice cywilizacji śródziemnomorskiej, mamy harde dusze! Nie nauczyłaś się tego jeszcze? Wara ci od mego szczęścia i od moich nieszczęść! To łatwo było pomyśleć. Trudniej odpowiedzieć. Po instynktownych, obronnych zaprzeczeniach „ach nie, nie" zacząłem uważać, że dziewczynie należy się coś więcej, skoro już złamała barierę, dzielącą według naszych pojęć jednego człowieka od drugiego.

– Źle się dzieje w moim kraju – powiedziałem. – Słyszała pani o Polsce?

Moja rozmówczyni uczyniła jakiś nieokreślony gest i wydała nieokreślony dźwięk, co można było interpretować raczej tak, że o Polsce nie słyszała, lecz nie chce się do tego przyznać, niż że słyszała i współczuje. To był koniec drugiego aktu.

Ona poszła do łazienki, ja kończyłem pakowanie. Trzeci akt rozpoczęła znów ona. Tym razem brzmiało to tak: „Niech pan nie mówi w biurze, że pan mówił mnie, że pan wyjeżdża". Mogłem już z góry wiedzieć, że jeśli się to stworzenie odezwie, to powie coś dziwnego, ale trudno być przygotowanym na wszelkie ewentualności. Więc znów najpierw spontanicznie: nie, oczywiście nie powiem, jeśli pani nie chce. Mówiłem to skwapliwie, jakbym miał jeszcze przed chwilą taki zamiar. Czego się ta dziewczyna boi? Może im nie wolno poufalić się z lokatorami, a ona interpretuje ten zakaz aż tak skrajnie. Czy drży o swoją posadę, upatrując w byle czym jej zagrożenie? I dlaczego samą siebie widzi pośród ludzi tak nisko, tak strasznie nisko? I znowu uznałem, że po moim zapewnieniu powinien być jeszcze dalszy ciąg i jakieś zakończenie.

– Czy pani nie wolno za dużo wiedzieć? – zapytałem i zaraz potem to pytanie wydało mi się grubiańskie. Odpowiedziała, że ma tu swoją robotę, a reszta jej nie obchodzi. No tak.

– To dobra filozofia – rzekłem, żeby coś rzec. Chyba zna słowo „filozofia". Czułem, że powinienem jakoś się zrehabilitować, uczynić coś, co nie zdradzałoby mego współczucia, bliskiego litości, a nie byłoby tylko umowną grzecznością.

Stanąłem na progu otwartej łazienki, w której ona pod przeciwległą ścianą myła podłogę, nie bardzo chyba zabrudzoną, i powiedziałem: *Be lucky*. Co właściwie powiedziałem? „Niech pani będzie szczęśliwa"? – za długo i niezgrabnie. „Niech się pani szczęści"? – sztuczne i spłycone. Ten język ma krótkie formy, ale każe do wszystkich tak samo się zwracać. Wiele sytuacji rzeczywistych lub literacko zmyślonych, kiedy zwrot „ty", zwłaszcza pierwszy raz użyty, coś dokumentuje albo coś rozpoczyna, oni tracą.

Ileż tego u Tomasza Manna! Kiedy do Adriana Leverkühna odezwał się diabeł, który na jego powrót czekał, Leverkühn nie zapytał, kto i po co wszedł do jego domu, ale: kto do mnie mówi „ty"? A czart pouczył go dopiero, że znajomość między nimi dwoma jest właśnie taka: *zum du sagen*. Puszkina żart: *Pustoje wy serdecznym ty ona obmołwias' zamieniła...* i mnóstwo innych przykładów tej gry zaimków, której „anglofoni" nie znają i której ich tłumacze nie mają jak oddać (z całkiem innej epoki i domeny zacytujmy Janusza Minkiewicza: *Żyjemy z bruderszaftów wypijanych ze snobami* – o sobie i o Światopełku Karpińskim). „Ty", choć w młodym i średnim pokoleniu bardzo spospolitowane, jest jeszcze znakiem wzajemnego uznania między mężczyznami, a między kobietą a mężczyzną jeszcze jest zdatne jako środek ekspresji. Pewien użytek może z niego zrobić mężczyzna w późniejszym wieku, zwracając się do młodej kobiety. Takie przyjacielsko-ojcowskie „ty" młode kobiety przyjmują zwykle życzliwie, a nawet czasami proszą o nie, odwzajemniając się tą samą formą lub też nie. Astarte, Wenus i ich różnej nacji homologi zaledwie raczą spojrzeć w tę stronę.

Więc może „Bądź szczęśliwa" powiedziałem do dziewczyny i wyciągnąłem do niej rękę. Co można na to odpowiedzieć? Można grzecznie *Thank you* albo jeszcze grzeczniej *Thank you, sir*, albo na miarę temperamentu i wygadania odpłacić wylewem wzajemnych życzeń. Nic takiego nie nastąpiło. Dziewczyna podniosła się i nasze wyciągnięte ręce spotkały się na wysokości barku gdzieś pośrodku łazienki. A gdy podniosłem wzrok, nie zobaczyłem już jej twarzy; tak nisko pochyliła głowę, że widziałem tylko jej włosy, jak sadza czarne, skręcone kudełki. Ukłoniła się staremu człowiekowi? W Polsce zdarza się to, choć nie w takim geście. Ale w tym kraju ukłon nie jest praktykowany. Ukłoniła się białemu panu – przyszło mi na myśl. Stała w tej pozycji chwilę zupełnie nieruchomo. Nie, nie złamała bariery dzielącej jednego człowieka od drugiego. Ona ją tylko widziała inaczej i gdzie indziej.

Mogłem przedłużyć to doświadczenie psychologiczne czy etnograficzne, które zaczynało mnie wciągać. Mogłem spytać o jej imię, o jej kraj rodzinny. Lokalizowałem ją na jednej z gorących wysp, gdzie mówi się po hiszpańsku, gdzie wyrastają takie biedne dziewczyny jak ona. Jednak nie, nie zdobędę się już na żadne słowa, bo gdy z kolei ona coś powie, będzie to jak nowe wyzwanie. Nie zobaczę jej już nigdy. Gdybym nawet ją spotkał, nie przełamię muru, nie pokonam jej lęku. Samoponiżenie izoluje człowieka bardziej niż wyniosłość. Trzeba skończyć tę skąpą i trudną wymianę słów, która i tak nigdy nie stanie się naprawdę rozmową. Zostań tu sobie ze swoją szczotką i ścierką, z twoją bojaźnią i natręctwem, obca, jak obca mowa, jak nigdy niewidziany pejzaż, jakbyś ze mną nie na tej ziemi żyła.

A że nie zapomnę tej dziewczyny z opuszczoną głową, to już moja rzecz. *Good bye*.

STANISŁAW HARTMAN

eprasa.pl 324bd6bdbf

Chodzi poseł za cmentarzem

Nie płakałem, słysząc nostalgiczne „Tilko we Lwowi", nie uprawiałem miłości do utraconych Kresów.

Rys. HENRYK CEBULA

Kiedy byłem młodym posłem hej, rozpocząłem pracę w Komisji Łączności z Polakami za Granicą. Każdy poseł powinien pracować przynajmniej w dwóch komisjach. Te, w sejmowym rankingu, dzielą się na priorytetowe, ważne i mniejsze. Priorytetowe wtedy były: Komisja Finansów i Komisja ds. Unii Europejskiej. Za to Komisja Łączności z Polakami za Granicą była nie tylko mniejsza, ale też inna niż pozostałe. Nie zajmowaliśmy się tam produkcją ustaw. Byliśmy łącznikami między Polonią a państwem polskim.

Zawód: Polak

W praktyce najczęściej spotykaliśmy się z reprezentacjami organizacji polonijnych. Były priorytetowe, ważne i te mniejsze. Reprezentujące interesy ich kierownictwa i grona ich klakierów. Bywali działacze polonijni, którzy w rubryce „zawód" mogliby wpisać sobie „Polak".

Państwo polskie nie może oficjalnie i bezpośrednio finansować działalności Polaków mieszkających za granicą ani wspierać ich organizacji. Dlatego w 1990 r. wymyślono łańcuszek pośredników piorących takie pieniądze. Powstało Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" kierowane wtedy przez Andrzeja Stelmachowskiego. Ponieważ Stelmachowski był też marszałkiem senatu, to łączność z Polonią oddano w gestię izby dumania, która nigdy na nadmiar pracy nie narzekała.

Ale strategiczne programy wspierania Polonii zawsze powstawały w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i w sejmie. Co roku sejm uchwalał przeznaczone na to pieniądze. Senat pobierał je z budżetu i przekazywał „Wspólnocie Polskiej". Zasobni w kasę aktywiści tego stowarzyszenia i towarzyszący im senatorowie spotykali się z działaczami polonijnymi. Wręczali im dotacje finansowe, a także zebraną w Polsce pomoc materialną. Od działaczy polonijnych pobierali plany ich przyszłej działalności uzupełnione prośbami o kolejne sumy. Potem senatorowie przekazywali postulaty i prośby posłom z naszej komisji i urzędnikom z MSZ.

Kiedy postulowane pieniądze załatwiliśmy, to senat i „Wspólnota Polska" wypinali piersi do orderów. Kiedy kasy zabrakło, dobrzy wujkowie z senatu i stowarzyszenia winą obarczali skąpy sejm i nieczułych na obronę polskości urzędników z MSZ. Prowadziło to do wojny wieloletniej między MSZ i senatem o nadzór nad Polonią.

Posłom obrywało się dodatkowo, kiedy podczas wizyt nie tylko rozdawaliśmy dodatkowe pieniądze i materialne dary, ale też wykonywaliśmy nasze kontrolne obowiązki. Sprawdzaliśmy celowość wydawania przekazanych już sum i rozdysponowania pomocy materialnej. Nieraz okazywało się, że

z pięciu przekazanych komputerów czy telewizorów trzy były w klubach polonijnych, a dwa przechowywano w domach patriotycznego aktywu. Kiedy się tego czepiałem, słyszałem, że jestem wyjątkowo wredny i jako pracownik Urbana zarażony genetyczną antypolskością.

Bogaci krewni, ubodzy kuzyni

Polonia w tym czasie dzieliła się na dwie grupy. Polonię amerykańską i zachodnioeuropejską – bogatą oraz Polaków z byłych państw ZSRR – uboższych krewnych.

Współpraca z pierwszą Polonią uchodziła za przyjemną i niekonfliktową. Oni nie potrzebowali wielkiego wsparcia finansowego z kraju. Pragnęli za to uznania władz polskich, uhonorowania ich działalności. Byli też bardzo gościnni. Zwłaszcza działacze Kongresu Polonii Amerykańskiej i Jan Kobylański z Urugwaju, prezes Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polonijnych Ameryki Łacińskiej, milioner, faworyt ojca dyrektora Rydzyka, sponsor narodowej prawicy.

O imprezach organizowanych dla polskich parlamentarzystów w rezydencji Kobylańskiego krążyły legendy. Choć Kobylańskiemu dziennikarze i dyplomaci przykleili gębę antysemity, to na brak polskiego parlamentarnego towarzystwa nie narzekał. Zwłaszcza że ponoć znakomicie karmił, poił i dodatkowo dbał o odpowiednie dla ciał parlamentarnych towarzystwo. Zaspokajał całą paletę figlarnych preferencji. Aż poszła plotka, że prezes nie tylko podaje do stołu, ale też dokumentuje swoją gościnność. Lepiej niż kelnerzy z Restauracji Sowa i... Wtedy kontakty z Ameryką Łacińską osłabły. Niejeden Gonzales potem z tęsknoty usychał.

Jak było naprawdę, nie miałem okazji się przekonać, bo prezes Kobylański lewicy unikał. Polonia amerykańska też za nią nie przepadała, nie zapraszała. Pan poseł Antoni Macierewicz wystarczał im całkowicie.

Nam pozostawali Polacy zamieszkujący państwa byłego ZSRR. Tam prawicowemu kierownictwu komisji się nie śpieszyło. Bo na nasz Bliski Wschód – czyli Białoruś, Ukrainę, Mołdawię, rumuńską Bukowinę – jeździło się sejmowym busem. Wypełnionym po sufit darami dla Polaków.

Były to wyprawy trampingowe. Z noclegami w hotelach bez ciepłej wody, czasem w gościnnych wiejskich zagrodach. Byliśmy użyteczni, bo nie wstydziliśmy się mówić po rosyjsku, niezbędnym tam języku. Nie baliśmy się licznych pomników Lenina i radzieckiego stylu pracy urzędników.

Dodatkowo tam, zwłaszcza na Ukrainie, trzeba było codziennie pić wódkę z przyjmującymi nas władzami lokalnymi. Pić jak bracia Słowianie. Stakańczykami do dna. Odmawiać nie wypadało, bo był to afront dla gospodarzy.

Zapewne gospodarze sprytnie zakładali, że upita, skacowana i znów wystawiona na upicie polska delegacja poselska nie będzie aktywnie upominać się u władz o niedewastowanie polskich cmentarzy. O kolejne polskie szkoły, wiele razy obiecywane domy polskie. A w czasie wizyt we Lwowie daruje sobie kolejne marudzenie o otwarcie gotowego już, wyremontowanego Cmentarza Orląt Lwowskich.

Przewodniczący rotacyjny

Aby ukraińskim gospodarzom nie odmawiać – i jednocześnie nie utopić w wódce przewodniczącego naszej delegacji – wprowadziliśmy funkcję rotacyjnego przewodniczącego polskiej delegacji. Taką funkcję codziennie pełnił ktoś inny z trójki oddelegowanych posłów.

Siedział wtedy, zgodnie z protokołem, pośrodku stołu i gospodarzom nie odmawiał. Wczorajszy przewodniczący, już jako zwykły członek, sadzany był na końcu stołu, gdzie spokojnie mógł picie markować. Przez dzień cały trzeźwieć. Trzeci siedział bliżej przewodniczącego. Pił po troszeczku, przygotowując się do brzemienia jutrzejszych obowiązków. W ten sposób stale zachowywaliśmy delegację w stanie względnej trzeźwości i programowej czujności.

A trzeba było, bo w latach 1998–2002 merem Lwowa był Wasyl Kujbida. Późniejszy minister rozwoju regionalnego i budownictwa w rządzie Julii Tymoszenko i nawet kandydat na prezydenta z Ludowego Ruchu Ukrainy. Wasyl był przystojny, zawsze uśmiechnięty, pięknie się reprezentujący. Potrafił oczarować nawet Aleksandra Kwaśniewskiego.

Naszą komisję stale wystawiał do wiatru. Zawsze uroczo deklarował, iż gotowy jest do natychmiastowego otwarcia Cmentarza Orląt, niech no tylko administracja prezydenta Ukrainy, wtedy Leonida Kuczmy, da przyzwolenie. Kiedy kancelaria prezydenta Aleksandra – i prezydent też – o tym w Kijowie rozmawiali, słyszeli, że otwarcie cmentarza leży w gestii mera Lwowa.

I tak cmentarz, zdewastowany za czasów radzieckich, a remontowany od 1989 r. przez polską firmę Energopol, ciągle czekał na otwarcie. Bo prezydent Kuczma, nie chcąc zadzierać z nacjonalistami, wskazywał na Kujbidę. A uśmiechnięty Kujbida odbijał w stronę Kuczmy.

Najcelniej tamten stan można było określić używając intelektualnej sentencji ministra Bartłomieja Sienkiewicza: *Kuj, bida i kamieni kupa*.

Aż przyszedł rok 2004 i w Kijowie wybuchła pomarańczowa rewolucja. Bo podczas prezydenckich wyborów doszło do szwindli i dzięki nim wygrać miał Wiktor Janukowycz. Jego konkurent, też Wiktor, ale Juszczenko, wezwał Ukraińców do protestów. Na kijowskim Majdanie powstało wielkie miasteczko namiotowe, protesty rozlały się na cały kraj. Ukrainie groziła wojna domowa. W efekcie mediacji ustępującego prezydenta Kuczmy oraz doproszonych prezydentów Kwaśniewskiego i Adamkusa z Litwy doszło do powtórki drugiej tury wyborów. Wygrał wtedy Wiktor Juszczenko i 23 stycznia 2005 r. został zaprzysiężony na prezydenta Ukrainy.

W salonach Europy

Dwa dni później nowy prezydent pojawił się na VI sesji Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Zwyczajowo na takich sesjach goszczeni są przywódcy krajów zrzeszonych w radzie, zwłaszcza ci nowo wybrani. Zabierają głos w podczas posiedzenia zgromadzenia, a zainteresowani posłowie mogą zadać im pytania.

W Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy posłowie oddelegowani przez krajowe parlamenty zrzeszeni są w wielonarodowych frakcjach politycznych. Podobnie jak w Parlamencie Europejskim. Podobnie też dominują tam dwie frakcje: chadecy–ludowcy i socjaliści. W efekcie to ich reprezentanci mają najwięcej czasu na wystąpienia podczas plenarnych debat, na zadawanie pytań po wystąpieniach gości zgromadzenia.

W Radzie Europy należałem do frakcji socjalistów. Zgłosiłem się wtedy do zadania prezydentowi Juszczence pytania. Dostałem się na listę pytających bez dodatkowych interwencji, bo prezydent Juszczenko nie był bliski zachodnioeuropejskim parlamentarzystom, podobnie jak problemy Ukrainy. Chciałem zapytać go o współpracę gospodarczą z Polską albo o problemy mniejszości narodowych na Ukrainie. Wybrałem temat związany z mniejszościami. Okazało się, że trafnie, bo pytanie o współpracę gospodarczą zadał senator Andrzej Wielowieyski reprezentujący frakcję chadeków.

Prezydent Wiktor Juszczenko, podchodząc do mównicy w Strasburgu, zdradził mową ciała, że ma ogromną tremę. Bardzo chciał dobrze wypaść w Radzie Europy. Zaczynał prezydenturę, nie miał pewności starszych stażem kolegów.

Dodatkowo zgromadzenie przyjęło go chłodno. Zadbali o to Rosjanie i prorosyjscy parlamentarzyści. Wielu swoich fanów na sali nie miał. Mógł liczyć na wsparcie ukraińskich parlamentarzystów i życzliwą sympatię polskich. Wielu parlamentarzystów z zachodniej Europy nie przyszło na wystąpienie ukraińskiego prezydenta, demonstrując brak zainteresowania tym państwem.

Początek wystąpienia miał Juszczenko kiepski. Potem rozkręcił się, ale po zakończeniu usłyszał jedynie skromne kurtuazyjne oklaski. Dołujące zawsze występujących aktorów i polityków. Miał wtedy minę zmokniętego psa. Większe zainteresowanie i oklaski pozyskał, odpowiadając na zadawane mu pytania. Trochę się wtedy też wyluzował.

Miałem jedną minutę na swoje pytanie. Najpierw zapytałem nowego prezydenta o jego przyszłą politykę wobec mniejszości narodowych. O ochronę ich języka, kultury, dziedzictwa materialnego. Wspomniałem o problemach mniejszości polskiej i jako przykład ukraińskiej opieszałości w realizacji jej słusznych postulatów przywołałem niezrozumiały, ciągnący się latami problem z otwarciem Cmentarza Orlą Lwowskich. Zapytałem wtedy prezydenta Juszczenkę, kiedy wreszcie podejmie decyzję o otwarciu gotowego od lat cmentarza.

Zawrót głowy od oklasków

Ochrona praw mniejszości to fundament działalności Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Już pytając o nie, dostałem brawa od zgromadzonych parlamentarzystów. Wskazały one prezydentowi na rangę poruszanego problemu. Słysząc to, Juszczenko zadeklarował swe pełne poparcie dla praw mniejszości na Ukrainie.

I wtedy przerwano mu niespodziewanymi silnymi brawami. Zachęcony nimi zapowiedział surowe działania wobec wszelkich przejawów dyskryminacji. Wtedy dostał najsilniejsze brawa od początku swego wystąpienia. Na ich fali, połechtany wreszcie dobrym przyjęciem, poszedł na całość i zadeklarował niezwłoczne otwarcie lwowskiego cmentarza. Za co dostał kolejną falę braw. Chociaż większość oklaskujących go pewnie pierwszy raz w życiu o takim cmentarzu słyszała.

Ale taka deklaracja prezydenta poświadczała też zasadność istnienia Rady Europy. Instytucji często krytykowanej za powolność działania, gadatliwość i kosztowność utrzymania. Tak to Cmentarz Orląt Lwowskich uzasadnił zgromadzonym sens ich dalszej pracy, istnienia i wydawanych na nich publicznych pieniędzy.

Zachęcony brawami i wreszcie ciepłym przyjęciem Wiktor Juszczenko powtórzył podczas konferencji prasowej, iż ma zamiar szybkiego otwarcia lwowskiego cmentarza. Składając publiczną obietnicę wobec europejskich mediów. Potem powtórzył to w czasie spotkania z prezydentem Kwaśniewskim.

Nie wiem, czy potem żałował. Ale obietnicy dotrzymał, co nie jest częstą cechą u prezydentów. Cmentarz uroczyście otworzono 24 czerwca 2005 r. Byli prezydenci obu państw, hierarchowie Kościołów.

Rzecz jasna nie byłem tam, bo informacja o moim udziale w tym zakrawającym na cud wydarzeniu nie dotarła do polskiej opinii publicznej. Polskie media przemilczały ją, bo nie mieściło im się w głowach, że taki komuch z „NIE" zdolny jest do tak patriotycznego uczynku.

Prezydent Juszczenko w 2006 r. ogłosił ukraińskim bohaterem narodowym dowódcę UPA Romana Szuchewycza, a w 2010 – Stepana Banderę i wszystkich członków UPA. Pomimo tych nacjonalistycznych gestów w 2010 r. przegrał wybory prezydenckie z Wiktorem Janukowiczem.

Jego prezydentura jest przeważnie źle oceniana. Ale jeden dobry uczynek na pewno zrobił. Otworzył Cmentarz Orląt Lwowskich, czym wielce naprawił relacje polsko-ukraińskie. Dziś ten cmentarz nie budzi wielkich sporów, emocji, jest jedną z atrakcji turystycznych Lwowa.

A teraz już wiecie, dlaczego prezydent Juszczenko tak uczynił.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl 324bd6bdbf

Marzenie lepsze i gorsze

Wybory w Gruzji

Mieszkańcy Gori z nostalgią wspominają czasy, kiedy Gruzję nazywano Szwajcarią Związku Radzieckiego. W ciągu ostatnich dziesięciu lat konflikty polityczne i etniczne przemieniły kraj w ruinę. (…) Każdy robi, co może, by przetrwać. Kryzys trwa tu nieustannie już od 1992 r. Zaczęło się od wojny domowej o władzę, potem były konflikty ze zbuntowanymi prowincjami – Abchazją i Osetią Południową, które ogłosiły secesję. Obydwa regiony do dziś pozostają poza kontrolą Tbilisi. W Gruzji brakuje ludziom niemal wszystkiego, ale najbardziej stabilizacji i pieniędzy – mówiła Barbara Włodarczyk w reportażu z cyklu „Szerokie Tory", wyemitowanym w 2002 r. na antenie TVP. Niepodległość spadła na Gruzję jak grom z jasnego nieba i niemal od razu obróciła najbogatszą niegdyś radziecką republikę w ruinę.

W bujnym lesie kwiat róży drży…

Gdy w ostatnich latach ZSRR na fali pierestrojki dopuszczono do powstania niezależnych ruchów politycznych, gruziński opozycjonista Zwiad Gamsachurdia postanowił zjednoczyć wokół siebie wszelkiej maści gruzińskich nacjonalistów i pod hasłem „Gruzja tylko dla Gruzinów" zdobyć władzę. Ruch rósł w siłę, co zatrwożyło mieszkające w Gruzji mniejszości – Abchazów, Adżarów i Osetyjczyków. Osetyjczycy postanowili umocnić swą pozycję w ramach ZSRR i powołać autonomiczną republikę. Rozsierdziło to zwiadowców (jak nazywano zwolenników Gamsachurdii), którzy urządzili marsz na Cchinwali, czyli stolicę Osetii Pd. Zatrzymali ich bohaterscy mieszkańcy miasta, którzy wybiegli na rogatki wyposażeni w czerwone sztandary i portrety Lenina. Rozpisywała się o tym cała prasa radziecka z wyjątkiem gruzińskiej, która, obawiając się odwetu ze strony zwiadowców, o sprawie informowała lakonicznie. Gdy Gamsachurdia został pierwszym prezydentem Gruzji, do Osetyjczyków dołączyli Abchazi, a konflikt wszedł w fazę militarną. Z początku Gamsachurdia lekceważył siłę przeciwnika – w wywiadzie dla włoskiego dziennika „La Stampa" orzekł: *Osetyjczycy powinni wynosić się z Gruzji albo siedzieć cicho*. Osetyjczycy jednak nie zamilkli, a w kraju nastały chaos i zniszczenie. 20 grudnia 1992 r. wojsko obaliło Gamsachurdię i po niespełna miesiącu władzę objął były pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Gruzji i minister spraw zagranicznych ZSRR Eduard Szewardnadze. Ustabilizował on sytuację wewnętrzną, jednak nie odzyskał kontroli nad Abchazją i Osetią Pd., a pod jego rządami Gruzja popadła w wieloletnią stagnację.

…na jej płatkach lśnią rosy łzy

Wcześniej pracowałem w szkole, byłem pedagogiem, ale dziś dostaję 14 larów (niecałe siedem dolarów) emerytury, dlatego jeżdżę na taksówce. Co to za życie, niech pani powie. Za Stalina to nawet ceny obniżano na 8 marca. Dlatego ludzie teraz płaczą za nim. Bo czy to, co tu widać, to jest życie? Kiedyś widziałem takie obrazki tylko w kinie, na filmach o Indiach czy o Chinach – mówił jeden z rozmówców Barbary Włodarczyk we wspominanym reportażu nakręconym dekadę po objęciu władzy przez Szewardnadzego. Istotnie jedynie przestępczość i kult Stalina rozwijały się wówczas żywiołowo. W kraju panowała stagnacja gospodarcza, PKB było o przeszło połowę niższe niż w czasach radzieckich, a badacze powszechnie uznawali Gruzję za państwo upadłe. Był to świetny grunt pod rewolucję i ta wybuchła w 2003 r.

Pretekstem były rzekomo sfałszowane wybory. Rzekomo, gdyż świat nie zna chyba przypadku, w którym urzędujący od dekady prezydent tak fałszuje wybory, aby stracić 56 proc. miejsc w parlamencie. Wszakże uczciwość wyborów była sprawą drugorzędną – najważniejsze, że 22 listopada 2003 r. wspierane przez państwa zachodnie rozjuszone tłumy młodych ludzi wdarły się do gmachu parlamentu, w którym przemówienie akurat wygłaszał Szewardnadze. Nowe wybory wygrali liderzy protestów niebędący wszak nowymi postaciami na gruzińskiej scenie politycznej. Micheil Saakaszwili był w rządzie Szewardnadzego ministrem sprawiedliwości, a dwóch najbliższych współpracowników Saakaszwilego – Nino Burjanadze i Zurab Zhvania – przewodniczącymi wspierającego Szewardnadzego parlamentu. Wyglądało to raczej jak wojna na górze, a nie spontaniczny protest. Zachodnia propaganda (podobnie jak każda inna) nie służy bynajmniej propagowaniu prawdy – zamach stanu przedstawiono jako romantyczną rewolucję, podczas której tłumy młodych, spragnionych wolności Gruzinów, dzierżąc w dłoniach czerwone róże, pokojowo – niczym Mahatma Gandhi – obalają znienawidzonego ciemiężcę. Gruzińska próba generalna udała się wzorcowo, zatem rok później zachód zainspirował kolejną kolorową – a konkretnie pomarańczową – rewolucję, tym razem na Ukrainie.

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Czy to ty tak pięknie wznosisz głowę swą…

Micheil Saakaszwili był niezwykle sprawnym przywódcą. Uczynił on neoliberalizm doktryną państwową Gruzji, wznowił proces prywatyzacji, uprościł prawo gospodarcze i obniżył podatki. Odziedziczony po ZSRR, przerośnięty i wszechwładny, a zarazem fatalnie opłacany aparat biurokratyczny był siedliskiem łapówkarstwa. Saakaszwilemu udało się przezwyciężyć ten problem i według danych organizacji Transparency International Gruzja w latach 2004–2012 awansowała ze 133. na 51. miejsce w rankingu wolności od korupcji, wyprzedzając tym samym niektóre państwa europejskie. Usprawnienie funkcjonowania państwa przyniosło wzrost wpływów do budżetu, które Saakaszwili zainwestował w rozwój infrastruktury – w wielu mieszkaniach pierwszy raz od upadku ZSRR popłynęła bieżąca woda. Inwestycje pociągnęły z kolei za sobą wzrost gospodarczy – od 2004 do 2012 r. gruzińskie PKB wzrosło o 200 proc., a Bank Światowy uznał Gruzję za ósme miejsce na świecie pod względem łatwości prowadzenia działalności gospodarczej.

Każdy kij ma jednak dwa końce.

Neoliberalne reformy wprawdzie napędziły rozwój gospodarczy, ale nie poprawiły losu biedoty. Pod koniec rządów Saakaszwilego 25 proc. populacji wciąż żyło poniżej granicy ubóstwa, a stopa bezrobocia wynosiła ponad 26 proc. i była przeszło dwukrotnie wyższa niż za rządów Szewardnadzego.

Ponadto Saakaszwili uznał, że dzięki wsparciu sojusznika zza oceanu jest wszechwładny i jął brutalnie rozprawiać się z opozycją. Do dziś niewyjaśniona pozostaje śmierć jednego z najbliższych współpracowników prezydenta – wspomnianego Zuraba Zhvaniego – który niedługo przed śmiercią wszedł w konflikt z prezydentem.

…kwitnąc z dala stąd, Suliko?

Gwoździem do politycznej trumny Saakaszwilego stała się jednak decyzja o najeździe na Osetię Pd. Na początku sierpnia 2008 r. wojska gruzińskie zaczęły ostrzeliwać się z armią nieuznawanej republiki. Frontalny atak ze strony gruzińskiej nastąpił w nocy z 7 na 8 sierpnia. Gruzini najpierw zbombardowali rachityczne bazy wojskowe Osetyjczyków, a następnie rozpoczęli szturm na stolicę kraju Cchinwali. Spotkało się to z natychmiastową reakcją Rosji, którą minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow tak uzasadnił na łamach „Financial Timesa": *Gruziński atak przeprowadzony z ziemi i powietrza spowodował śmierć żołnierzy sił pokojowych, a ponadto wg szacunków zginęło w nim nawet 1600 cywilów. Powstała sytuacja katastrofy humanitarnej, która spowodowała exodus 30 tys. uchodźców z Osetii Pd. Reżim gruziński odmówił utworzenia korytarza humanitarnego i ostrzelał konwój humanitarny. Istnieją również wyraźne dowody okrucieństw, których się dopuścił – okrucieństw tak poważnych i systematycznych, że należy je klasyfikować jako akty ludobójstwa. Nic więc dziwnego, że Rosja odpowiedziała na niesprowokowany atak na swoich obywateli…* Istotnie: większość mieszkańców Osetii Pd. ma rosyjskie obywatelstwo. Konflikt eskalował, a oliwy do ognia postanowił dolać prezydent RP Lech Kaczyński, który przybył do Tbilisi pokrzyczeć sobie na Putina. Na szczęście dla świata, Kaczyńskiego i podobnych jemu fanatyków z Ukrainy i państw nadbałtyckich nikt nie słuchał i w przeciągu kilku dni podpisano zawieszenie broni. Gruzja za swoje awanturnictwo utraciła nieco terytorium, jednak zachowała niepodległość.

Nad kochaną swą różą dziś…

Wojna była dla społeczeństwa nie do przyjęcia i choć Saakaszwili gardłował całymi dniami o gruzińskiej potędze, to dla Gruzinów był już spalony. W 2012 r. wybory parlamentarne, a rok później prezydenckie wygrało miażdżącą większością głosów Gruzińskie Marzenie, a Saakaszwili wyjechał na Ukrainę. Partia założona przez najbogatszego Gruzina Bidzinę Iwaniszwilego była przeciwieństwem stronnictwa Saakaszwilego. Zamiast pieniactwa i reformatorskiej biegunki obiecywała gruzińską wersję „ciepłej wody w kranie". Kontynuowano politykę zacieśniania relacji z Unią Europejską, doprowadzając w 2017 r. do wprowadzenia ruchu bezwizowego dla obywateli Gruzji w państwach UE (stąd tłumy Gruzinów za kierownicami polskich taksówek). Gruzja wciąż była otwarta na inwestycje, a od 2012 r. udało jej się podwoić PKB. Jednocześnie zarzucono neoliberalną politykę Saakaszwilego, podniesiono emerytury i płace w budżetówce, a także wprowadzono bezpłatną opiekę zdrowotną. Bezrobocie spadło do najniższego poziomu od 20 lat. Wydawałoby się, że po niemal dwóch dekadach spełnią się przytoczone na początku słowa Barbary Włodarczyk: Gruzini w końcu dostaną spokój i pieniądze. Jednak w ostatnich latach coś zaczęło się psuć.

Gdy po 24 lutego 2022 r. Unia Europejska wpadła w antyrosyjski obłęd, oparta na współpracy zarówno z UE, jak i Rosją polityka Tbilisi stała się dla Brukseli nieakceptowalna. Unijni politycy zaczęli zarzucać Gruzińskiemu Marzeniu to samo co wszystkim politycznym przeciwnikom: że są populistami, autokratami, wstecznikami, ruskimi onucami itd. Tymczasem stronnictwo Iwaniszwilego po prostu zrozumiało, że antyrosyjski hunwejbinizm jest drogą donikąd i znacznie lepiej grać na dwóch fortepianach. Konsumować sowite przelewy płynące od korzystającej z ruchu bezwizowego i mieszkającej w UE gruzińskiej diaspory, a jednocześnie przyjmować z otwartymi ramionami Rosjan chcących w niepewnych czasach zamieszkać w Tbilisi. Tylko w ostatnich dwóch latach PKB Gruzji na mieszkańca wzrosło o 20 proc., a Gruzini, wyprzedzając Azerów, stali się najbogatszym narodem na Kaukazie.

…słowik w gąszczu zgiął młody liść.

Kolektywny zachód polityka Gruzji doprowadzała do białej gorączki. Rozpoczęto więc operację wsparcia prozachodnich organizacji pozarządowych i tworzenia podglebia dla kolejnej kolorowej rewolucji. Gdy na stronę opozycji przeszła wywodząca się z Gruzińskiego Marzenia prezydent Salome Zurabiszwili, zrobiło się faktycznie groźnie. Premier zaproponował więc parlamentowi ustawę o przejrzystości wpływów zagranicznych. Analogiczny akt wprowadziły lata temu Stany Zjednoczone, a w ubiegłym roku zapowiedziała Unia Europejska, przyrównując jednocześnie gruziński projekt do rosyjskiej ustawy o agentach zagranicznych i wydatnie wspierając tamtejsze protesty. *Przewodnicząca Komisji Ursula von der Leyen ogłosiła pakiet „obrony demokracji" podczas swojego przemówienia o stanie Unii we wrześniu ubiegłego roku, co zapoczątkowało prace nad projektem ustawy o wpływach zagranicznych, którym kieruje wiceprzewodnicząca Komisji ds. Sprawiedliwości Věra Jourová. Krytycy określają jednak ten moment jako niezręczny. Unia Europejska zintensyfikowała prace nad projektem w momencie, gdy w Gruzji wybuchły protesty nad podobnym projektem* – pisała 14 marca 2023 r. „Rzeczpospolita".

Zapytałem tak, jak wzdycha wody dno…

Choć zapalczywi polscy komentatorzy już wówczas wieszczyli powtórkę z rewolucji róż, władza skutecznie opanowała społeczne niepokoje. W Europie umyślono zatem, że ostatnią szansą na wyrwanie Gruzji z rąk krwiożerczego Putina będą wybory parlamentarne. Do boju zaprzęgnięto wszelkie organizacje pozarządowe działające w Tbilisi, rozpoczęto gigantyczną kampanię medialną, głównie w internecie, i na wszelkie możliwe sposoby straszono Gruzinów Putinem. W ostatnich miesiącach

unijni politycy zaczęli otwarcie bojkotować gruziński rząd, spotykając się tylko z opozycyjną prezydent. A priori założono, że zwycięstwo Gruzińskiego Marzenia musi być wynikiem fałszerstwa. Tymczasem rządzący Gruzją robili wiele, aby wybory spełniały demokratyczne standardy,

sprowadzono nawet amerykańskie maszyny do głosowania elektronicznego, aby uniknąć zarzutów o dosypywanie głosów do urn. Nic w tym dziwnego – Gruzińskie Marzenie było wyraźnym faworytem i jemu najbardziej zależało na pełnej legitymizacji werdyktu wyborców. Jak wskazywała w rozmowie z „Raportem o stanie świata" przebywająca aktualnie w Gruzji reporterka „Polityki" Stasia Budzisz, na Gruzińskie Marzenie głosują cała gruzińska prowincja, rzesze emerytów i rozrośnięta budżetówka, a opozycja może liczyć głównie na zbuntowaną młodzież z Tbilisi i przebywającą w UE diasporę. Jednak im bardziej rzeczywistość dowodziła, że Gruzińskie Marzenie wygra wybory, tym zajadlej europejscy przywódcy gardłowali, że przegra z kretesem.

…Czy to jesteś ty, Suliko?

Wyniki ogłoszono w niedzielę 27 października. Gruzińskie Marzenie uzyskało 54,09 proc. głosów i 89 mandatów w 150-osobowym parlamencie. Kolejne miejsca w głosowaniu zajęły stronnictwa opozycyjne: Koalicja na rzecz Zmian (10,9 proc. – 18 mandatów), Jedność (10,1 proc. – 17 mandatów), Silna Gruzja (8,8 proc. – 14 mandatów) oraz Dla Gruzji (7,8 proc. – 12 mandatów). Przeciwnicy rządu zgarnęli zatem 37,6 proc. głosów, co było nadspodziewanie dobrym rezultatem, jednak przez swe rozdrobnienie zdobyli ledwie 61 mandatów. W pierwszych chwilach opozycjoniści niespecjalnie wiedzieli, co począć, szczególnie że misja obserwacyjna OBWE dopatrzyła się wprawdzie lokalnych naruszeń, lecz nie uznała wyborów za sfałszowane. Z marazmu wyrwała ich dopiero prezydent Zurabiszwili, która obwieściła, iż wyborów nie uznaje i zwołuje protest w Tbilisi. Zatem będzie się działo.

MAREK SANOWSKI

PS: Śródtytuły pochodzą z gruzińskiej pieśni „Suliko" (tłum. A. Rymkiewicz), będącej ulubionym utworem najsłynniejszego Gruzina na świecie – Józefa Wissarionowicza Stalina.

eprasa.pl 324bd6bdbf

I oni naprawdę uważają się za światowy wzór demokracji?

Dziwactwa amerykańskich wyborów

Kto wygra wybory w USA? Opinie są podzielone. A ponieważ zamykamy ten numer na tydzień przed wyborami – a może się zdarzyć tak, że będziecie go Państwo czytać już po – czynienie jakichkolwiek przewidywań byłoby raczej niemądre.

Ograniczmy się zatem do kilku wyjaśnień – które mogą przydać się przy obserwowaniu imprezy. Zwłaszcza że system jest totalnie pojebany.

Przede wszystkim – wbrew logice wybory prezydenta USA nie są wyborami ogólnokrajowymi. To seria 51 osobnych elekcji. W 50 stanach i Dystrykcie Kolumbii wybiera się członków Kolegium Elektorów, a dopiero oni wybierają prezydenta.

Różnica nie jest bynajmniej tylko techniczna. Koncept wywodzi się z końca XVIII w., kiedy Stany Zjednoczone były federacją niepodległych republik, a Konwencja Konstytucyjna gwarantowała im suwerenność i niezależność. Ta wizja pokutuje do dziś – choć o niepodległych republikach oczywiście nie ma już mowy. Mimo to poszczególne stany mają absurdalnie dużo swobody w regulowaniu procesu wyborczego. W wielu stanach prowadzi to do zjawiska zwanego tłumieniem głosów, kiedy lokalne władze, przeważnie republikańskie, kombinują jak koń pod górę, żeby utrudnić głosowanie wyborcom, którzy prawdopodobnie zagłosują na demokratów. Takich sposobów jest mnóstwo – republikanie mają bogatą fantazję – ale jednym z najprostszych jest wymóg dokumentu ze zdjęciem. W Polsce to brzmi absurdalnie, ale dowody osobiste w USA nie istnieją, a paszport ma zaledwie połowa Amerykanów. Prawo jazdy jest popularniejsze – ale też nie powszechne. Co więcej – różnica jest rasowa: bez prawa jazdy jest co czwarty Afroamerykanin i zaledwie 8 proc. białych. Dodatkowo stany mogą manipulować typem dokumentu niezbędnego do głosowania: np. Teksas akceptował pozwolenia na noszenie broni w ukryciu, ale nie legitymacje studenckie.

To cwaniactwo jest o tyle skuteczne, że metoda wyboru elektorów nie ma nic wspólnego z demokracją przedstawicielską: z wyjątkiem Nebraski i Maine obwiązuje zasada „zwycięzca bierze wszystko", co oznacza, że głosy obywateli stanu mogą być podzielone niemal po równo – ale jak długo jedna partia dostanie jeden głos więcej, to ona zgarnia wszystkich elektorów z danego stanu.

Co oznacza, że zwycięzca powszechnego głosowania może przegrać wybory prezydenckie: przydarzyło się to Hillary Clinton i Alowi Gore'owi, a także trzem kandydatom w XIX w.

Liczba elektorów w poszczególnych stanach waha się od trzech (Alaska, obie Dakoty i kilka innych) do 54 w Kalifornii. Razem jest ich 538 – żeby wygrać, trzeba 270 głosów.

Ale – to ważne – kandydaci wcale nie walczą o 270 głosów, bo większość stanów jest przewidywalna, „stale czerwona" – republikańska (219 elektorów); lub „stale niebieska" – demokratyczna (226 elektorów). Tam w zasadzie kampania się nie toczy. Liczą się tylko „swingujące stany" – czyli takie, które mogą być przeciągnięte ze strony „czerwonej" na „niebieską" i odwrotnie. Jest obliczone, że kandydat demokratów, żeby wygrać, musi w nich zdobyć 44 elektorów; a kandydat republikanów – 51.

W tych wyborach stanów zdefiniowanych jako kluczowe jest siedem: Pensylwania, Georgia, Karolina Północna, Michigan, Arizona, Wisconsin i Nevada.

Co ciekawe – to wcale nie jest tak, że owe „stany swingujące" zmieniają swoje głosowanie z wyborów na wybory. Wystarczy jedno odejście od zwyczajowego wyboru od początku XXI w. – czyli w sześciu ostatnich elekcjach – żeby uznać, że jest to stan, o który warto walczyć. Zwycięstwo Bidena o 0,3 proc. w 2020 r. w Arizonie, która od 2000 r. wybierała wyłącznie republikanów, sprawiło, że znalazła się ona na strategicznej mapie demokratów. Z kolei fakt, że w 2016 r. Trump wygrał o 0,2 proc. w Georgii, która od początku wieku wybierała demokratów, sprawia, że Georgia znalazła się na celowniku sztabu byłego prezydenta.

Ta dziwaczna, poszatkowana struktura wyborcza powoduje jeszcze jeden absurd: otóż

w USA nie ma niczego takiego jak państwowa komisja wyborcza. Kto zatem ogłasza wyniki wyborów? Media. Dlaczego? A bo tak zrobiły w 1848,

kiedy to agencja Associated Press obwieściła, że wygrał Zachary Taylor.

Z tym, że 176 lat temu było to uzasadnione: AP było jedyną instytucją mającą współpracowników we wszystkich stanach (było ich wtedy 30), zdolną organizacyjnie i finansowo do tego, żeby zebrać wyniki i ogłosić je przed 14 grudnia, kiedy to Kolegium Elektorów oficjalnie głosuje. I tak było przez ponad 100 lat – dopiero w roku 1960 w pojedynku Nixon–Kennedy do zabawy dołączyły stacje telewizyjne, które zaczęły same zbierać dane i przewidywać wyniki. Teraz toczy się w tej dziedzinie walka konkurencyjna. Czego by nie mówić o idiosynkrazjach amerykańskiej demokracji – oglądanie jej jest znacznie zabawniejsze niż nasze, nudne i przewidywalne wieczory wyborcze.

Jednak jest jeden uczony, który uważa, że wybory w USA są całkowicie przewidywalne i wszystkie sondaże stanowią tylko szum informacyjny. To profesor historii Allan Lichtman, który w latach 80. XX w., wraz z radzieckim geofizykiem Władimirem Keilis-Borokiem, przeanalizował wszystkie wybory w USA, począwszy od roku 1860. Na podstawie tej analizy stworzył system, który nazwał nieco pretensjonalnie „13 kluczy". To 13 tez, które trzeba ocenić w kategorii „prawda–fałsz". Jeśli co najmniej sześć tez okaże się fałszywymi – nastąpi zmiana władzy.

To brzmi jak magiczne myślenie, ale tak naprawdę nim nie jest. Jest analizą czynników – które przez ostatnie 160 lat wpływały na decyzje wyborcze – przeprowadzoną z poszanowaniem dla warsztatu historyka (choć sam Lichtman jest nieco festyniarzem).

Tezy odnoszą się do kandydata partii rządzącej i dotyczą metod jego wyłaniania (jest czy nie urzędującym prezydentem, miał czy nie poważną konkurencję w prawyborach); krótko- i długookresowego stanu gospodarki (występowanie lub brak recesji); polityki obecnego prezydenta (radykalne reformy, klęska militarna lub prestiżowa za granicą, niepokoje społeczne, skandal). Biorą pod uwagę także charyzmę obu kontrkandydatów oraz pozycję ewentualnego kandydata „trzeciej partii".

Zdaniem prof. Lichtmana jego formuła od powstania sprawdza się bez zarzutu, z wyjątkiem roku 2000, kiedy zwycięstwo młodego Busha było co najmniej wątpliwie – i wielu zwolenników Gore'a uważało, że ukradzione.

Co godne odnotowania, Lichtman przewidział trafnie zwycięstwo Trumpa w roku 2016 – choć sondaże je wykluczały – oraz jego klęskę w 2020.

W tym roku Lichtman przewiduje zwycięstwo Kamali Harris. W odróżnieniu od sondaży, które pokazują, że Ameryka pęknięta jest równo na pół – 48 do 48 proc. – ale wskazują także, iż trend jest korzystny dla Trumpa, który jeszcze parę tygodni temu był o kilka punktów z tyłu.

Wybierzcie sobie, która wersja poprawi Wam nastrój na długi weekend.

AWŁ

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kolacja u wujka Wowy

Szczyt BRICS w Kazaniu

Od 22 do 24 października w Kazaniu zorganizowano 16. szczyt grupy BRICS z udziałem Antonio Guterresa. Polskie media nie posiadały się z oburzenia, bo obecność sekretarza generalnego ONZ i przedstawicieli państw, które zamieszkuje prawie połowa populacji świata, może wskazywać, że Władimir Putin nie jest międzynarodowym pariasem.

Wbrew temu, co powtarza wielu komentatorów, BRICS nie jest organizacją międzynarodową. W przeciwieństwie do ONZ czy Rady Europy nie ma swojego statutu, nie został powołany na mocy umowy międzynarodowej i nie ma stałych organów. Przypomina raczej zorganizowaną na fali zimnowojennej odwilży lat 70. Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Początki BRICS sięgają 2009 r. Wówczas na zaproszenie Rosji, do Jekaterynburga przyjechali przywódcy Brazylii, Indii i Chin. Od pierwszych liter nazw państw utworzono zgrabny skrót BRIC (*cegła*). W 2011 r. do formatu na stałe dołączyła Republika Południowej Afryki, a do nazwy dopisano „s" (od *South Africa*). W kolejnych latach na spotkaniach gościnnie pojawiali się przedstawiciele państw Trzeciego Świata – Bangladeszu, Kuby czy Kirgistanu. W 2024 r. do BRICS przystąpiły Egipt, Etiopia, Iran i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Na październikowy szczyt przybyli ponadto reprezentanci 28 państw, które członkami grupy nie są, m.in. Arabia Saudyjska, Indonezja, Serbia i Turcja.

BRICS ma być odpowiedzią na hegemonię Stanów Zjednoczonych i ich waluty w światowej wymianie handlowej. Kryzys finansowy 2009 r., zrodzony na amerykańskim rynku pożyczek hipotecznych, został skutecznie wyeksportowany na resztę globu

właśnie przez kształt międzynarodowego systemu finansowego. Recesja szczególnie dotknęła inicjatora przedsięwzięcia – Rosję – której PKB spadło wówczas o 7,9 proc. Zaproponowana przez nią idea dedolaryzacji świata korespondowała z chińskimi i indyjskimi ambicjami mocarstwowymi, a dla państw objętych zachodnimi sankcjami była obietnicą wyjścia z gospodarczych kłopotów.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Z biegiem lat BRICS stał się najważniejszym orędownikiem reorganizacji ładu międzynarodowego i stworzenia świata wielobiegunowego. Był to również temat przewodni tegorocznego szczytu w Kazaniu.

Na poprzedzającym go Forum Biznesowym BRICS w Moskwie (17–18 października), gościom rozdano karty płatnicze BRICS Pay zasilone kwotą 500 rubli (20 zł). Uczestnicy nie ustalili jednak finalnego kształtu alternatywy wobec dolara. Wciąż ścierają się ze sobą dwie koncepcje: znany z Międzynarodowego Funduszu Walutowego koszyk walut i system płatności oparty na cyfrowych walutach banków centralnych. Jednocześnie Chińczycy forują zastąpienie dolara cyfrowym juanem, czemu sprzeciwiają się pozostałe państwa BRICS-u aspirujące do rangi mocarstw; widzą w tym bowiem próbę narzucenia przez Chiny własnej hegemonii.

Zachodnie media wieszczą, że Putin pod postacią BRICS montuje międzynarodówkę autorytarną mającą zrewidować światowy porządek geopolityczny. Problem w tym, że BRICS nawołuje do wzmocnienia Organizacji Narodów Zjednoczonych i wdrożenia przyjętych przez ONZ rezolucji, np. w sprawie palestyńskiej, której na szczycie poświęcono sporo miejsca.

O dobrych relacjach BRICS z ONZ świadczy obecność na szczycie sekretarza generalnego organizacji. Zawarte w deklaracji końcowej wezwania do reformy systemu w ramach Światowej Organizacji Handlu dowodzą raczej, że członkowie forum nie podważają generalnych zasad obowiązującego reżimu prawno-międzynarodowego – chcą go tylko nieco zreformować w korzystny dla siebie sposób.

Kazański szczyt BRICS rewolucyjnych zmian nie przyniósł. Warty odnotowania jest jednak fakt, że w tegorocznym zjeździe uczestniczyła rekordowa liczba państw z pięciu kontynentów. Pokazuje to, że idea dedolaryzacji z roku na rok przyciąga kolejnych zwolenników, z których istotna część pretenduje do roli mocarstw. Zważywszy jednak na panujące w BRICS-ie konflikty interesów (np. chińsko-indyjski spór graniczny o Tybet), zmaterializowania się tej koncepcji raczej nie należy się spodziewać w najbliższym czasie, a prędzej – sukcesywnie rosnącego ruchu państw walczących z amerykańską hegemonią.

HUBERT CEZARY WYSOCKI

eprasa.pl 324bd6bdbf

Sri Lanka skręca w lewo

Wybory prezydenckie w Sri Lance (dawniej Cejlon) wygrał lider marksistowskiej Narodowej Partii Wyzwolenia (Janatha Vimukthi Peramuna – JVP) Anura Kumara Dissanayake, szerzej znany jako AKD. Ugrupowanie to wchodzi w skład lewicowego sojuszu Narodowa Władza Ludowa zrzeszającego organizacje społeczne, a także część buddyjskich duchownych i studentów. Dissanayake wygrał w drugiej turze, uzyskując 55,89 proc. głosów. Jego zwycięstwo było do przewidzenia; pierwszą turę wygrał z wynikiem 42,3 proc. przy wysokiej frekwencji na poziomie 79,4 proc.

56-letni Anura Kumara Dissanayake nie jest politycznym nowicjuszem. Zanim doszedł do najwyższego stanowiska w państwie, odbył długą i nie zawsze łatwą drogę. W działalność polityczną zaangażował się w bardzo młodym wieku: już w latach szkolnych działał w JVP, a następnie był aktywnym działaczem w ruchu studenckim, organizatorem Socjalistycznego Zrzeszenia Studentów.

W roku 1998, w wieku 30 lat, został członkiem Biura Politycznego JVP, a w 2004 r. przewodniczącym partii. W 2002 r. po raz pierwszy wybrano go do parlamentu. Wtedy to, w rządzie koalicyjnym JVP z Partią Wolności Sri Lanki, został ministrem odpowiedzialnym za rolnictwo, hodowlę i irygację, lecz w następnym roku zrezygnował ze stanowiska, gdy jego ugrupowanie wystąpiło z koalicji.

Kandydował w wyborach prezydenckich w 2019 r. Zdobył 3 proc. głosów. Mimo to kierowana przez niego partia zgłosiła jego kandydaturę również w tegorocznych wyborach. Dissanayake prowadził kampanię wyborczą pod hasłami walki z korupcją i biedą, co odpowiadało na oczekiwania wyborców zmęczonych działaniami poprzednich rządów.

Nowy marksistowski prezydent Sri Lanki już na wstępie zyskał poparcie ze strony Kościoła katolickiego. Dzień po inauguracji złożył wizytę w rezydencji arcybiskupa Colombo kardynała Randżita i został przez niego pobłogosławiony,

a także uczestniczył we mszy. Co – podkreślmy – nie przeszkodziło mu pozostać marksistą. W trakcie spotkania Randżit wyraził opinię, iż wynik wyborów prezydenckich odzwierciedla wolę większości obywateli kraju, a ludzie ufają, że nowy prezydent doprowadzi do niezbędnych zmian. Liczbę katolików w Sri Lance szacuje się na 1,6 mln. To 6–8 proc. obywateli. Jednak nawet taki – stosunkowo niewielki – odsetek liczącej ok. 20 mln populacji Sri Lanki może mieć znaczenie w nadchodzących wyborach parlamentarnych. Zwłaszcza gdy głos zabierze kardynał.

Nowy prezydent natychmiast po objęciu urzędu zdymisjonował dotychczasowy rząd i ustanowił tymczasowy, na którego czele stanęła jego partyjna koleżanka, nauczycielka akademicka Harini Amarasuriya. Równocześnie Dissanayake rozwiązał parlament i wyznaczył nowe wybory na 14 listopada. To racjonalna decyzja, zważywszy że JVP miała w parlamencie zaledwie trzech spośród 225 deputowanych. Można się spodziewać, że nowy parlament umocni lewicowy kurs zapoczątkowany wyborem prezydenta.

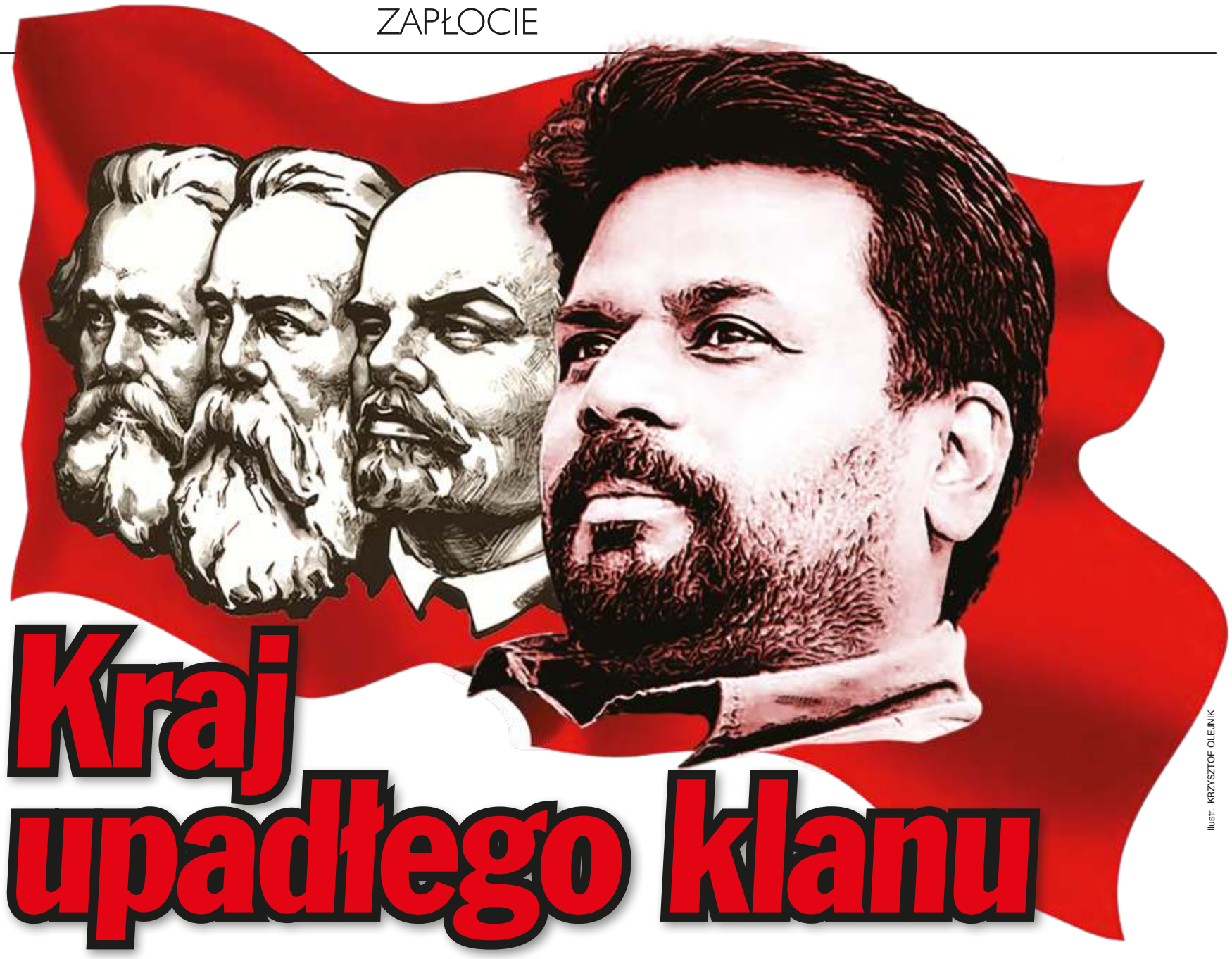

Kraj upadłego klanu

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wyborczy sukces – jak napisał Dissanayake na platformie X – *nie jest wynikiem pracy jednego człowieka, ale wspólnych wysiłków tysięcy i setek was*. Słów tych nie należałoby traktować wyłącznie jako wyrazu skromności, ale raczej jak realną ocenę sytuacji w kraju, która doprowadziła do jego zwycięstwa. Ludzie bowiem mieli już dosyć rządów poprzedniej ekipy, która doprowadziła do znacznego pogorszenia poziomu życia.

Przed dwoma laty na Sri Lance doszło do poważnego kryzysu gospodarczego. Inflacja przekraczała 60 proc., przy czym ceny produktów spożywczych wzrosły o ponad 90 proc. Do braku żywności przyczyniły się także rządowe decyzje zakazujące stosowania innych niż organiczne nawozów, co spowodowało znaczące obniżenie plonów. Dodatkowo z powodu braku środków wprowadzono zakaz importu ponad 300 rodzajów artykułów żywnościowych. Według szacunków Światowego Programu Żywnościowego jedna trzecia ludności cierpiała na niedożywienie. Zaczęło brakować paliwa, lekarstw i prądu. Do wzrastającego ubóstwa przyczynił się również Bank Światowy, wycofując z puli już przyznanych kredytów kwotę 160 mln dol. przeznaczoną na lekarstwa i gaz do gotowania ciepłych posiłków w szkołach. Dług zagraniczny przekroczył poziom 50 mld dol. W państwowej kasie zabrakło pieniędzy i – jak stwierdził ówczesny premier Ranil Wickremesinghe – państwo stało się bankrutem.

Sytuacja ta doprowadziła do masowych protestów społecznych i starć ulicznych (wprowadzono m.in. godzinę policyjną). Gniew ludu skupił się na dominującym od lat na politycznej scenie klanie Rajapaksa.

Ze stanowiska premiera ustąpił Mahinda, starszy brat prezydenta Gotabaya Rajapaksa. Nie usatysfakcjonowało to demonstrantów, którzy wdarli się do pałacu prezydenta i opuścili go dopiero po tym, gdy Gotabaya ewakuował się na Malediwy, skąd ogłosił swoją rezygnację. Oprócz Mahindy w rządzie zasiadał też kolejny brat – Basil – pełniący funkcję ministra finansów.

Wpływowy do niedawana klan nie pogodził się zresztą z utratą władzy. W ostatnich wyborach prezydenckich startował syn Mahindy – Namal. Dostał zaledwie 2,5 proc. głosów. Wyborcy nie obdarzyli też zaufaniem Ranila Wickremesinghe, wybranego przez parlament na tymczasowego prezydenta po ucieczce Gotabaya. Wickremesinghe znalazł się na trzecim miejscu, z 17,2 proc. głosów.

Prezydent Dissanayake zapowiada poprawę losu swoich współobywateli. Zamierza zwiększyć wydatki na cele socjalne, znieść podatek VAT na żywność, wyposażenie medyczne i edukację. Chce również doprowadzić do renegocjacji umowy z Międzynarodowym Funduszem Walutowym, krytycznie ocenianej przez lewicę. Aktywną politykę państwa przeciwstawia uzależnieniu od międzynarodowych instytucji finansowych, a zwłaszcza MFW. Jak mówił generalny sekretarz JVP Tilvin Silva, *MFW nie służy ludziom, a jedynie ratuje złodziejskie rządy*.

BŁAŻEJ KAJETAŃCZYK

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Na łamach tygodnika „Polityka" Marek Świerczyński w telegraficznym skrócie relacjonuje spotkanie przywódców kolektywnego Zachodu ws. Ukrainy: *Jedni głośno zadawali pytania, inni milczeniem unikali tematu, ten czy ów mówił o wątpliwościach lub niedogodnym momencie. Z „wielkich" europejskich stolic jedynie Paryż opowiedział się „za", ale szerszej koalicji stworzyć nie zdołał. W transatlantyckim czteroosobowym „quadzie", złośliwie nazwanym już „wielką czwórką", było trzy do jednego. Joe Biden, Olaf Scholz i Keir Starmer mają do postulatów prezydenta Ukrainy dystans lub nie są w stanie ich spełnić. (…) Kiedy jednak chodzi o plan na wojnę, to i w Warszawie winą bywa obarczany sam Zełenski: że zagrał za ostro, że chciał za dużo, że był zbyt bezczelny. Gdy się wczytać w jego „plan zwycięstwa", to rzeczywiście Ukraina życzy sobie dzięki natychmiastowemu wsparciu Zachodu zostać najpotężniejszym militarnie krajem Europy. Jeśli nawet bez członkostwa w NATO, to z zaproszeniem, zachodnią bronią i obecnością „komponentu odstraszania", o jakim niejeden kraj Sojuszu tylko marzy. To żądania teraz nie do spełnienia, ale z drugiej strony mogła to być ostatnia szansa, by je postawić*.

☆ Władze Lwowa zdecydowały o budowie pomnika Romana Szuchewycza, bandyty odpowiedzialnego za rzeź wołyńską. Monument ma stanąć na placu innego upowca – Ołeksandra Hasyna. Wyrzucanie pieniędzy w błoto i plucie w twarz sojuszników to dość oryginalna strategia prowadzenia wojny.

☆ W „Newsweeku" Jacek Gądek zachwyca się ministrem Radosławem Applebaumem z domu Sikorskim: *Szef MSZ wchodzi też w zwarcie z Kremlem. Właśnie podjął decyzję o wyrzuceniu pracowników rosyjskiego konsulatu Rosji w Poznaniu i zamknięciu placówki. A potem jeszcze – co ma gruby kaliber – zagroził wydaleniem ambasadora Rosji Siergieja Andriejewa. Taka decyzja musi prowadzić do odwetu ze strony Kremla. Zwarcie z Moskwą może polityka tylko zbudować. Sikorski w obu spięciach pokazuje się jako najtwardszy minister. Taran ze szpicą*. Faktycznie, polska dyplomacja jest bezlitośnie taranowana.

☆ Żona Radka trudni się pisarstwem, a jej najnowszą książką podnieca się Katarzyna Janowska (także „Newsweek"): *Ta książka otwiera oczy. (…) Autorka od lat śledzi międzynarodową politykę, ze szczególną uwagą przyglądając się współczesnym autokracjom. W najnowszej książce przeniosła znaczenie słowa koncern z biznesu do polityki. Widzi je jako sieć państw (…) połączonych celami swoich przywódców. Dyktatorom zależy na władzy i pieniądzach. Żyją w luksusowych rezydencjach, złotych i nieskromnych. Przepych to ich znak firmowy. Nie cofną się przed niczym, żeby go zdobyć i utrzymać. Są politykami transakcyjnymi. Jeśli jakiś deal jest z ich punktu widzenia korzystny biznesowo lub politycznie, przystąpią do niego niezależnie od interesów własnych obywateli.* Wygląda to na opis amerykańskiej klasy politycznej.

☆ Wołodymyr Zełenski obiecał każdemu obywatelowi tysiąc hrywien (97 zł) na zakup ukraińskich towarów i usług. Mieliśmy już prezydenta, który obiecywał sto milionów i też marnie skończył.

☆ Przenikliwą analizą pt. *Dlaczego na Kremlu nienawidzą Polaków?* dzieli się z czytelnikami „Rzeczpospolitej" Rusłan Szoszyn: *Nienawiść do Polaków w Moskwie wynika też z tego (jak uważa część badaczy historii i literatury rosyjskiej), że ze wszystkich podbitych niegdyś przez Rosję krajów Rzeczpospolita jako jedyna była ukształtowanym kulturowo państwem. Nie przyjęła kultury zaborcy, nie dała sobie narzucić cyrylicy. Miała własną literaturę, muzykę i wybitnych naukowców.* Czyżby red. Szoszyn właśnie podważył istnienie tysiącletniej i przebogatej kultury ukraińskiej?

☆ *Pracownicy wojenkomatów nie będą już wychodzić na ulicę i łapać ludzi. Żyjemy w epoce cyfrowej, a Ukraina jest krajem bardzo scyfryzowanym. Zorganizujemy mobilizację w nowoczesny sposób* – obwieścił Wołodymyr Zełenski. Następnego dnia funkcjonariusze biur mobilizacyjnych zorganizowali nalot na targowisko w Odessie i wyłapali pokaźną grupę przypadkowych mężczyzn.

☆ Rosyjska armia zdobyła kolejne miasto w Donbasie – Sełydowe. Najpewniej zdobędzie jeszcze wiele, gdyż jak donosi Piotr Andrusieczko na łamach „Gazety Wyborczej": *Zdobycie Sełydowego zabezpieczy lewą flankę rosyjskiej armii w tym rejonie i umożliwi koncentrację sił do bezpośredniego ataku na Pokrowsk. (…) Bohdan Myrosznykow, ukraiński bloger wojenny, napisał 24 października, że Rosjanom udało się zająć pozycje w części 10-piętrowych bloków na południu, wschodzie i w centrum Sełydowego. Pod rosyjskim ostrzałem są też trasy dojazdowe do miasta. „Ogólna sytuacja jest taka, że gorzkie doświadczenie Awdijiwki, Oczeretynego czy Nowohorodiwki nie zmusiło nas do wyciągnięcia wniosków. Sełydowe nie stało się tym miejscem, gdzie powstrzymaliśmy wroga. A miało nim być" – napisał Myrosznykow. Wcześniej, zarówno on, jak i inni eksperci zakładali, że właśnie pod Sełydowem uda się wykrwawić rosyjskie siły prące na Pokrowsk. Z Sełydowego do obwodu dniepropietrowskiego jest mniej niż 30 km.* Najważniejsze, że Wołodymyr Zełenski ma już „plan zwycięstwa".

☆ Korespondencję z Tworek przesyła niezawodna Irena Lasota („Rzeczpospolita"): *Wojna zbliża się do krytycznego punktu, jakim są wybory w USA. Kijów ma teraz olbrzymią szansę na zwycięstwo. Jeśli Zachód zwiększy pomoc w najbliższym czasie i Ukraina utrzyma linię frontu albo nawet przesunie ją, choćby niewiele, na wschód – Putin może być zmuszony do ogłoszenia mobilizacji, co może być tą kroplą, która… Mało kto rozumie albo chce wiedzieć, że Rosja jest teraz w krytycznym stanie. Nie tylko brakuje lekarstw, gazu i elektryczności, nie tylko wielokrotnie wzrosły ceny podstawowych towarów, ale rosyjskie media otwarcie piszą, że brakuje krematoriów, a ceny pogrzebów są wprost zabójcze. Jeszcze trochę wysiłku i pomocy Ukrainie i będzie można wzbogacić się na odbudowie zrujnowanego kraju.* Jak mawiał tow. Stalin: *Zawrót głowy od sukcesów*.

MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 324bd6bdbf

Moskwa słabo rozwścieczona

Wybory w Mołdawii

Rozwścieczyć Moskwę, zaimponować Europie, ponownie uratować swój kraj – oto Maja Sandu. Wielki przywódca i odważny naród – tak wyniki głosowania w Mołdawii skomentował na portalu X (d. Twitter) wódz uśmiechniętej Polski, Donald Tusk. Problem w tym, że – jak to u Tuska bywa – minął się z prawdą co najmniej dwukrotnie: urzędująca prezydent Maja Sandu, zwyciężczyni pierwszej tury wyborów, ani nie rozwścieczyła Moskwy, ani niczego nie uratowała. Jeśli zaś komuś w Europie zaimponowała, to jedynie politycznym ignorantom.

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kandydatka z Banku Światowego…

Od rozpadu ZSRR Mołdawię rozdzierał konflikt nie tyle polityczny, co dotyczący narodowej tożsamości. Mołdawianie są niezwykle blisko spokrewnieni z Rumunami, a niektórzy badacze uznają ich za część narodu rumuńskiego. Również język mołdawski jest uważany za nieco archaiczną wersję rumuńskiego. Część etnicznych Mołdawian uznawała zatem, że najlepszym rozwiązaniem byłoby wchłonięcie Mołdawii przez Rumunię.

Z drugiej strony liczne w Mołdawii mniejszości – Rosjanie, Ukraińcy, Gagauzi i Bułgarzy – obawiały się, że zjednoczenie z Rumunią oznaczać będzie przymusową rumunizację. Dołączyła do nich pokaźna część Mołdawian, głównie z obszarów wiejskich, dla których punktem odniesienia wciąż była stolica dawnego ZSRR, a nie Bukareszt.

Za tożsamością narodową w przytłaczającej większości szły wybory polityczne. Uznający się za Rumunów zapragnęli dołączenia do Europy – szczególnie że po wejściu do UE i NATO europejska stała się sama Rumunia. Pragnienie europeizacji oznaczało liberalne poglądy gospodarcze i obyczajowe. Z kolei Mołdawianie odrzucający tożsamość rumuńską tęsknili za radzieckim państwem opiekuńczym i orientowali się na Moskwę, a w sferze światopoglądowej odrzucali wszelkie ideologiczne nowinki płynące z Zachodu, takie jak prawa LGBT.

Urzędująca prezydent i zwycięzca pierwszej tury wyborów Maja Sandu wyraźnie opowiada się za westernizacją, europeizacją i rumunizacją Mołdawii. Zanim rozpoczęła karierę polityczną, studiowała na wydziale administracji publicznej amerykańskiego Uniwersytetu Harvarda i przez dwa lata doradzała w Banku Światowym. Tam utwierdziła się w przekonaniu, że zachodnia liberalna demokracja jest jedyną receptą na rozwiązanie problemów współczesnego świata.

W 2012 r. wróciła do Mołdawii i przebojem weszła na mołdawską scenę polityczną, a jej ulubioną metodą polityczną stało się wyzywanie wszystkich oponentów od ruskich agentów (skąd my to znamy?). W 2016 r. Sandu założyła Partię Akcji i Solidarności, której głównym przesłaniem było odcięcie się od radzieckiej przeszłości oraz związków z Rosją i prędkie parcie na Zachód. Cztery lata temu pierwszy raz wygrała wybory i z żelazną konsekwencją realizuje swą strategię. Nie zważa przy tym na wielotysięczne protesty mieszkańców, oskarżenia o łamanie prawa i ogromny kryzys energetyczny, do którego doprowadziła jej polityka. W niedzielę udało jej się skonsolidować wokół siebie wszystkie siły prorumuńskie i zdobyć 42,45 proc. głosów.

Rys. WIDGET

…i syn Gagauzji

Rywalem Sandu w drugiej turze wyborów będzie Aleksander Stoianoglo, który uzyskał 25,98 proc. głosów. Z wykształcenia jest prawnikiem, w 1992 r. wstąpił w szeregi prokuratury, a w 2019 r. został prokuratorem generalnym. Warto zaznaczyć, że prokuratura jest w Mołdawii organem niezależnym i władza nie ma prawa wpływać na jej decyzje kadrowe. Mimo to w 2021 r. stronnictwo Mai Sandu postanowiło pozbyć się Stoianoglo z urzędu w – eufemistycznie rzecz ujmując – wątpliwych okolicznościach prawnych. 5 października 2021 r. Sandu poleciła funkcjonariuszom Służby Informacji i Bezpieczeństwa (dawny KGB, podporządkowany prezydentowi) aresztować prokuratora generalnego pod zarzutem współpracy z Rosją. Ostatecznie Stoianoglo niczego nie udowodniono i do więzienia nie trafił, a kilka miesięcy temu postanowił rzucić Sandu rękawicę i wystartować w wyborach prezydenckich z poparciem największej siły opozycyjnej – Partii Socjalistycznej.

W wyborach poza ścieżką polityczno-zawodową ważne było pochodzenie etniczne Stoianoglo. Otóż jest on Gagauzem, czyli przedstawicielem bodaj najpotężniejszej mniejszości etnicznej w Mołdawii. Niepozorny i niespecjalnie liczny (ok. 250 tys., z czego 60 proc. żyje w Mołdawii) lud pochodzenia tureckiego w znacznej większości trudni się rolnictwem, szczególnie uprawą winorośli.

W czasach radzieckich Gagauzi żyli na uboczu, skryci w wieloetnicznej mieszance ZSRR, jednak po ogłoszeniu niepodległości przez Mołdawię wywalczyli sobie niezwykle istotną pozycję. Pierwszym niekomunistycznym premierem Mołdawii został bowiem Mircea Druc – obsesyjny wyznawca idei zjednoczenia Mołdawii z Rumunią, znany z tego, że w latach 70. osobiście doręczył do pałacu Nicolae Ceaușescu list, w którym prosił prezydenta Rumunii o zorganizowanie antyrządowej partyzantki w ZSRR. Fanatyk ten w ciągu swych ledwie rocznych rządów całkowicie zreformował system edukacji, odrzucając radziecki model szkolnictwa, oraz zderusyfikował przestrzeń publiczną, zastępując bohaterów radzieckich rumuńskimi. Przeprowadził również czystki w administracji publicznej, rugując z niej wszystkich nie-Rumunów. Polityka Druca zatrwożyła mieszkańców Naddniestrza i Gagauzji.

Ci pierwsi, w znacznej większości etniczni Rosjanie, zdecydowali się wypowiedzieć wojnę ledwo powstałej Mołdawii. Dzięki wsparciu stacjonującej w Tyraspolu – stolicy Naddniestrza – jednostki radzieckiej mieszkańcom regionu udało się proklamować niepodległe państwo, istniejące zresztą do dziś. Podobną drogą postanowiła pójść Gagauzja, której mieszkańcy w 1990 r. ogłosili *Deklarację o wolności i niepodległości narodu Gagauzów od Republiki Mołdawii*. W efekcie premier Druc ogłosił „Marsz na Gagauzję", czyli pochód uzbrojonych rumuńskich nacjonalistów mający na celu spacyfikowanie buntowników. Wówczas przypomniał o swym istnieniu dogorywający Związek Radziecki (którego Mołdawia wciąż była częścią) i wysłał wojsko w celu zapobieżenia rozlewowi krwi. Nacjonaliści zostali zatrzymani i Gagauzja ogłosiła niepodległość.

Za Europę dziękujemy

Tym samym już rok po upadku ZSRR w miejscu dawnej Mołdawskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej powstały trzy państwa – Republika Mołdawii (2,42 mln mieszkańców), Naddniestrzańska Republika Mołdawska (469 tys.) i Republika Gagauzji (160 tys.). Gagauzja miała od początku zdecydowanie najsłabszą pozycję – Naddniestrze było regionem znacznie ludniejszym, wysoko zurbanizowanym i uprzemysłowionym, zamieszkanym przez elitę, głównie kształconych w Moskwie i Leningradzie inżynierów; Gagauzja zaś biedną i zacofaną rolniczą prowincją.

Dlatego gdy fanatycznego Mirceę Druca zastąpił umiarkowany Andrei Sangheli, Gagauzja rozpoczęła negocjacje z Mołdawią dotyczące reunifikacji. W 1994 r. podpisano traktat zjednoczeniowy, na mocy którego Gagauzi otrzymali daleko posuniętą autonomię – mają własny parlament, który ustanawia prawa m.in. w zakresie administracji, budżetu, podatków, polityki socjalnej, edukacji i kultury. Ponadto posiadają własną policję, a przywódca Gagauzów jest z urzędu konstytucyjnym ministrem w Kiszyniowie.

W kontekście niedzielnych wyborów najważniejsze są jednak ich polityczne preferencje. W 2014 r. władze Gagauzji przeprowadziły referendum, w którym wzięło udział przeszło 70 proc. mieszkańców. 98,9 proc. głosujących poparło ogłoszenie niepodległości w razie przystąpienia Mołdawii do UE. 98,5 proc. poparło przystąpienie do Unii Celnej Rosji Białorusi i Kazachstanu.

Ledwie 2,5 proc. mieszkańców Gagazji głosowało za przystąpieniem do Unii Europejskiej. Referendum nie zostało wprawdzie uznane przez rząd w Kiszyniowie, jednak pokazało niezwykłą jednolitość polityczną Gagauzów – kochają oni Rosję i nienawidzą Zachodu.

W niedzielnych wyborach startowało trzech Gagauzów – Irina Vlah (5,38 proc. głosów), Victoria Furtuna (4,45 proc.) i wspominany Aleksander Stoianoglo (25,98 proc.). Tym samym stanowiący 6,5 proc. mołdawskiej populacji Gagauzi wystawili kandydatów, którzy zgarnęli ponad jedną trzecią głosów.

Jednak nie tylko kandydaci gagauscy są prorosyjscy. Trzecie miejsce w wyborach zajął Renato Usatii – popularny samorządowiec i wieloletni burmistrz miasteczka Bielce, będącego notabene największym skupiskiem Polaków w Mołdawii. Naszych rodaków w Bielcach jest wszakże 0,7 proc., dominują zaś Rosjanie i rosyjskojęzyczni Mołdawianie, dlatego Bielce przez lata były bastionem prorosyjskich komunistów. Usatii uznał, że z komunistami w Bielcach można wygrać, jedynie będąc jeszcze bardziej prorosyjskim od nich, i zaczął publicznie rozpaczać nad upadkiem ZSRR, postulować przeszczepienie niemal wszystkich rosyjskich rozwiązań politycznych i wejście w ścisły sojusz z Rosją. Taka postawa zaowocowała – Bielce odwróciły się od komunistów i od niemal dekady niepodzielnie rządzi w nich stronnictwo Usatiego, a w wyborach ogólnokrajowych na Usatiego zagłosowało 13,79 proc. Do kandydatów prorosyjskich można zaliczyć także wieloletniego premiera Mołdawii z ramienia wspomnianych komunistów Wasilija Tarlewa (3,19 proc. głosów). Reasumując: na kandydatów prorosyjskich i wyraziście przeciwnych polityce Mai Sandu zagłosowało 52,79 proc. wyborców, na samą zaś Sandu 42,45 proc. Resztę zebrał polityczny plankton – zawodowy bokser, ekscentryczny arystokrata i telewizyjna gwiazda.

Zagranica, nie ulica

Warto także zauważyć, kogo do głosowania dopuszczono, a kogo nie. Otóż mieszkańcom separatystycznego Naddniestrza praktycznie uniemożliwiono oddanie głosu – mimo iż Mołdawia uznaje Naddniestrze za część swego terytorium, a jego mieszkańców za swoich obywateli (niemal wszyscy mają zresztą mołdawskie paszporty). Mimo zgody władz Naddniestrza na otwarcie mołdawskich lokali wyborczych na terytorium separatystycznej republiki, Mołdawia odmówiła współpracy. Jedynie 16 tys. z ponad 460-tysięcznej populacji zdołało zagłosować w punktach na prawym brzegu Dniestru – do których dostęp był niełatwy, gdyż na granicy przeprowadzano nadzwyczaj drobiazgowe kontrole.

Utrudniano także głosowanie setkom tysięcy Mołdawian mieszkających w Rosji – otworzono zaledwie dwa lokale wyborcze, a do każdego dostarczono jedynie po pięć tysięcy kart. *Było to zwieńczeniem zakrojonej na szeroką skalę kampanii antyrosyjskiej rozpoczętej przez Kiszyniów* – komentowała rzecznik rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa, dodając, że *w Europie Zachodniej i USA otwarto ponad dwieście lokali*.

I to właśnie owe 200 lokali na kolektywnym Zachodzie zdecydowało o wyniku wyborów. Gdyby o tym, kto ma rządzić Mołdawią, decydowali mieszkańcy Mołdawii, Maja Sandu nie otrzymałaby nawet co czwartego głosu, a prorosyjscy kandydaci zdobyliby łącznie przeszło 57 proc.

Jeszcze istotniejszy wpływ głosy z zagranicy wywarły na wynik referendum, które przeprowadzono przy okazji wyborów. Mołdawian zapytano, czy życzą sobie wpisania do konstytucji, iż celem Mołdawii jest przystąpienie do Unii Europejskiej. Powszechnie uznano to za bezczelne posunięcie Sandu, która świadoma możliwej przegranej, chciała zmusić swojego następcę do kontynuowania negocjacji akcesyjnych. Urzędująca prezydent do ostatnich chwil agitowała za głosowaniem „tak". Mimo tych wysiłków wyraźna większość mieszkańców Mołdawii – 54,61 proc. – opowiedziała się przeciwko zmianie konstytucji. Za – głosowało zaledwie 45,38 proc. Dopiero po doliczeniu głosów z zagranicy szala zwycięstwa minimalnie przeważyła na stronę Sandu; ostatecznie za było 50,38 proc., przeciw – 49,62 proc.

Kosmetyczne zwycięstwo zwolenników euro-integracji natychmiast jęła podważać opozycja, która domaga się unieważnienia referendum. Z kolei Sandu – najwyraźniej zaskoczona brakiem wyraźnego zwycięstwa w referendum i perspektywą przegranej w drugiej turze – zaczęła, jak to ma w zwyczaju, obwiniać o wszystko Rosję. Tym razem jest mowa o przekupieniu kilkuset tysięcy wyborców.

Tymczasem przekupić Mołdawian próbuje Ursula von der Leyen, która obiecała 1,8 mld euro wsparcia rozwojowego dla Kiszyniowa. Stawiam dolary przeciw orzechom, że w razie przegranej Sandu UE rakiem wycofa się z obiecanej pomocy.

MAREK SANOWSKI

eprasa.pl 324bd6bdbf

D jak Dreyfus, P jak Przywieczerski

„Napoleon biznesu" nie miał nic wspólnego z aferą FOZZ

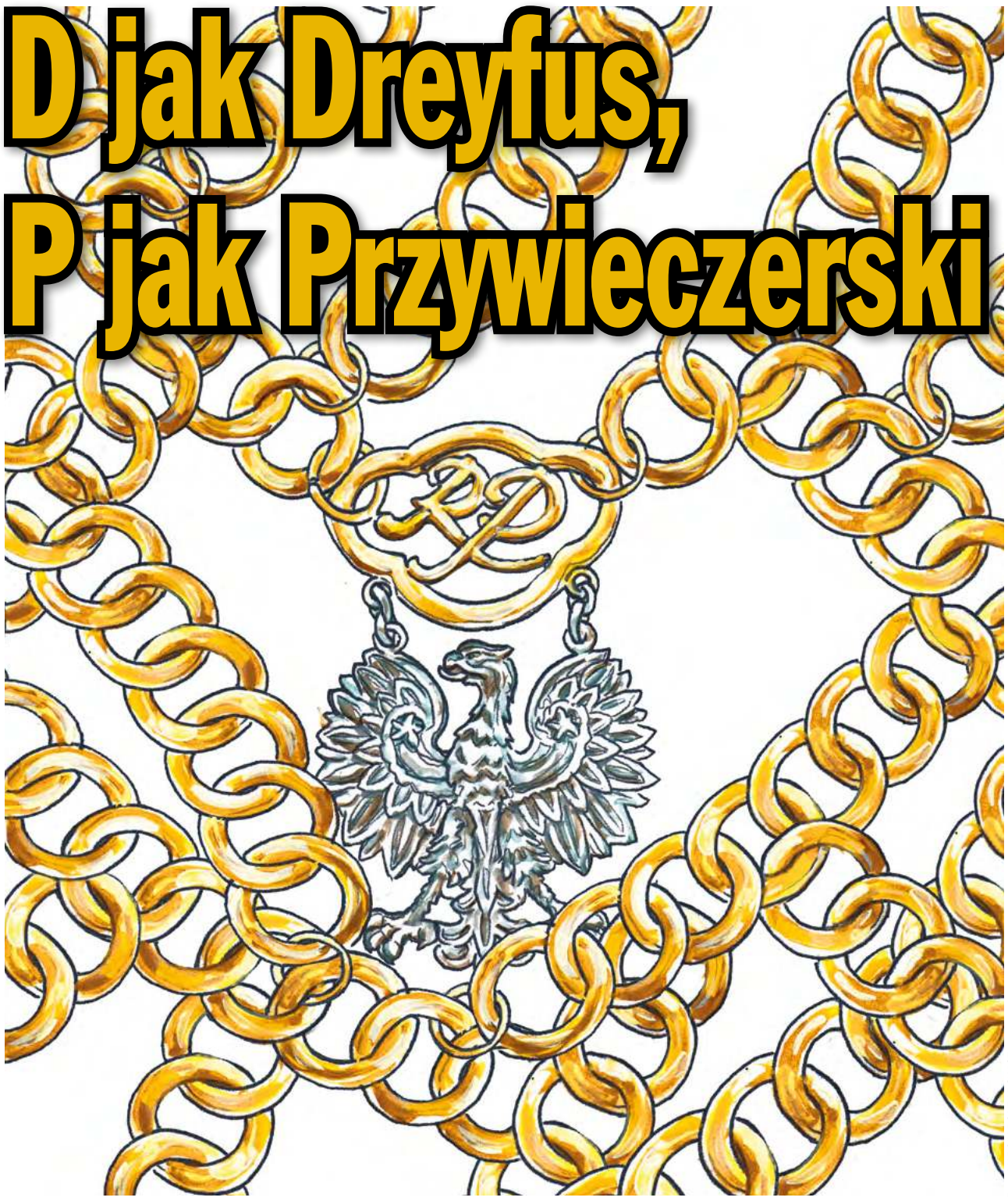

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Pan Dariusz Przywieczerski mówił o sobie, że jest Napoleonem polskiego biznesu. Dziś ma więc swoje Waterloo – triumfował Zbigniew Ziobro w 2018 r., kiedy ekstradowany z USA Przywieczerski lądował w kajdankach na Okęciu. *Była to afera, którą niektórzy nazywają matką polskich afer, polskie państwo jest do końca skuteczne, to jest symboliczny moment* – tokował w uniesieniu minister sprawiedliwości, choć doskonale wiedział, że Trybunał w Strasburgu przyznał byłemu szefowi Universalu 5 tys. euro odszkodowania za to, że w Polsce był sądzony z naruszeniem art. 6 Konwencji o Prawach Człowieka.

Z listem gończym pod palmami

Zamówiłem w Empiku książkę Grzegorza Gaudena „Polska sprawa Dreyfusa", ponieważ sądziłem, że były naczelny „Rzeczpospolitej" i pisarz historyczny najwyższej marki wziął na warsztat fundamentalną dla dnia dzisiejszego sprawę Dariusza Przywieczerskiego, fałszywie oskarżanego o to, że był *mózgiem afery FOZZ* i zdefraudował *dwa do ośmiu miliardów dolarów*. Lub choćby wziął się za przebrzmiałą aferę Oleksego, utrupionego fałszywym oskarżeniem o szpiegostwo na rzecz Rosji. Tymczasem Gauden opisał ohydną, podszytą zoologicznym antysemityzmem zbrodnię sądową popełnioną we Lwowie w 1924 r. na nic nieznaczącym obywatelu pochodzenia żydowskiego.

Wobec oczywistych dowodów na to, że sprawa została prymitywnie ukartowana przez fałszywych świadków i prokuratorów owładniętych ideą ocalenia świata przed międzynarodowym spiskiem żydowskim, ława przysięgłych większością głosów uznała obywatela Stanisława Steigera za niewinnego! Oskarżony niezasłużenie doznał wielkich cierpień i upokorzeń. Gauden genialnie opisał obrzydliwość tego procesu sądowego, w którym jednak na koniec zatriumfowała prawda.

W sprawie Przywieczerskiego rzecz ma się dokładnie na odwrót. Po karykaturalnym procesie zatriumfowały kłamstwo i obłuda.

Kiedy w zamierzchłym roku 2005 sędzia referent ogłaszał wyrok trzech lat i sześciu miesięcy więzienia dla Dariusza Przywieczerskiego, najpierw skierował wzrok na ławę oskarżonych, ale „Napoleona biznesu" tam nie było. Nie siedział na ławie, nie było go na sali, nie znaleziono go w domu ani w siedzibie Universalu... Jak powiedział później minister Ziobro, wskazując palcem na globusie trasę ucieczki „Napoleona", skazany przed ogłoszeniem wyroku najpierw oddalił się na Białoruś, *do Mińska, a potem do Anglii*. Z Londynu miał odlecieć za ocean, do Stanów Zjednoczonych. Wysłano za nim list gończy, lecz bez natychmiastowego skutku.

Był to dziwny list gończy, bo gdy strona amerykańska poprosiła o przysłanie podobizny i odcisków palców poszukiwanego, niezbędnych do formalnej identyfikacji, strona polska w ogóle na tę prośbę nie odpowiedziała. List gończy trafił do archiwum i pokrył się kilkunastoletnim kurzem. „As biznesu" w rezydencji na Florydzie korzystał tymczasem z cienia palm i słonecznej pogody, zarezerwowanej dla bogaczy.

Przywieczerski twierdzi, że nie uciekał przez Białoruś. Po prostu wsiadł do pociągu Warszawa–Berlin, z Berlina samolotem przemieścił się do Amsterdamu, skąd odleciał wprost do Nowego Jorku, co znajduje odbicie w paszporcie. W jakim celu kłamał Ziobro?

Kwity podrzucone

W wywiadzie z Grzegorzem Gaudenem dla „Newsweeka", dziennikarz Waldemar Kumór zagaja: *Gdybym miał na podstawie twojej książki zrobić film, zacząłbym od sceny w gabinecie sędziego śledczego. Doktor Gustaw Rutka wyciąga z szuflady służbowego biurka księgę „Dusza żydowska w zwierciadle talmudu" Andrzeja Niemojewskiego…*

Gdybym ja miał nakręcić film pt. „D jak Dreyfus, P jak Przywieczerski", zacząłbym nieskromnie od sceny, gdy podczas procesu aferzystów FOZZ sędzia Barbara Piwnik sięga po leżący na stole sędziowskim egzemplarz mojej książki pt. „Po drugiej stronie lustracji" i na głos czyta z niej fragment o biurku „magistra Jachowicza".

W biurku magistra prawa i administracji, stojącym w biurze spółki Trust w biurowcu Universalu przy skrzyżowaniu ul. Marszałkowskiej z Al. Jerozolimskimi, oficerowie UOP znaleźli oryginalne dokumenty wykradzione z Dyrekcji Generalnej FOZZ. Byłby to niezbity dowód na współudział prezesa Przywieczerskiego w popełnieniu defraudacji *od dwu do ośmiu miliardów dolarów*, gdyby nie drobny szczegół. Otóż rzekomo wykradzione dokumenty były szczegółowo zinwentaryzowane i zamknięte w sejfie „FOZZ w likwidacji". Śladów włamania nie znaleziono. Dochodzenie wykazało, że dokumenty FOZZ w biurze spółki Trust mógł odnaleźć tylko ktoś, kto wcześniej je tam podrzucił. Kiepska prowokacja UOP została udaremniona.

Sędzia Piwnik spytała, czy takie wydarzenie z dokumentami miało miejsce, a gdy uzyskała potwierdzenie, wydała edykt, że od tej chwili podsądni nie będą zmuszeni stawiać się osobiście na każdym posiedzeniu, wystarczy, jeśli obecni będą ich pełnomocnicy.

W Polsce szalała wówczas antykomunistyczna inkwizycja. Cały katolicki naród poddany został bolesnym egzorcyzmom, mającym na celu usunięcie zeń złowieszczego ducha Lenina i Stalina. Dariusz Przywieczerski – wcześniej spolegliwy aparatczyk, instruktor KC PZPR – awansował na stanowisko dyrektora Centrali Handlu Zagranicznego Universal. Natychmiast po przesileniu ustrojowym stał się największym udziałowcem i prezesem spółki giełdowej Universal SA. Był modelowym przedstawicielem nomenklatury bezczelnie uwłaszczającej się na majątku narodowym, postkomuchem najbardziej sposobnym do poddana go próbie wody.

Ten smutny fakt, że Przywieczerski w ogóle nie miał nic wspólnego z działalnością FOZZ i nie przywłaszczył sobie ani jednego fozzowskiego dolara, nie miał znaczenia ani dla żądnych chwały oficerów śledczych, ani dla członków wadliwie obsadzonego sądu.

Pogromczyni Pruszkowa, komuch prezesa

Wadliwość owa była efektem splotu okoliczności.

W Sądzie Okręgowym w Warszawie prawidłowo powołany skład orzekający w sprawie *dyrektora generalnego FOZZ Grzegorza Żemka i innych* zapewne wydałby sprawiedliwy wyrok przed datą przedawnienia czynów przestępnych związanych z FOZZ, gdyby nie to, że jego przewodnicząca Barbara Piwnik znienacka została ministrem sprawiedliwości w rządzie Leszka Millera.

Chętnych i zdatnych do pełnienia funkcji ministra było wielu, ale tylko dzielna pogromczyni mafii pruszkowskiej biegle znała materiały procesowe zebrane w kilkudziesięciu tomach, z którymi obcowała od kilku lat. Każdy wyznaczony do sprawy nowy sędzia musiałby przed przystąpieniem do wyrokowania przez co najmniej rok studiować akta. A w tym czasie nastąpiłoby przedawnienie wszystkich fozzowskich malwersacji. Stąd w środowisku prawniczym zrodziła się koncepcja, że powołanie Barbary Piwnik na stanowisko ministra sprawiedliwości miało na celu nie tyle usprawnienie działania sądów, ile zwalenie z wokandy sprawy FOZZ z racji przedawnienia.

Potężni musieli być sponsorzy takiego rozwiązania. Nie przewidzieli jednak, że Jarosław Kaczyński znajdzie przyjaznego dla partii Prawo i Sprawiedliwość sędziego Andrzeja Kryże, który podjął się zakończenia sprawy prawomocnym wyrokiem jeszcze przed upływem terminu przedawnienia. Z przyczyn obiektywnych tak szybkie zakończenie procesu okazało się niemożliwe. I cóż uczynił z tym fantem nasz utalentowany sędzia, z naruszeniem Kodeksu postępowania karnego powołany na przewodniczącego składu sędziowskiego w procesie FOZZ? Przepuścił przez sejm i senat specuchwałę wydłużającą okres ścigania tej jednej zbrodni urzędniczej, jakiej dopuścili się dyrektor generalny FOZZ Grzegorze Żemek et consortes.

Adwokaci oskarżonych, ma się rozumieć, sprytnie podjęli ten wątek w odwołaniach do sądu apelacyjnego, jednakże w instancji wyższej uznano, że wprawdzie powołany skład sędziowski rzeczywiście może budzić wątpliwości natury proceduralnej, lecz takie uchybienie nie miało wpływu na końcowe rozstrzygnięcie; nie sprawiło, że sąd stał się niesprawiedliwy.

Kiedy wyrokiem z 2018 r. Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu zasądził na rzecz „Napoleona biznesu" odszkodowanie w wysokości 5 tys. euro i nakazał wznowienie procesu w pierwszej instancji, minister Ziobro odpowiedział, że Polska jest krajem suwerennym, w którym najwyższą władzą jurydyczną jest Sąd Najwyższy, a nie jakiś unijny trybunał. SN, obsadzony przez neosędziów, zdecydował, że wznowienia procesu nie będzie, a Przywieczerski musi zapłacić koszty sądowe…

Dziennikarze, nie bądźcie obojętni

Do czołowych medialnych pogromców Przywieczerskiego należała „Polityka". Piórem Piotra Pytlakowskiego insynuowała, że D.P. (czyli prezes Universalu) *był doradcą Grzegorza Żemka, dyrektora generalnego FOZZ*. Jako ten młody dziennikarz, który w 1970 r. otrzymał komunistyczną nagrodę im. J. Bruna za teksty drukowane w „Polityce" właśnie, miałem czelność poprosić jedynego żyjącego spośród ojców założycieli tego wybitnego tygodnika o protekcję dla mojej publikacji o nieszczęściu Przywieczerskiego. Nestor dziennikarstwa polskiego odpowiedział, że „Polityka" nie będzie mogła podjąć się obrony wątpliwej cnoty „asa biznesu", ponieważ wcześniej pisała o nim wyłącznie bardzo krytycznie. Przekazał jednak moją prośbę młodocianemu redaktorowi Jerzemu Baczyńskiemu, który ani nie powiedział nie, ani nie powiedział tak.

Dziennikarze, nie bądźcie obojętni! Dolegliwości art. 7, zastosowanego przez Unię Europejską po raz pierwszy w dziejach właśnie w stosunku do Polski, drastycznie naruszającej prawo człowieka do sądu sprawiedliwego, nie spadły z nieba!

To wygląda na żart, ale jedynym redaktorem naczelnym dziennika lub czasopisma, który zdecydował się opublikować mój dramatyczny apel o sprawiedliwość i wykonywanie wyroków trybunałów Unii, był Jerzy Urban, właściciel tygodnika NIE, organu wszystkich polskich antyklerykałów i świntuchów. W 2019 r. pisałem: *W dniu 8 września br., kiedy samolot z Przywieczerskim, ekstradowanym z USA do Polski wylądował w Warszawie, minister Zbigniew Ziobro powiedział z przekąsem, że to jest właśnie Waterloo prezesa Universalu, który lubił o sobie mówić, że jest „Napoleonem biznesu", i to on był „mózgiem afery FOZZ", winnym defraudacji „od dwu do ośmiu miliardów dolarów". Waterloo miał Przywieczerski w chwili aresztowania na Florydzie, bo w Warszawie lądował już jako zwycięzca etapu z symbolicznymi 5 tys. euro w kieszeni. SN wystąpił o przysłanie mu akt sprawy nr 8K37/98, które nie wiadomo dla jakiej przyczyny przechowywane są w Archiwum Akt Tajnych IPN. Z IPN z wielkim opóźnieniem nadesłano sześć płyt CD z kopiami wybranych dokumentów*.

I w tym momencie pokazała się wielka moc sprawcza redaktora Urbana. Według relacji Przywieczerskiego i jego adwokata natychmiast po ukazaniu się mojej publikacji w „NIE" do SN wpłynęły w całości oryginalne akta. Ironia losu sprawiła, że w ten sposób wiedza tajemna, przechowywana przez całą dekadę w niewzruszonym imperium Jarosława Kaczyńskiego, trafiła pod jurysdykcję ministra Ziobry…

Przywieczerski nie mógł zdefraudować *od dwu do ośmiu miliardów dolarów*, ponieważ na koniec wszystkie niedobory w kasie FOZZ oszacowano na 346 mln zł. Przywieczerski nie mógł ukraść z FOZZ ani jednego dolara, ponieważ w chwili, gdy z byłym dyrektorem generalnym FOZZ Grzegorzem Żemkiem zakładał spółkę Trust, w dyrekcji FOZZ rządził już likwidator. Z tej samej przyczyny nie mógł być w FOZZ doradcą generalnego dyrektora Żemka. Gdy wybierałem się do Łodzi, żeby nakłonić redaktora Piotra Woldana do publikacji mojego maleńkiego „Oskarżam!" na łamach tygodnika „Angora", Dariusz Przywieczerski poprosił mnie o przekazanie jego podziękowań dla profesora Waldemara Gontarskiego, delegata „dobrej zmiany" do Trybunału w Luksemburgu, który jako pierwszy, właśnie na łamach „Angory", odważył się napisać o 5 tys. euro odszkodowania przyznanych „Napoleonowi biznesu" przez Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu za naruszenie w jego procesie art. 6 Konwencji o Prawach Człowieka. Spóźniłem się z podziękowaniami. Profesor G. w kwietniu 2024 r. aresztowany został przez funkcjonariuszy CBA. Postawiono mu zarzut płatnej protekcji.

Wystarczy, że wykażę odrobineczkę cierpliwości, a już wkrótce wszystkim negatywnym bohaterom naszej kryminalnej opowieści będę mógł złożyć podziękowania w jednym miejscu: w areszcie śledczym na warszawskim Służewcu lub w jakimś innym, lecz temu podobnym zakładzie karnym.

JAKUB KOPEĆ

eprasa.pl 324bd6bdbf

Sezon walk o stołki

Mam ochotę zostać prezesem związku sportowego, obojętnie którego.

Rys. HENRYK CEBULA

Wydaje mi się, że mógłbym być prezesem zarządu w dowolnym związku sportowym. Kompetencji by mi nie zabrakło, przynajmniej do napisania programu. Oto mój uniwersalny program pasujący do każdej dyscypliny sportu:

Po pierwsze, obiecuję dbać o pracę z młodzieżą. Sport można przedstawić w postaci piramidy, u której podstawy są dzieci, bawiące się w (tu wpisać nazwę dyscypliny), później młodzież trenująca już poważnie, a na szczycie są wyczynowcy, najlepiej olimpijczycy zdobywający medale. Im szersza podstawa piramidy, tym cała budowla ma pewniejszą konstrukcję.

Po drugie, obiecuję promować (tu wpisać nazwę dyscypliny) w mediach tak, aby stała się modna. Wykorzystywać do tego będę wszelkie możliwości formalne i nieformalne, ze szczególnym uwzględnieniem internetu.

Po trzecie, związek (tu wpisać nazwę dyscypliny) musi zabiegać o finansowanie. Dlatego intensywnie szukać będę sponsorów zarówno z sektora prywatnego, jak i państwowego.

Po czwarte, dbać będę o kontakty z klubami, o rozwój rozgrywek ligowych i ich poziom, tak żeby trybuny zapełniały się kibicami.

Po piąte, związek (tu wpisać nazwę dyscypliny), którym pokieruję, postara się wypłynąć na arenę międzynarodową poprzez aplikowanie do międzynarodowej federacji. Mocna pozycja w tych gremiach zapewni Polsce organizację mistrzowskich imprez, co z kolei ułatwi realizację poprzednich punktów programu. I tak dalej, i tak dalej…

Mój program bardzo spodobałby się delegatom, choć mało prawdopodobne, żeby go przeczytali. Wszyscy jednak mogliby się pod nim podpisać. Problem polega na tym, że jakość programu nie wpływa na wyniki głosowania.

Przez kieliszek do serc

Żeby odpowiedzieć na pytanie, kto ma największe szanse na wybór, najpierw trzeba odpowiedzieć na pytanie, kto wybiera prezesa. Wybierają go podczas walnego zgromadzenia delegaci okręgowych związków i klubów sportowych. Oddadzą głos na tego, kto obieca im najwięcej. Pod tym względem wybory w związkach sportowych niczym nie różnią się od wyborów parlamentarnych. Z dotrzymywaniem obietnic i w sporcie, i w polityce bywa różnie. Zawsze będą zadowoleni i zawiedzeni. Nie da się usatysfakcjonować wszystkich.

Kampania przedwyborcza w sporcie ma pewną specyfikę. Od czasów, gdy ja czynnie uczestniczyłem w życiu tej dziedziny i nie byłem jeszcze abstynentem, do dziś alkohol leje się w gabinetach działaczy niczym górska rzeka po obfitych opadach. O ile więc umiejętność napisania dobrego programu stawiałaby mnie wysoko w notowaniach wyborów na prezesa (tu wpisać nazwę dyscypliny), o tyle odstawianie pełnego kieliszka po prostu by mnie zdyskwalifikowało.

Legendy krążą o kampanii wyborczej obecnego włodarza polskiej piłki nożnej. Jego kontrkandydat jeździł w teren z programem w ręku, on – z zapasem wody ognistej i wybory wygrał w cuglach.

Jego kontrkandydat poniósł żałosną porażkę i taki sam los spotkałby mnie, gdyby zamarzyło mi się kierowanie (tu wpisać nazwę dyscypliny).

Kampania przed wyborami polega więc na odwiedzaniu okręgów oraz klubów i sypaniu obietnicami przy obficie zastawionym stole. Co można obiecać? Przede wszystkim pieniądze na rozwój sportu w okręgu i klubach. Kolejną przynętą jest udział w różnych organach związku. Wreszcie niebagatelną rolę odgrywają osobiste dobre kontakty (umacniane właśnie podczas biesiad). Oczywiste jest, że chętniej zagłosuje się na kogoś, kogo się lubi, niż na kogoś, do kogo żywimy osobiste urazy.

Kandydat naturalny

Przed nami sezon walnych zgromadzeń w związkach sportowych. Ich szczyt nastąpi w przyszłym roku, niektóre związki mają to już za sobą. Na pierwszy ogień poszła koszykówka, bo Radosław Piesiewicz, mocną ręką dzierżący dotychczas stery tej dyscypliny, złożył rezygnację. Ci, którzy dobrze znają Piesiewicza, twierdzą, że sam, z własnej nieprzymuszonej woli, nigdy z niczego by nie zrezygnował, bo to nie pasuje do jego charakteru. Coś musiało go zmusić. Chyba raczej nie coś, ale ktoś. Tego tu nie wyjaśnię.

Rozpoczęła się kampania przedwyborcza, do której zaprzęgnięto oczywiście media. Na antenie Polsatu Sport oddano mikrofon wszystkim kandydatom, a było ich pięcioro. Nazwiska podaję w kolejności alfabetycznej, tak jak robi się to na kartach wyborczych: Grzegorz Bachański, Jacek Jakubowski, Filip Kenig, Łukasz Koszarek i dla zachowania parytetu mistrzyni Europy z 1999 r., olimpijka Elżbieta Nowak.

Nietrudno zauważyć, że na liście zabrakło Marcina Gortata, który wydawałby się najbardziej naturalnym kandydatem na prezesa PZKosz. O jego sukcesach wiedzą wszyscy, w końcu nasz kraj nie może pochwalić się nadmiarem gwiazd NBA. W dodatku brodaty były koszykarz angażuje się w wiele akcji propagujących jego dyscyplinę, zwłaszcza u podstawy sportowej piramidy, czyli wśród dzieci. Od 15 lat działa, i to bardzo aktywnie, jego fundacja MG13, której główne hasło brzmi: „Mierz wysoko". Gortat nie szczędzi na nią funduszy, a ma z czego płacić, bo lata gry w najbogatszej lidze świata, w której jako jedyny Polak dotarł do finału, uczyniły z niego człowieka bardzo zamożnego. To też mógłby być atut na stanowisku prezesa. Nie darmo mówi się, że bogaty prezes nie będzie kradł, bo nie musi.

Gortat ma bardzo wyraziste zdanie w sprawie koszykówki. Często zabierał głos, zajadle krytykował Radosława Piesiewicza, czym zyskiwał moje uznanie, bo ja też wielokrotnie pisałem na tych łamach o tym karykaturalnym człowieku i nigdy z uznaniem.

Myślałem, że Gortat zdecydowanie poprze któregoś z kandydatów. Początkowo wydawało się, że będzie nim biznesmen, a niegdyś koszykarz, współwłaściciel Łódzkiego Klubu Sportowego Filip Kenig, ale później konkretów zabrakło. Gortat ograniczał się do życzenia, by związkiem pokierował ktoś, kto nie będzie dzielił środowiska, co było ulubioną rozrywką Piesiewicza.

Prezes z zahaczeniem

Podczas trwania obrad walnego zgromadzenia troje kandydatów się wycofało, na placu boju zostali Bachański i Kenig. Ten pierwszy wygrał.

Grzegorz Bachański ma długą historię działania w koszykówce, choć nie może pochwalić się karierą zawodniczą. Wówczas, gdy jego rówieśnicy ćwiczyli wsady do kosza, on wkuwał na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie poglądy Arystotelesa, Epikura, Sokratesa, Platona i innych starożytnych filozofów, których nazwiska uleciały mi już z pamięci; studia humanistyczne kończyłem dość dawno.

Z koszykówką związany jest od 1993 r. i przeszedł tam niemal wszystkie szczeble w karierze działacza: od stażysty poprzez kierownika biura, sekretarza generalnego aż po prezesa, był nim bowiem w latach 2011–2018, nim teraz wybrano go ponownie. Czy to dobry wybór? Zobaczymy. Nie czytałem jego programu, ale zakładam, że niewiele się różni od mojego, uniwersalnego, który przytoczyłem na wstępie.

Jeden warunek spełnia: ma zahaczenie w międzynarodowych władzach, jest skarbnikiem europejskiej federacji, gdzie nie posługuje się filozoficznym wykształceniem, jest bowiem także absolwentem podyplomowych studiów w Szkole Głównej Handlowej.

Na przełomie sierpnia i września przyszłego roku w katowickim Spodku odbędą się mecze grupowe EuroBasketu. To duża i ważna impreza, śledzona w wielu krajach, bo zapatrzeni w siatkówkę zapominamy, że to jednak koszykówka jest jednym z najpopularniejszych sportów na świecie. Nowy zarząd związku ma więc co robić i nie przewiduję, żeby do tego czasu doszło tam do jakichś tarć. Co będzie później, okaże się, gdy prezes Bachański zacznie rządzić na krajowym podwórku. Czy stanie się kontynuatorem metod Piesiewicza, o co niektórzy go posądzają, czy też doprowadzi do zgody w skłóconym środowisku, przyszłość pokaże.

Kurator do towarzystwa

Wybory odbyły się także w Polskim Związku Kolarskim. Walka o stołek prezesa zarządzającego upadającą dyscypliną okazała się tak bardzo zażarta, że zamiast jednego prezesa mamy dwóch. Dublowanie ważnych stanowisk nie powinno dziwić w kraju, w którym politycy różnych ugrupowań uznają dwóch różnych prokuratorów krajowych.

Wydawało się, że w wyborach wygrał świetny za moich czasów kolarz Marek Leśniewski, ale stronnicy jego konkurenta, dotychczasowego prezesa Rafała Makowskiego, podważyli rezultat głosowania. Naprawdę wstyd mi o tym pisać, bo wciąż kocham kolarstwo, ale zakwestionowano dwie karty do głosowania. Na jednej krzyżyk przy nazwisku Leśniewskiego wychodził poza kratkę. Na drugiej – ktoś postawił w tym miejscu ptaszek.

Obrad nie dokończono. Jedni wyszli z nich z przekonaniem, że prezesem jest Leśniewski, a drudzy na tym stanowisku widzą Makowskiego. Walne zgromadzenie ma być powtórzone, ale jeśli nie stanie się to do końca miesiąca, gdy upływa ostateczny termin trwania kadencji obecnego zarządu, do PZKol może wkroczyć kurator.

Tego jeszcze brakuje. Na kolarskim torze w Pruszkowie, gdzie mieści się też siedziba związku, urzęduje komornik. Teraz przybyłby mu do towarzystwa kurator. Pięknie…

Odszedłem tak daleko od kolarstwa, że nie wiem, o co toczy się spór między kandydatami, jakie mają wizje rozwoju (a raczej wyjścia z zapaści) tej dyscypliny. Leśniewskiego znałem dobrze. Umiał pracować dla drużyny, a pechem Marka było, że jego kariera przypadła na lata świetności kolarstwa, więc jego osiągnięcia przyćmiewała nieco sława kolegów. Ale był lubiany przez wszystkich. Nosił ksywkę Bakteria, co wynikało z częstych infekcji, jakie go trapiły.

Rafała Makowskiego nie znam, nic nie mogę o nim powiedzieć, nawet jaką nosi w środowisku ksywkę, jeśli w ogóle jakąś ma.

Między kolegami

Dzieje się też w piłce ręcznej. W chwili, gdy ten numer „NIE" dotrze do rąk Czytelników, zapewne będzie już znany wynik wyborów na prezesa Związku Piłki Ręcznej w Polsce. Byli trzej kandydaci, wśród nich dwie dawne wielkie gwiazdy: reprezentacyjny bramkarz Sławomir Szmal i Bogdan Wenta, a obok nich Damian Drobik, również były piłkarz ręczny (49 występów w reprezentacji), znany bardziej jednak ze swoich osiągnięć w roli działacza, gdzie skupiał się na sprawach biznesowych. Co ciekawe, w przedwyborczych rozważaniach prawie nie zwracano uwagi na Drobika. Środowisko sportowe rozpalała rywalizacja Szmala z Wentą. Obaj to silne osobowości, w dodatku koledzy. Bogdan Wenta miał zapewniać, że nie będzie startować, poprze kolegę, teraz zmienił zdanie. Chyba już nie są kolegami.

Zmienność jest cechą charakterystyczną Bogdana Wenty. Był zawodnikiem, trenerem, przez jakiś czas zmienił obywatelstwo na niemieckie, by wrócić do polskiego. Następnie ruszył na podbój polityki do europarlamentu, później został prezydentem Kielc. Teraz chce wygryźć Sławomira Szmala i wrócić do piłki ręcznej, o ile obu rywali nie pogodzi ten trzeci, czyli Damian Drobik.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–32 – 28.10.2024 r.

eprasa.pl 324bd6bdbf

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– W prawyborach chodzi nie o to, kto wygra, ale o to, kto liczy głosy – powiedział prezes Kaczyński i chciał pogładzić się po wąsach, lecz połapał się, że nie nosi wąsów.

– A kino jest najważniejszą ze sztuk – dodał bez sensu przewodniczący Błaszczak. Też mógłby pogładzić się po brodzie, ale nie miał brody, dlatego pogładził się po gołym podbródku.

– Kino eto ważniejszeje iz wsjech iskusstw – przełożył na oryginał poseł Macierewicz. I pogłaskał się po brodzie, ponieważ od dawna miał brodę. Łysinę też miał odpowiednio historyczną.

– Odchodzimy od tematu… – zirytował się prezes. – Mieliśmy ustalić, kto wygra prawybory.

Błaszczak skromnie spuścił oczy.

– Mieliśmy ustalić, że wygra Czarnek – rzekł Macierewicz.

Błaszczak czujnie podniósł oczy, a potem brwi.

– Czarnek? – zapytał rozczarowany.

– Tak, Czarnek – powtórzył Macierewicz i przetłumaczył: – Da, gospodin Czarnek.

– To chyba żart – parsknął śmiechem były premier Morawiecki. Nikt nie wiedział, kto go tu zaprosił. – Czarnek ma ogromny elektorat negatywny.

– Ale żelazny elektorat pójdzie za nim w ogień. – Kaczyński nie zgodził się z Morawieckim. – Nawet jeśli nie wygra, to przynajmniej postraszy Te.

– Te? – nie zrozumiał Morawiecki.

– W naszym gronie nie używamy nazwiska Trzaskowski – odparł Macierewicz.

– Ani Tusk – dodał Błaszczak.

– A skąd wiadomo, czy Te to jeden, czy drugi? – drążył były premier.

– Odchodzimy od tematu… – warknął Kaczyński. – Zróbmy prawybory, a potem badania reakcji elektoratu na wygraną Czarnka. Tak?

– Zróbmy badania, kto jest bardziej popularny: ja czy Czarnek. – Morawiecki złożył kontrpropozycję, ale bez przekonania.

– Gdybyśmy robili badania, kto jest najbardziej popularny, to wygrałbym ja – powiedział prezes.

W ciszy, która zapadła, słychać było tylko świszczący po rosyjsku oddech Macierewicza.

– He, he, he… – zaśmiał się Kaczyński.

Błaszczak, Macierewicz i Morawiecki jak jeden mąż odetchnęli z ulgą.

– Świetny żart – wazeliniarsko przyznał Błaszczak.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA szaleje na okoliczność zamykania podwójnego numeru. **JOANNA SENYSZYN** uważa, że to żaden powód, bo sama robi wszystko na ostatnią chwilę.

Senyszyn: – Przecież to nie pierwszy podwójny numer, który zamykasz.

Wołk-Łaniewska: – Nie. Ale taki mam styl pracy.

– Nieco niezdrowy, moim zdaniem, ale skoro ci się sprawdza…

– A propos wydarzeń wywołujących panikę: popieram projekt ministry Dziemianowicz-Bąk w sprawie wolnego w Wigilię. Niech faceci też mają przejebane...

– Przybliż swój pokrętny tok myślenia.

– Otóż we wszystkich urzędach, a także różnych państwowych firmach obowiązuje zasada, że kobiety są 24 grudnia zwalniane z pracy w południe albo i wcześniej, i w panice biegną do domu szorować podłogi i pichcić 12 potraw. A faceci odsiadują osiem godzin, popijając z kolegami śledzika spod stołu. Jak wracają do domu, to cała robota jest już odwalona i tatuś może ewentualnie pomóc dzieciom w ubieraniu choinki. A teraz chłopy też będą musiały jechać na szmacie, i do tego znosić panikę żony. To jednak jakiś postęp.

– Chłopy nic nie będą musiały, bo to hasło na pokaz. Walka idzie nie o wolną Wigilię, ale o kandydowanie na prezydenta RP, a gdyby wygrał Trzaskowski – na prezydenta Warszawy. Chrapkę i na jedno, i na drugie ma Magda Biejat i zapewne pod takim warunkiem odeszła z Razem. Zresztą w transakcji wiązanej, bo stołka wicemarszałkini senatu też za nic nie chce stracić. A że faworytką Biedronia jest twoja imienniczka, zapowiedział prawybory. Będzie wesoło.

– Taaa… W zeszłym tygodniu napisałam, że z całego serca popieram prawybory w PiS, bo nie ma drugiej koncepcji równie toksycznej dla partii, jej wizerunku, struktur i jedności. Niestety, prezes właśnie ogłosił, że prawyborów nie będzie…

– Może cię przeczytał.

– Na pewno, wszak wszyscy wiedzą, że Jarosław Kaczyński zaczyna piątek od lektury „NIE”… No to teraz Biedroń postanowił poszczuć na siebie dwie kobity z lewicy w nadziei, że wezmą się za kudły i skompromitują lewicę na tyle, że którakolwiek zdobędzie nominację, będzie miała gorszy wynik od niego. Skądinąd, setnie się ubawiłam, jak Biedroń powiedział, że *teraz wiemy, kto bierze odpowiedzialność za Polskę, i wiemy, kto będzie się temu przyglądał*. W ustach kolesia, który wziął narzeczonego i spieprzył przyglądać się z Brukseli za pensję europosła, brzmi to zaiste paradnie. Ale wracając do wolnej Wigilii: jeśli przeciwko czemuś protestuje Ryszard Petru – jest to oczywisty znak, że projekt zasługuje na poparcie.

– Oczywiście najlepiej by było, żeby Polacy – wzorem posłów – pracowali przez trzy dni co dwa tygodnie. Problem jednak w tym, że nawet przy tym jednym dodatkowym dniu przejebane – jak to wytwornie ujęłaś – mieliby nie tylko faceci, ale i gospodarka, czyli my wszyscy. Jeden wolny dzień kosztuje 0,2–0,3 proc. PKB, czyli w tym roku 7–10 mld zł. Zaraz powiesz, że nie można tego rozpatrywać tylko w kategorii kosztów…

– No nie można.

– Ale nie można ich też całkowicie pomijać. Obecnie, nie licząc urlopu, mamy 114 dni wolnych od pracy. W tym 59 dni, które nakazuje święcić Kościół katolicki, jest zagwarantowanych w konkordacie, plus Trzech Króli. Świeckich dni wolnych od pracy jest tylko 54. I ty chcesz tę proporcję jeszcze pogorszyć. Tego się nie spodziewałam. Jeśli już chcemy kolejnego wolnego dnia, niech będzie do wyboru. Przyniesie większe zadowolenie i mniej obciąży gospodarkę.

– Jestem za dniem wolnym do wyboru, oczywiście. Będę świętować 22 lipca na zmianę z 7 listopada. A przechodząc do tych świąt, które będą zaraz: 1 listopada to bodaj jedyny dzień, w którym robię to, co wszyscy katole: zasuwam na cmentarz. Na szczęście nie katolski, bo mój tatuś leży na uroczym cmentarzu ewangelicko-reformowanym…

– Był ewangelikiem reformowanym?

– Nie, był takim samym ateuszem jak ja – no, może mniej walczącym – ale cmentarz nam się spodobał. Jest niewielki, klimatyczny, z pięknym starodrzewem, przy wejściu stoi duża plastikowa szafa, a w niej znicze na sprzedaż. Przy każdym zniczu jest cena, a na środku leży tacka po rukoli, gdzie się wrzuca kasę. Jak ktoś nie ma drobnych, może sobie sam wydać resztę. Wyobrażasz sobie coś takiego na cmentarzu katolickim?

– Kler katolicki nigdy by czegoś takiego nie zaproponował, bo sądzą po sobie, więc nie ma o czym mówić. Moja cała rodzina leży na szczęście na praktycznie już zamkniętym cmentarzu komunalnym na Witominie, nazywanym Gdyńskimi Powązkami. Kiedyś był na obrzeżu miasta, a dziś prawie w centrum, bo za nim wyrosło kilka dużych dzielnic. Toteż mało kto rozumie zabawną anegdotkę o kierowcy, który jedzie z centrum obsadzoną starymi kasztanami ul. Witomińską, uchyla okno i pyta: *Jak najprościej znaleźć się na Witominie?* A w odpowiedzi słyszy: *Wystarczy zamknąć oczy i gaz do dechy.*

– Cóż za pogodna anegdota, akurat na 1 listopada…

– 1 listopada jakoś bardziej niż w inne dni żałuję ateistycznej wiedzy, że nigdy się nie spotkam z moimi bliskimi.

– A w temacie 11 – bo numer tę atrakcję też obejmuje: czy jesteś patriotką?

– I tak, i nie. Polszczyzna to moja ojczyzna. Myślę i czuję po polsku. Ale jestem równocześnie Europejką – „Mazurek” wzrusza mnie na równi z „Odą do radości”.

– Serio? A mnie tylko „Międzynarodówka”.

– Co ty powiesz, nigdy bym nie pomyślała…

– A tak, bo ja jestem internacjonalistką.

Rys. WIDGET

– To akurat rozumiem, bo też czuję się poniekąd obywatelką świata. Odwiedziłam prawie 60 krajów i w wielu – z wyjątkiem afrykańskich – chyba mogłabym zamieszkać. Co nie znaczy, że chcę, ale podróżować po świecie wciąż mam ochotę. Pod koniec listopada, o ile pamiętasz, jedziemy razem do Brukseli, a na kwiecień planuję Japonię.

– Pamiętam, pamiętam, już nie mogę się doczekać… Ale do Japonii to trochę za daleko. Na drugi koniec świata to ja tylko na Kubę.

– Wracając do Polski: narodowcy, a właściwie cała prawica, mylą patriotyzm z szowinizmem i wykazują narodową megalomanię. Jak słyszę hasło: „Wielka Biała Polska”, to zaraz sobie uświadamiam, że to rasa świń. Narodowcy mają nietęgie miny.

– A w końcu znasz się na świniach jak mało kto.

– A żebyś wiedziała.

– Ja stoję na stanowisku wyrażonym najpełniej przez Oscara Wilde'a: *Patriotyzm jest cnotą ludzi okrutnych*. Jest także cytat legendarnego brytyjskiego leksykografa Samuela Johnsona: *Patriotyzm jest ostatnim schronieniem kanalii…*

– Ja chyba wolę powiedzenie, że *patriotyzm jest funkcją biedy*. Ludzie zamożni są obywatelami świata. A biednym władza przypisała na wypadek wojny rolę mięsa armatniego, więc musiała coś dodać na osłodę. Ginąć za ojczyznę jest zdecydowanie szlachetniej niż za szemrane interesy bogaczy.

– *Rżnij karabinem w bruk ulicy*… Jak się przyglądam tym fiutom, którzy w szumie patriotycznych okrzyków planują wydać w przyszłym roku 187 mld zł, czyli 4,7 proc. PKB na zbrojenia, kiedy ludzie umierają w kolejkach do lekarzy…

– Jest społeczne przyzwolenie na zbrojenia, bo my Polacy najbardziej boimy się wojny. Dlatego nowa władza dmie w te same trąby co PiS. Ciekawe, ile pójdzie na obronę cywilną, w tym na budowę schronów, których praktycznie nie mamy. Słaba to pociecha, ale przyszłoroczny budżet na zdrowie jest o 35 mld zł większy niż na obronność i ma wynieść 222 mld zł.

– Ta proporcja nadal wydaje mi się cokolwiek niesatysfakcjonująca. Koncept, że na ratowanie życia Polska wydaje zaledwie 19 proc. więcej niż na potencjał zabijania, dziwnie mnie nie uspokaja.

– Ponoć przynajmniej część budżetu MON jest nie na zabijanie, ale też na ochronę życia i zdrowia. Przed Putinem.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 324bd6bdbf